

ANDRE NORTON

# KLUCZ SPOZA CZASU

TOM IV CYKLU ROSS MURDOCK

(Tłumacz: Dariusz Kopociński)

# 1. ŚWIAT LOTOSÓW

Różany odcień ubarwił blade niebo, ciemniejsze nad linią horyzontu, gdzie morze dotykało obłoków poprzecinanych tęczowymi smugami. Ten sam kolor powlekał fale oceanu, usłane szkarłatnymi pręgami dryfujących wodorostów. Świat, skąpany w złotych promieniach słońca, znał jedynie łagodne wiatry, spokój... i słodkie nieróbstwo.

Ross Murdock wychylił się poza krawędź półki skalnej, skąd rozpościerał się widok na plażę pokrytą drobnym różowawym piaskiem, pełnym lśniących krystalicznych "muszelek" - choć kto wie, czym naprawdę były te delikatne, żłobkowane, jajowate twory. Nawet fale rozbijały się o brzeg ospale. Powiew bryzy rozdmuchiwał Murdockowi włosy, głąskał i pieścił jego opalone, półnagie ciało. Nie docierał jednak w głąb ładu i nie wprawiał w ruch roślin zwanych przez ziemskich osadników "drzewami", które miały jednak w miejsce normalnych gałęzi olbrzymie ażurowe liście.

Zwyczajny krajobraz Hawaiki - świata nawiązującego nazwą do dawnego polinezyjskiego raju - nie miał na pozór żadnych wad, może prócz jednej mało istotnej niedogodności: był zbyt idealny, przyjazny i kuszący. Długie, monotonne dni wywoływały w człowieku rozleniwienie, proponowały życie bez wysiłku. Gdyby nie tajemnica...

Napotkany przez ziemskich kolonizatorów świat nie odpowiadał zarejestrowanym na taśmie obrazom, oglądanym przed wyprawą. Ta starożytna podróżna taśma była równocześnie mapą, przewodnikiem i zbiorem informacji. Swego czasu Ross brał udział w płądrowaniu magazynów na nieznaną planetę, gdzie natknął się na górę podobnych taśm. Musiały być niegdyś mapami nawigacyjnymi, pomocnymi nieznaną rasie lub rasom królującym na gwiazdnych szlakach przed dziesięcioma tysiącami lat w rachubie jego świata - pomocnymi cywilizacji, która dawno powróciła w mroki barbarzyństwa.

Po ich przypadkowym znalezieniu taśmy zostały poddane badaniom naukowców, laborantów i kryptologów, najwybitniejszych umysłów epoki, a potem rozdzielone drogą losowania pomiędzy wiele podejrzliwych organów, sprawujących władzę nad Ziemią. Wplotło to w eksplorację kosmosu wątki żalonych rywalizacji i zadawnionych nienawiści.

To za sprawą jednej z tych taśm ich statek wylądował na Hawaice, w świecie płytych mórz i archipelagów, które zastąpiły stałe kontynenty. Cóż z tego, że grupie osadników wpojono całą wiedzę zawartą na taśmie, skoro później wyszło na jaw, iż większość tych informacji nie odpowiada prawdzie?!

Rzecz jasna, nikt się nie spodziewał napotkać tu miast i kultury zachowanej od zamierzchłych czasów. Jednak w dodatku żaden ciąg wysp nawet w przybliżeniu nie odpowiadał widniejącym na mapach zarysom i na razie nie znaleziono dowodów, by rozumne istoty kiedykolwiek przemierzały, zamieszkiwały czy kultywowały te przepiękne, uśpione atole. Co się więc stało z ukazaną na taśmie Hawaiką?

Prawa dłoń Rossa potarła pokrywającą lewą rękę wypukłą bliznę, trwała pamiątkę spotkania z gwiazdnymi wędrowcami w przeszłości jego własnego świata. Rozmyślnie oparzył wtedy ciało, aby rozerwać więzy mentalnej kontroli, jakie na niego nałożono. Tak zaczęła się bitwa, z której wyniósł innego rodzaju bliznę: nieprzyjemne uczucie na myśl o tamtej twardzie, kiedy to Ross Murdock, zawadiaka i buntownik skazany w swojej epoce na banicję, Ross Murdock, uważający siebie za niepokonanego twardziela, zahartowanego dodatkowo w czasie szkolenia jednostek agentów czasu, musiał stawić czoło sile, której nie rozumiał, a której nienawidził i bał się instynktownie.

Odetchnął teraz pełną piersią, wdychając wraz z wiatrem zapach morza i aromaty

roślin, obce, lecz przyjemne. Tak łatwo się odprężyć, poddać kojącym, delikatnym rytmom tej planety, na której nie natrafili na żadną skażę, żadne niebezpieczeństwo czy niedogodność. A przecież... byli tu kiedyś ci drudzy, bezwłose istoty w błękitnych kombinezonach, nazwane przez niego "Łysawcami". Co tu się wówczas wydarzyło...? Lub później?

Czarna głowa, brązowe ramiona i wiotkie ciało zmaciły leniwie szmerzące fale. Połyskująca ogniście w słońcu maska zakrywała twarz. Dwie dłonie odsłoniły duże ciemne oczy, zaokrąglony, choć mocno zarysowany podbródek i usta stworzone raczej do śmiechu niż do dąsów. Karara Trenem z Alii, wywodząca się z rodu boskich naczelników Hawaiki, była prześliczną dziewczyną.

Ross jednak patrzył na nią ze wzgardą i chłodem graniczącym z wrogością, kiedy wkładała maskę do właściwej przegródki w skrzelopaku. Zatrzymała się na lekko rozstawionych nogach pod skalną półką i figlarnie skrzywiła usta.

- Czemu nie zejdziesz? Woda jest cudowna! - zawołała zaczepnie.

- Idealna. Jak cała reszta - odpowiedział cierpko i z wyczuwalną irytacją. - Znowu zabrakło szczęścia?

- Znowu - przyznała Karara. - Nawet jeśli istniała tu kiedyś cywilizacja, zaginęła tak dawno, że nie znajdziemy po niej żadnych śladów. Dlaczego po prostu nie wybierzesz odpowiedniego miejsca i nie wyślesz sondy na chybił trafił?

Ross zmarszczył brwi. Bał się, że straci cierpliwość i nie zapanuje nad językiem.

- Ponieważ został nam tylko jeden próbnik. Gdy go już raz ustawimy, nie damy rady łatwo przetransportować go w inne miejsce, a więc musimy być pewni, że w ogóle warto zaglądać w przeszłość.

Karara zaczęła wyżywać wodę z długich włosów.

- No cóż, mimo długich badań... ciągle nic. Następnym razem sam się pofatyguj. Tino-rau i Taua nie są jakimiś dziwadłami. Lubią towarzystwo.

Wsunęła do ust dwa palce i zagwizdała. Z wody wyjrzały dwie bliźniacze głowy ze spiczastymi nosami i pyszczkami o kącikach uniesionych jak w miłym uśmiechu skierowanym do stojących na brzegu ludzi. Dwa delfiny - ssaki, których dalecy przodkowie wybrali życie w wodzie - odgwizdały, tak wiernie naśladowując sygnał dziewczyny, że zabrzmiało to jak echo. Kilka lat temu inteligencja tego gatunku zadziwiła ludzi, prawdziwie nimi wstrząsnęła. Eksperymenty, szkolenia i współdziałanie zrodziły więź pozwalającą otoczonym zewsząd wodą przedstawicielom rodzaju ludzkiego uzyskać dodatkowe oczy, uszy i umysły zdolne do wnikliwego obserwowania, dokonywania ocen i składania raportów dotyczących środowiska, w którym istoty dwunożne czuły się skrępowane.

Jednocześnie przeprowadzano też inne doświadczenia. Niewygodne, opancerzone skafandry z początków dwudziestego wieku pozwoliły człowiekowi rozpocząć penetrację nowego, pełnego zagadek świata; potem kombinezon płetwonurka umożliwił mu w tym świecie jeszcze większą swobodę ruchów. Teraz, wraz z pojawieniem się skrzelopaków, które czerpały z wody potrzebny tlen, nawet lekkie butle odstawiano do lamusa historii. Wciąż jednak pozostawały głębie, w które człowiek nie ważył się opuszczać, choć bardzo chciał poznać ich sekrety. Tam właśnie wędrowały delfiny, istoty myślące, nie głupsze od ludzi, choć trudno było się pogodzić z tym ostatnim faktem.

Zdenerwowanie Rossa, choć sam uznawał je za nieuzasadnione, nie miało związku z Tino-rau czy Tauą. Uwielbiał te chwile, kiedy zakładał skrzelopak i nurkował w morzu u boku tej pary srebrzysto-czarnych gwardzistów, którzy towarzyszyli mu w czasie badań. Jednak Karara... Obecność Karary była zupełnie czymś innym.

Jednostki agentów zawsze tworzyli wyłącznie mężczyźni. W skład każdej z nich wchodził dwaj osobnicy o uzupełniających się zdolnościach i temperamentach. Razem przechodzili ćwiczenia, dopóki nie stali się dwiema połówkami zwartej i wydajnej całości. Zanim został znieścacka powołany do udziału w Projekcie, Ross wiodł samotnicze życie, często na bakier z prawem. Był niestrawnym kęsem dla cywilizacji nazbyt uporządkowanej i "dopasowanej", by mogła tolerować typy jego pokroju. W ramach projektu poznał jednak innych mu podobnych - ludzi urodzonych niejako poza czasem, o zbyt indywidualnych upodobaniach i zanadto bezwzględnych jak na wymagania epoki, lecz radzących sobie z łatwością na niebezpiecznych ścieżkach, jakimi się poruszali agenci czasu.

Kiedy poszukiwanie porzuconych statków kosmitów zakończyło się sukcesem, kiedy znaleziono, uruchomiono i zduplikowano pierwszy nietknięty okręt, przeszkolonym agentom kazano podróżować do gwiazd zamiast dokonywać wypadów w przeszłość. Jeszcze niedawno był Ross Murdock kryminalista. Potem byli Ross Murdock i Gordon Ashe agenci czasu. Dzisiaj Ross Murdock i Gordon Ashe wykonywali misję nic mniej niebezpieczną niż wszystkie poprzednie, jednak tym razem musieli polegać na Kararze i jej delfinach.

- Jutro. - Ross w dalszym ciągu miał zamęt w myślach. Drażniło go to niczym cierń wbity w palec. - Jutro popływam.

- Świetnie! - Nawet jeśli Karara zauważyła jego wrogość, nie wydawała się nią przejmować. Ponownie zagwizdała na delfiny, machnęła niedbale ręką na pożegnanie i ruszyła plażą w kierunku głównego obozu. Ross wybrał mniej wygodną drogę nad krawędzią klifu.

Dlaczego nie mogli znaleźć w okolicy tego, czego szukali? Przecież na starej mapie mniej więcej w tym miejscu postawiono gwiazdkę. Co oznaczała? Miasto? A może gwiazdny port?

Ashe zgłosił się ochotniczo na wyprawę na Hawaikę. Zażądał tego przydziału po zakończonej katastrofą operacji na Topazie, gdzie grupę śmiazków - Apaczów wysłano zbyt wcześnie, by mogli poradzić sobie z potajemnie wybudowaną osadą Czerwonych. Ross nadal wspominał z bólem tamte miesiące, kiedy tylko major Kelgarries i w pewnym stopniu on sam zdołali zatrzymać Gordona Ashe'a w Projekcie. Fiasko wyprawy na Topaza stało się oczywiste, kiedy nie powrócił statek kolonizacyjny. Ashe'a gnębiły wyrzuty sumienia, sam bowiem rekrutował i częściowo wyszkolił zaginioną jednostkę.

Wśród tych, którzy wyruszyli pomimo jego stanowczych protestów, był Travis Fox, towarzysz Ashe'a i Rossa w pierwszej podróży przez galaktykę wysłużonym, porzuconym przez swoich budowniczych okrętem. Czy Travis Fox, archeolog z plemienia Apaczów, dotarł kiedykolwiek na Topaza? A może będzie po wieczne czasy wędrował wraz z całą grupą między światami? Czy też wylądowali na planecie, gdzie jakaś wroga forma tubylczego życia lub Czerwoni zgotowali im odpowiednie przyjęcie? Nieznajomość ich losu bezustannie dręczyła Ashe'a.

Nalegał więc, by pozwolono mu wyruszyć wraz z drugą osiedleńczą grupą ochotników o hawajskim i samońskim pochodzeniu, by przeprowadzić jeszcze bardziej ekscytujące i niebezpieczne badania. Podobnie jak wysłannicy Projektu wnikali niegdyś w przeszłość Ziemi, tak teraz Ashe i Ross mieli podjąć próbę odkrycia, zbierając możliwie najwięcej wiadomości o prekursorach współczesnych wypraw międzygwiazdnych, co kryje przeszłość Hawaiki i jak ten świat wyglądał za dni chwały galaktycznego imperium. Tajemnica, z którą się spotkali po wylądowaniu, wzmogła jeszcze potrzebę odkrywania.

Gdyby los się do nich uśmiechnął, ich próbnik mógł otworzyć bramę w czasie. Konstrukcja została bardzo unowocześniona w porównaniu z tymi przejściowymi instalacjami,

które budowano dawniej. Wiedza techniczna odnotowała znaczny postęp, gdy ziemskim inżynierom i naukowcom udostępniono zapisy gwiazdnej cywilizacji. Dokonano mnóstwa poprawek i uproszczeń, wdrażając w życie nową hybrydową technologię, wysnutą z wiedzy i doświadczeń dwóch kultur odległych od siebie w czasie o tysiące lat.

Kiedy i jeśli on lub Ashe - czy też Karara wraz z jej delfinami - odkryją odpowiedni teren, obaj agenci będą mogli zainstalować swój sprzęt. Zarówno Ross, jak i Ashe zostali do tego właściwie przygotowani. Potrzebowali choćby jednego małego odkrycia, kamienia węgielnego, na którym szybko wzniesliby całe mury. Należało jednak odnaleźć jakiś relikwiarz przeszłości, bodaj najdrobniejszy ślad starożytnych ruin, na które można byłoby nakierować sondę. Tymczasem od chwili wylądowania płynęły dnie, płynęły tygodnie i nadal nie natrafiono na żadne znalezisko.

Ross przemierzył skalny grzbiet, wznoszący się niby koguci grzebień wzdłuż kręgosłupa wyspy. U podnóża tego wzniesienia założono wioskę. Polinezyjscy osadnicy umieli stosować miejscowe materiały przy budowie charakterystycznych dla ich plemienia domostw i narzędzi. Ta umiejętność czerpania z miejscowych dóbr była ogromnie istotna, bowiem ładownie statku mieściły tylko ograniczoną ilość zaopatrzenia. Kiedy już statek wystartuje w powrotną drogę, przez kilka lat będą zdani na własne siły. Srebrna kula stała na skalnej półce. Pilot i załoga zwlekali z odlotem w oczekiwaniu na wyniki poszukiwań Ashe'a. Za cztery dni będą musieli wyruszyć do domu, nawet jeśli agenci nie złożą raportu o pomyślnym rezultacie swoich starań.

Ashe doznawał bolesnego uczucia rozczarowania. Podobnie jak przed sześcioma miesiącami, po całej sprawie z Topazem, dręczyły go wyrzuty sumienia i bezsilna wściekłość. Im dłużej Ross rozmyślał nad sugestią Karary, tym bardziej wydawała mu się racjonalna. Jeśli będzie polować większa liczba nurków, zwiększy się nieznacznie szansa na odnalezienie istotnej wskazówki. Do tej pory delfiny nie zawiadomiły o odkryciu żadnej niebezpiecznej formy podmorskiego życia czy zagrożeń innych niż te, z którymi nurek zawsze ma do czynienia w głębinie.

Nie brakowało skrzelopaków, a wszyscy osadnicy umieli dobrze pływać. Zorganizowane łowy powinny pomóc Polinezyjczykom otrząsnąć się z dotychczasowego marazmu i nawyku odkładania wszelkich spraw na potem. Jak długo mieli do wykonania konkretne zadania: rozładowanie statku, założenie osady, prace związane z rozbudową bazy - okazywali entuzjazm i zaangażowanie. Dopiero w ciągu ostatnich dwóch tygodni niezauważalnie ogarnęło ich rozleniwienie, stanowiące poniekąd wynik tutejszej atmosfery. Zaczęli znajdować przyjemność w powolniejszym trybie życia. Ross przypomniał sobie, jak zeszłego wieczoru Ashe porównał Hawaikę do legendarnej ziemskiej wyspy, gdzie jej mieszkańcy wiedli żywot w półśnie, spożywając nasiona miejscowej rośliny. Hawaika w szybkim tempie przeistaczała się dla przybyszów z Ziemi w krainę lotosów.

- Najpierw tędy, potem na zachód... - W pomieszczeniu o ścianach z palmowych mat Ashe pochylał się nad stołem zrobionym ze skrzyni. Gdy wszedł Ross, nie podniósł wzroku. Karara zwiesiła mokrą jeszcze głowę tak nisko, że czarne błyszczące loki, teraz przylegające do czaszki, niemal dotykały kasztanowych, krótko przystrzyżonych włosów mężczyzny. Studiowali razem mapę, jakby mieli przed sobą nie znaczki na papierze, ale prawdziwe zatoczki i laguny.

- Jesteś pewien, Gordon, że warto po tylu latach porównywać okolice z taśmą? - Dziewczyna odgarnęła palcami opadające na oczy włosy.

Ashe wzruszył ramionami. Wokół ust zarysowały mu się zmarszczki, których nie było

tam jeszcze przed sześcioma miesiącami. Poruszał się dziwnie nerwowo, nie z tak płynnym wdziękiem jak kiedyś. Wtedy żadna odległość do przebycia w trakcie podróży w czasie nie wywierała na nim najmniejszego wrażenia, a jego pewność siebie dodawała otuchy nowicjuszowi, jakim był Ross.

- Ogólne zarysy tych dwóch wysp przypominają mi przylądki pokazane tutaj... - Przynął kolejną mapę, sporządzoną na przezroczystej folii, i nałożył ją na poprzednią. Krawędzie przylądków znacznie większego łądu pokryły się idealnie z obecnymi wyspami. Po niegdyś rozległej ziemi, później popękanej i podzielonej, pozostały atole i zatoczki, te, które badali po przylocie na planetę.

- Od jak dawna?... - zastanawiała się Karara na głos. - I dlaczego?

Ashe potrząsnął ramionami.

- Dziesięć tysięcy lat, pięć, dwa. - Pokiwał głową. - Nikt nie ma pojęcia. To oczywiste, że wydarzył się tu kiedyś kataklizm na skalę światową, skoro linia brzegowa uległa całkowitej zmianie. Może trzeba poczekać, aż statek w drodze powrotnej przywiezie nam śmigłowiec lub hydroplan, żebyśmy mogli rozszerzyć zakres badań. - Przesunął rękę poza granice mapy, mając na myśli całą resztę Hawaiki.

- No to poczekamy z rok albo dwa - wtrącił Ross. - Nie wiadomo też, czy Rada uzna naszą prośbę za wystarczająco uzasadnioną. - Powiedział to bez namysłu, z czystej przekory; zawsze w obecności Karary świerzbil go język. Usta Ashe'a drgnęły i Ross zdał sobie sprawę z własnej pomyłki. Gordon potrzebował wsparcia, a nie recytacji listy przyczyn mogących ściągnąć klęskę na ich misję.

- Tylko popatrz! - Ross podszedł do stołu i machnął ręką obok Karary, wskazując palcem na mapę. - Wiemy przecież, że to, czego szukamy, łatwo jest przeoczyć, nawet jeśli będą nam pomagać delfiny. To za duży obszar. Nie ulega wątpliwości, że cokolwiek kryje się pod wodą, zostało całkowicie obrosnięte wodorostami. A gdybyśmy tak w dziesięciu rozeszli się wachlarzem... gdzieś stąd i szli, dajmy na to, tutaj, w stronę łądu, filmując co ciekawsze miejsca? W razie potrzeby można by przeczesać cal po calu cały sektor. Mamy przecież mnóstwo czasu i męskich rąk do wykorzystania.

Karara zaśmiała się cicho.

- Męskich, zawsze męskich, co, Ross? A co z żeńskimi rękami? A kto wie, czy my nie mamy lepszego wzroku? Ale ogólnie to niezły pomysł, Gordon. Niech no pomyślę... - Zaczęła wyliczać na palcach. - PaKeeKee, Vaeoha, Hori, Liliha, Taema, Ui, Ho-no'ura... Ci są najlepsi w wodzie. Potem ja, ty, Gordon, Ross. A więc znalazłoby się dziesięciu z bystrymi oczyma. Nie licząc Tino-rau i Tauy. Zabierzmy prowiant i rozbijmy obóz na tej wyspie, która przypomina palec zakrzywiony w przyzywającym geście. Jakoś mi się wydaje, że ten przyzywający palec zapowiada nam, że w końcu szczęście. A więc jak, robimy plan?

Ashe wyraźnie się rozluźnił, a Ross odzyskał spokój ducha. Tego właśnie Gordon potrzebował - nie ślęczenia nad mapami i raportami, wiecznego analizowania marnych tropów. Ashe zwykł działać w terenie. Praca przy zakładaniu bazy była dla niego wyczerpującym kieratem.

Po odejściu Karary Ross opadł na łóżko przy ścianie.

- Co tu się wydarzyło? Masz jakiś pomysł? - zapytał. Częściowo powodowała nim rzeczywista chęć wyświecenia tajemnicy, nad którą tak często debatowali, odkąd wylądowali na Hawaice, zupełnie zmienionej w porównaniu z mapami, jakimi się posługiwali; częściowo zaś pragnął zająć myśli Ashe'a czymś innym niż bieżące zmartwienia. - Wojna atomowa?

- Całkiem możliwe. Są przecież ślady dawnego napromieniowania. Tylko ciągle mi się

zdaje, że rozwój tych obcych nie zatrzymał się na atomie. Załóżmy, po prostu założmy, że potrafili wpływać na pogodę, że naruszyli delikatną równowagę powłoki ziemi... Nic nam nie wiadomo o zakresie ich umiejętności ani o tym, jak je wykorzystywali. Założyli tu kiedyś kolonię, inaczej po co byłby im przewodnik na taśmie? Tylko tego jesteśmy pewni.

- Załóżmy... - Ross położył się na brzuchu i skrzyżował ramiona pod brodą. - Załóżmy, że moglibyśmy odkryć cząstkę tej wiedzy...

Wargi Ashe'a znów się zacisnęły.

- Teraz już musimy podjąć to ryzyko.

- Ryzyko?

- A czy dałbyś dziecku jedną z tych broni ręcznych, które znaleźliśmy w porzuconym statku?

- Jasne, że nie! - prychnął Ross. Zrozumiał aluzję. - To znaczy, że nie jesteśmy godni zaufania?

Odpowiedź łatwo można było odczytać z twarzy Ashe'a.

- Po co więc ten cały wysiłek, to polowanie na kłopoty?

- Wciąż ten sam problem, nasze utrapienie. Co się stanie, jeśli Czerwoni odkryją coś pierwsi? Pamiętaj, że i oni wygrali kilka planet w loterii taśmowej. Są niczym piła: my ruszamy tam, oni odwrotnie. Albo uratujemy rasę, albo ją stracimy. Pewnie teraz równie gorączkowo przeczesują swoje gwiazdne kolonie w poszukiwaniu paru odpowiedzi.

- Zatem udamy się w przeszłość, jeśli zajdzie potrzeba. Cóż, chyba mógłbym się obyć bez odpowiedzi, które znali Łysawcy. Przyznaję jednak, że chętnie bym się dowiedział, co tutaj zaszło dwa, pięć czy dziesięć tysięcy lat temu.

Ashe wstał i rozprostował ramiona. Po raz pierwszy na jego ustach zagościł uśmiech.

- Wiesz co, nawet podoba mi się ten pomysł z łowieniem ryb przy kiwającym palcu Karary. Może ma rację i wreszcie zacznie nam sprzyjać szczęście?

Twarz Rossa nie zdradzała żadnych uczuć. Wstał, żeby przygotować kolację.

## 2. SIEDZIBA MANO NUI

Tuż pod powierzchnią morza woda była ciepła. Dziwaczne życie mieniło się tymi kolorami, które Ross umiał nazwać, i takimi, których nie potrafił określić. Zamieszkujące oceany Ziemi korale, zwierzęta ukryte pod postacią roślin, a także rośliny przypominające kształtem zwierzęta miały tutaj swoje odpowiedniki. Osadnicy nadali im swojsko brzmiące nazwy, chociaż kraby, ryby, ukwiały i wodorosty płytkich lagun i raf nie wyglądały jak lustrzane odbicia stworzeń na Ziemi. Kłopot w tym, że wielkie bogactwo życia mamiło wzrok, odwracało uwagę i odciągało od bieżącej pracy: poszukiwań czegoś nienaturalnego, co nie pasowałoby do tego miejsca.

Podobnie jak lądy upajały zmysły i rzucały czar na przybysza z innej planety, tak morze swoim urokiem kazało zapomnieć o obowiązkach. Ross przepływał opodal pogmatwanego, falującego gąszczu koronkowych roślin w kolorze przechodzącym od ciemnej, niemal czarnej zieleni do mętnego, trudnego do określenia odcienia oliwki. Wśród rozbujanych wachlarzy nurkowały rybki widma, pływaczki z płetwami o tak przezroczystych ciałach, że można było dojrzeć poprzez bladą skórę resztki niedawno połkniętego posiłku.

Ziemianie rozpoczęli gruntowne poszukiwania przed półgodziną. Wyskoczyli z łodzi i wystartowali do punktu zbiórki na wyspie w kształcie palca - grupa doskonałych nurków, mężczyzn i dziewcząt czujących się pod wodą niczym u siebie w domu, pragnących dokonać odkrycia, na którym tak bardzo zależało Ashe'owi... Jeśli w ogóle było co odkrywać.

Na Hawaice tajemnica goni tajemnicę, pomyślał Ross, trącając harpunem przepływającą obok kurtynę z wodorostów, ciekaw, co się pod nią chowa. Tubylcze życie na tej planecie musiało zawsze funkcjonować, opierając się na środowisku wodnym. Osadnicy napotkali na wyspach tylko parę gatunków niedużych zwierząt. Największym z nich był ryjec, istota o tyle podobna do miniaturowej małpy, że miała tylne nogi przeznaczone do chodzenia i przednie łapy uzbrojone w długie pazury przydatne do kopania, a używane z równą zręcznością i wprawą jak ręce przez ludzi. Bezwłose ciało umiało przybierać, niczym kameleon, barwę ziemi i kamieni, pośród których mieszkało. Głowa była osadzona bezpośrednio na pochyłych ramionach, z pominięciem szyi. Blisko czubka głowy widniały dwa okrągłe paciorki oczu, funkcję organu powonienia pełniła prosta pionowa szpara, a kły w szerokim pyszczku z łatwością miażdżyły okryte skorupą stworzenia - główny pokarm ryjca. Zwierzę wyglądało dość odpychająco, przynajmniej dla człowieka, jednak, zgodnie z dotychczasowymi ustaleniami osadników, była to najwyższa forma lądowego życia. Łupem ryjca padały mniejsze niby-gryzonie, dwa gatunki bezskrzydłych ptaków nurkujących w wodzie, grupka dziwacznych gadów i wychodzące czasem na ląd amfibie.

Czy na tym świecie mórz i wysp kwitło niegdyś rozumne życie? Może istniała tu tylko galaktyczna kolonia, a przed przybyciem kosmitów planeta nie miała rodzimej populacji? Ross unosił się ponad ciemną czeluścią, gdzie dno zapadało się gwałtownie, tworząc zagłębienie w kształcie spodka. Wodorosty falowały wzdłuż krawędzi, nadając im poszarpany kształt, lecz ogólny zarys z czymś się nieodparcie kojarzył...

Ross zaczął opływać dziurę dookoła. Biorąc poprawkę na zniekształcenie konturów przez rośliny, które tworzyły barylkwate narośle lub na podobieństwo wież strzelały ku powierzchni, to miejsce wyglądało z pewnością nienormalnie! Zbyt równe wgłębienie miało regularny zarys. Ross wyzbył się wątpliwości. Zaczął opadać w głąbię z dreszczykiem emocji, usiłując wypatrzeć oznaki potwierdzające jego założenie.



Przez ile lat czy stuleci gromadziło się tu powoli podmorskie życie, rozrastało się, obumierało, dawało podłoże dla coraz to nowych stworzeń? Teraz tylko niewyraźne ślady świadczyły o nienaturalnym pochodzeniu dziury.

Uchwyciwszy się jedną ręką kawałka hawaikańskiego koralu - gładszego niż odmiana spotykana na Ziemi - Ross sięgnął kolbą harpuna do najbliższej ściany spodka, próbując rozdzielić dwa krzaki wodorostów, aby sprawdzić, co się za nimi kryje. Ostrze odskoczyło. Tak delikatne narzędzie nie mogło przebić twardej pokrywy. Ale może gdy zejdzie niżej, lepiej mu się poszczęści.

Nie przypuszczał, że otwór będzie taki głęboki. Światło rozjaśniające zagłębienie znikło zupełnie. Czerwienie i żółcie ustąpiły miejsca zieleniom i błękitom w odcieniach, jakich nie znalazłoby się wyżej. Ross włączył wodoszczelną latarkę i jasny snop światła przywrócił natychmiast dawne kolory. Kłęb wodorostów, w blasku latarki różowy, dalej przebarwiał się na ciemnoszmaragdowo, jakby miał kameleonowe zdolności ryjców.

Fenomen ten zaciekał Rossa do tego stopnia, że naruszył ważną zasadę nurkowania: zaabsorbowany otoczeniem, zapomniał o środkach ostrożności. Kiedy właściwie dostrzegł ten cień na dole? Czy wtedy, gdy spomiędzy zarośli wyskoczyła znienacka ławica rybek widm? Odprowadził je światłem latarki, a po chwili na skraju świetlnej smugi przemknął nieokreślony kształt. Zakołysała się woda w posępnej otchłani.

Ross okręcił się dokoła własnej osi i wsparł plecami o ścianę uskołu, kierując latarkę na to, co sunęło do góry. Przez długą, pełną napięcia chwilę blask oblewał i wydobywał z mroku istotę jakby zrodzoną z koszmarów na jego własnej planecie. Wreszcie Ross zrozumiał, że potwór jest mniejszy, niż na to wyglądał w ciągu tej pierwszej przerażającej minuty; chyba nie większy od zwykłego delfina.

Jako agent, odbył szkolenie na nawiedzanych przez rekiny morzach Ziemi. Wpojono mu umiejętność zachowania się w obliczu groźnych myśliwych z głębin i z oceanicznych dżungli. Ale takie stwory jak ten zamieszkiwały wyłącznie baśnie ludzi z jego rasy, jako smoki ze starych legend. Okryty łuskami łeb z szeroko rozstawionymi ślepiami, które łapały w świetle posępnie i nienawistnie, rozwarta paszcza pełna zębów, pysk uzbrojony w róg, długa falista szyja, a poniżej na wpół widoczne monstrialne cielsko.

Ani harpun, ani nóż za pasem nie mógł uratować Rossa; nie śmiał jednak odwrócić się plecami do wznoszącej się głowy. Przyłgnął do ściany wnęki. Stwór nie spieszył się wcale do ataku. Spozstrzegł go najwyraźniej i podpływał teraz z opieszałością myśliwego, który dobrze wie, jak zakończą się łowy. Dokuczało mu chyba światło, a zatem Ross celował latarką prosto w złe oczy.

Szok spowodowany nagłym spotkaniem z wolna ustępował. Ross wsunął płetwę w szczelinę, by nie stracić równowagi, a jego dłoń popęzła do pasa, gdzie chował komunikator działający na zasadzie sonaru. Wystukał sygnał o pomoc, który delfiny mogły przekazać pozostałym nurkom. Kiwający się na boki łeb potwora zamarł na wyciągniętej, sztywnej szyi - łuskowatym filarze pośrodku cylindrycznego wgłębienia. Fala ultradźwięków albo zaskoczyła, albo też dała do myślenia łowcy i kazała mu mieć się na baczności.

Ross ponownie wystukał sygnał. Był coraz mocniej przeświadczony, że w przypadku próby ucieczki czeka go zguba, musiał więc zajrzeć w oczy niebezpieczeństwu. Uchwycił się kurczowo wodorostów. Łeb potwora zawisł ledwie kilka cali poniżej jego płetw.

Znów zobaczył kołysanie, uniesienie głowy, drzenie przebiegające wzdłuż węzowej szyi, wzburzenie wody. Smok płynął. Ross skierował snop światła dokładnie na środek pyska. Łuski, o ile potrafił dostrzec, nie były rogowymi płytkami, tylko zachodzącymi na siebie

srebrzystymi owalami jak u ryb. A podbrzusze poczwary można by chyba przebić harpunem. Jednak świadom, że trafiony strzałami z tej broni rekin potrafił przeżyć, Ross postanowił atakować dopiero w ostateczności.

Powyżej i nieco na lewo widniała niewielka nisza, skąd kiedyś musiała oderwać się większa kępa wodorostów. Gdyby udało mu się tam schronić, kto wie, może zdołałby powstrzymać zapędy bestii do czasu nadejścia pomocy. Ross poruszał się z wyjątkową ostrożnością. Dłoń dotknęła brzegu niszy i agent dał nura do wnętrza, o włos unikając morderczych zębów szturmującego smoka. Potwierdziło się jego wcześniejsze przypuszczenie: stwór ma zwyczaj nacierać na wszystko, co zechce mu uciec. Prysty nadzieje dotarcia na powierzchnię.

Stał teraz w szczelinie, wyglądał na zewnątrz i obserwował łeb przecinający wodę. Gdy wyłączył latarkę, nagłe ciemności oszołomiły gada na kilka cennych sekund. Ross cofnął się, ile mógł, do miejsca, gdzie ramię dotknęło śliskiej, gładkiej i zimnej powierzchni. Trwoga wywołana tym doznaniem omal nie wypchnęła go z powrotem na środek głębiny.

Zaciskając kurczowo prawą dłoń na grocie harpuna, lewą ostrożnie badał ścianę. Opuszkami palców muskał równą powierzchnię tam, gdzie kępa wodorostów została wyrwana lub zdarta. Nie mógł ani nie śmiał odwrócić głowy, ale zdobył pewność, że ściany tego swoistego spodka zostały ukształtowane i umieszczone tu przez jakieś rozumne stworzenie.

Zwierz tymczasem podpłynął wyżej. Unosił się teraz w wodzie dokładnie naprzeciwko wylotu niszy Rossa. Jego szyja falowała aż po sam kadłub. Ciało, u góry masywne, zwięzające się ku dołowi, nasuwało Rossowi niejasne skojarzenia. Gdyby ktoś zaopatrzył ziemską fokę w głowę gorgony, a jej futro zamienił na łuski, efekt byłby podobny. Tyle że Ross w tej chwili nie patrzył na fokę.

Nieznaczące ruchy płetw utrzymywały potwora w jednym miejscu, jakby znajdował oparcie na twardej powierzchni. Szyja przygięła się do tułowia, a łeb opadał łukiem, dopóki czubek rogu na pysku nie wskazał na brzuch Rossa. Ziemianin ważył w dłoni harpun. Oczy smoka stanowiły doskonały cel; gdyby stwór przystąpił do ataku, Ross strzeliłby prosto w te ślepie.

Zarówno człowiek, jak i smok tak byli zajęci wstępem do pojedynku, że żaden nie zauważył nagłego wzburzenia wody ponad nimi. Połyskujący, ciemny kształt przeszył toń, mignął za garbatym grzbietem smoka. Niektórzy osadnicy wykształcili w sobie znaczną zdolność telepatycznego nawiązywania kontaktu z delfinami, lecz możliwości Rossa w tym względzie były nader skromne.

Pewien przybywającej pomocy, znalazł okazję do ataku. Smoczy łeb wykonał gwałtowny skręt, gdy gad usiłował dostrzec, co się dzieje za jego długim ciałem. Jednak nieostra sylwetka delfina zaraz zniknęła z pola widzenia. Machnięcie głową kosztowało potwora utratę równowagi; cielsko znalazło się bliżej Rossa.

Ziemianin nie wymierzył dobrze i wypalił za szybko; ostrze minęło więc głowę smoka. Tylko lina harpuna oplotła szyję bestii, która wydawała się tym speszona. Ross skulił się w kryjówce i dobył noża. W starciu z tymi kłami nóż stanowił dziecianną zabawkę, ale nie miał nic innego.

Delfin dał nura, nacierając na gada, lecz tym razem schwycił pyskiem linę harpuna i tak nią szarpnął, że smok zachwiał się jeszcze bardziej i odpłynął od Rossa ku środkowi spodka.

Ross dostrzegł, że dwa delfiny wodzą potwora za nos jak matadorzy byki - ani na chwilę nie dawały mu spokoju zręcznymi manewrami. Widocznie ofiary padające zazwyczaj łupem hawaikańskiej poczwary zachowywały się inaczej, stwór zatem nie umiał sobie poradzić

ze śmiałą, dokuczliwą taktyką delfinów. Żaden z nich nie dotknął bestii, lecz oba bez ustanku próbowały sprowokować go do pościgu.

Smok kręcił się w kółko, chcąc dopaść dręczycieli, ale wciąż pozostawał na wysokości niszy i raz po raz zwracał łeb do Rossa: nie chciał porzucić upatrzonej zdobyczy. Teraz już tylko jeden z delfinów miotał się obok. Komunikator umocowany do pasa zawibrował silnie u boku Rossa, uprzedzając o przygotowaniach do rozpoczęcia kolejnego etapu operacji. Gdzieś wysoko zbierali się jego towarzysze. W odpowiedzi Ross wystukał spiesznie kod swojego sygnału.

Dwa delfiny znów się zakrzętały i ostatnią szarżą zepchnęły potwora na sam środek krateru. Mignęły jeszcze raz, po czym znikły. Smok popłynął do góry, jednak na spotkanie z hawaiką bestią opadała już świetlista kula, w której blasku kontury nabierały ostrości, a kolory żywych odcieni.

Ross uniósł szybko ramię, by zasłonić oczy. Wraz z błyskami światła rozchodziły się w wodzie tak intensywne wibracje, że zareagowały nawet jego nerwy, dużo mniej czułe niż otaczających go żywych organizmów. Zmrużył oczy za maską. Jakaś ryba popłynęła ku powierzchni spiralnym ruchem, brzuchem do góry. Wokoło wodorosty wędły w oczach, kołysały się martwo w wodzie. Na mroczne dno zagłębienia zsuwało się także nieruchome cielsko potwora. Broń, udoskonalona na Ziemi do zwalczania rekinów i barakud, działała również tutaj, zabijając znacznie groźniejsze istoty.

Ziemianin wydobył się z niszy i ruszył do góry na spotkanie z drugim nurkiem. Ashe schodził coraz głębiej, a przez ten czas Ross składał relację za pośrednictwem komunikatora. Delfiny zapuściły się w otchłań w ślad za niedawnym wrogiem.

- Popatrz tutaj. - Ross poprowadził Ashe'a do swojej zbawczej kryjówki i skierował się na nią strumień światła. Miał rację! W okrywie wodorostów widniało spore wyżłobienie, pionowy pas długi na dwa metry, jednolicie szary.

Ashe dotknął znaleziska i krzyknął przez komunikator:

- Nareszcie coś mamy!

Ale co? Pełna ekipa nurków przez godzinę prowadziła badania, ale mimo specjalistycznej wiedzy Ashe'a w dziedzinie artefaktów i pozostałości dawnych kultur nadal nie rozwiązali zagadki. Oczyszczenie całego krateru wymagało wiele wysiłku i użycia narzędzi, jakich nie mieli przy sobie. Osiągnięto postęp tylko w szacowaniu rozmiarów i kształtu obiektu. Okazało się przy tym, że jego ściany zbudowane są z materiału, który, choć od dawna oblepiany przez morskie żyjątka, nie ulegał korozji. Na szarej powierzchni nie było najmniejszego śladu upływu czasu czy jakichkolwiek zarysowań.

Na samym dole znaleziono leże smoka: łukowatą wnękę obrośniętą wodorostami, przed którą spoczęło martwe cielsko. Z pomocą delfinów wyciągnięto je na powierzchnię, by poddać oględzinom na brzegu. Ale ta wnęka... Czyżby stanowiła element dawnej konstrukcji?

Oświetlając sobie drogę latarkami, wpłynęli między cienie, lecz zagadka wciąż pozostawała zagadką. Wewnątrz tu i ówdzie widzieli skrawki tej samej szarej powierzchni. Ashe wetknął w piasek podłoża kolbę harpuna, a przy okazji odkrył kolejne owalne zagłębienie. Ale co to wszystko oznaczało lub jakie było przeznaczenie tego miejsca, mogli tylko zgadywać.

- Ustawimy tu próbnik? - zapytał Ross. Ashe pokręcił głową przecząco.

- Trzeba szukać dalej. Poszerzyć krąg poszukiwań - wychrypiął komunikator.

Już po kilku minutach delfiny meldowały odnalezienie następnych pozostałości - zauważyły jeszcze dwa spodki, większe od pierwszego, ustawione na dnie w linii prostej,

nakierowanej dokładnie na Wyspę Palca Karary. Skrupulatna inspekcja nie natrafiła wewnątrz nich na groźne ślady życia; nie wypłoszono więcej smoków.

Kiedy Ziemianie wyszli na brzeg Wyspy Palca, aby odpocząć i zjeść południowy posiłek, jeden z nich wymierzył krokami długość wywleczonego na plażę potwora. Na lądzie nie stracił on nic ze swojego groźnego wyglądu. Widząc martwe cielsko, Ross pomyślał, że chyba ma szczęście, skoro przeżył spotkanie z tym stworem bez żadnego uszczerbku.

- Myślę, że to samotnik - orzekł PaKeeKee. - Drapieżniki tych rozmiarów żerują zwykle w pojedynkę.

- To Mano-Nui! - Dziewczyna imieniem Taema z drzeniem w głosie uznała potwora za demona w rekiniej skórze, znanego z legend w jej szczepie. - W tych wodach to prawdziwie królewski rekin! Tylko czemu nie spotkaliśmy dotąd jego krewniaków? Tino-rau, Taua... niczego nie meldowały...

- Może dlatego, że te stwory są tu bardzo rzadkie, jak twierdzi PaKeeKee - odparł Ashe. - Taki wielki mięsożerca musiał wytyczyć sobie rozległy obszar łowny, chociaż ślady dowodzą, że od dłuższego czasu przebywał w swoim legowisku. A to oznacza, że innym przedstawicielom tego samego gatunku nie wolno przekraczać określonych granic jego terytorium. Karara pokiwała głową.

- Pewnie polował raz na jakiś czas, jadł do syta, a potem leżał spokojnie i trawił pokarm. Na Ziemi też żyją wielkie węże, które się podobnie zachowują. Jeden z nich zaatakował Rossa na podwórku przed domem...

- Teraz już wiemy - Ashe wgrzył się w owoc - czego się wystrzeżać i jaką bronią to niszczyć. Nie zapominajcie o tym.

Czułe mechanizmy komunikatorów potrafiły rejestrować wibracje stanowiące ostrzeżenie o bliskości smoka, a kule głębinowe mogły zakończyć sprawę.

- Ma wielką czaszkę w porównaniu do reszty ciała. - PaKeeKee kucnął przy głowie leżącej w piasku, tkwiącej na końcu wyprostowanej teraz szyi.

Do tej pory Ross przejmował się raczej uzbrojeniem tej głowy: kłami osadzonymi w potężnych szczękach i rogiem na pysku. Dopiero komentarz PaKeeKee uświadomił mu, że łuskowata, uwypuklona nad oczodołami czaszka mieści zapewne mózg o dużej pojemności. Czyżby stwór obdarzony był inteligencją? Karara jakby czytała w jego myślach.

- Zasada Pierwsza? - rzuciła i poszła obejrzeć ścierwo.

Ross zignorował jej pytanie; nie wiedział, czy adresowała je do niego, czy też głośno myślała.

Zasada Pierwsza: w największym możliwym stopniu chronić tubylcze życie. Nie tylko formy humanoidalne przejawiają oznaki wyższej inteligencji.

Na Ziemi słuszności tej zasady dowodziły delfiny. Tylko czy Zasada Pierwsza oznaczała, że należało pozwolić potworowi dać się zjeść, bo może to być rozwinięta forma obcej inteligencji? Niechże sobie Karara recytuje treść Zasady Pierwszej, przyparta plecami do ściany w podwodnej szczelinie, z brzuchem na celowniku smoczego rogu!

- Zasada Pierwsza nie wyklucza obrony własnej - oświadczył spokojnie Ashe. - Ten stwór jest myśliwym. Nikt nie powinien próbować korzystać z technik rozpoznawczych, jeżeli jest upatrzony na potencjalną ofiarę. Jeśli jesteś silniejszy lub dorównujesz siłą, owszem, wstrzymaj się i pomyśl, czy warto okazywać agresję. Ale w podobnej sytuacji... lepiej nie ryzykować.

- Tak czy owak, dałoby się go chyba sparaliżować, a nie zabijać - odrzekła Karara.

- Hej, Gordon! - PaKeeKee odwrócił ku niemu głowę. - Co właściwie znaleźliśmy...

prócz tego tutaj?

- Trudno powiedzieć. Wiemy tylko, że te wgłębienia nie powstały przypadkowo i że istnieją tu już od dawna. Czy od początku znajdowały się pod wodą, czy może łąd się zapadł, tego także nie wiemy. Tyle że wreszcie mamy miejsce zdadne do ustawienia sondy.

- Bierzemy się od razu do roboty? - chciał wiedzieć Ross. Trawiła go niecierpliwość. Ashe jednak zmarszczył brwi i potrząsnął głową.

- Nasze miejsce trzeba najpierw dobrze sprawdzić. Nie chciałbym zapoczątkować reakcji łańcuchowej po drugiej stronie czasowego muru.

Ross musiał mu w duchu przyznać rację. Pamiętał jeszcze wydarzenia, które się rozegrały, gdy władcy galaktyki odkryli bramy czasowe Czerwonych i ruszyli po ich śladach do dwudziestego stulecia, by bezlitośnie zniszczyć każdą instalację. Pierwotni mieszkańcy Hawaiki byli niczym tytani wobec ziemskich pigmejów w dziedzinie zaawansowanych technologii. Niedyskretne użycie sondy niedaleko ich przyczółków mogło sprowokować szybką i straszliwą akcję odwetową.

### 3. STAROŻYTNI MARYNARZE

Na żwirze plaży rozłożyli i usztywnili kamyczkami kolejną mapę.

-Tu, tu i tu... - Palec Ashe'a wskazywał linie rozbiegające się wachlarzowato z trzech boków Wyspy Palca. Każda z nich oznaczała zespół trzech podwodnych zagłębień, ułożony prostopadle do linii lądu, który był niegdyś, zgodnie z galaktyczną mapą, przylądkiem większego kontynentu. Chociaż Ziemianie odnaleźli ruiny - jeśli nazwa ta pasowała do podwodnych spodków - znaczenie tych reliktyw przeszłości nadal pozostawało wielką niewiadomą.

- Ustawiamy tutaj sprzęt? - zapytał Ross. - Gdyby choć udało się odesłać raport... - Wiedział, że wtedy twórcy założeń projektu szybko nawiązaliby współpracę i niebawem popłynąłby w tę stronę strumień ludzi i wyposażenia.

- Ustawiamy - zdecydował Ashe.

Wyznaczył punkt pomiędzy dwiema liniami, gdzie rafa zapewniała stabilne podłoże. Ledwie podjęto decyzję. Ziemianie wzięli się do dzieła.

Zostały im dwa dni na zainstalowanie próbnika i zrobienie kilku zdjęć. Potem statek miał odlecieć bez względu na to, czy zdążą dostarczyć na pokład konkretne materiały. Ashe i Ross spławiali razem na rafę elementy instalacji, Ui i Karara pomagały w holowaniu wyposażenia, delfiny, gdy było trzeba, popychały ładunek nosami. Wodne ssaki wykazywały równe zainteresowanie jak ludzie, którym pomagały. A w morzu ich pomoc była nieoceniona. Gdyby delfinom wykształciły się ręce, pomyślał Ross przelotnie, pewnie dawno odebrałyby władzę - przynajmniej na oceanach - rodzajowi ludzkiemu.

Ludzie pracowali z nabytą wprawą. Pływali w maskach pod wodą, aby ustawić sondę na właściwym miejscu, kierując jej obiektyw w stronę lądu, ku skale przypominającej paznokieć palca. Kiedy Ashe dokonał ostatnich poprawek i przetestował każdą bez wyjątku część urządzenia, skinął na nich dłonią.

Karara, żywo gestykułując, zadała jakiś pytanie. Komunikator Ashe'a przesłał szyfrowaną odpowiedź:

- O zmroku.

Tak, zmierzch nadawał się najlepiej do wysłania sondy. Bezpieczeństwo mogła im zapewnić wyłącznie możliwość widzenia wszystkiego przy równoczesnym uniknięciu rozpoznania. Ashe nie miał żadnych wskazówek co do historii tych ziem. Kto wie, czy poszukiwania dawnych mieszkańców nie przerodzą się w długotrwały, żmudny proces przeskakiwania przez stulecia, ponieważ aparatura została przystosowana do ziemskich okresów.

- Kiedy tu byli? - Po wyjściu na ląd Karara wstrząsnęła grzywą włosów i rozpostarła je na ramionach, by wyschły. - Ile setek lat przemierzy nasza sonda?

- Raczej tysiący - skorygował Ross. - Odkąd zaczniemy, Gordon? Ashe stał piasek z kartki notesu wspartego o zgięte kolano i spojrzał na rafę, gdzie ustawili próbnik.

-Od dziesięciu tysięcy... Wiemy, że na Ziemi rozbijały się wówczas statki władców galaktyki. A zatem ich imperium... jeśli można mówić o imperium... miało wtedy szeroką sferę wpływów. Może osiągnęli właśnie szczyt rozwoju cywilizacyjnego, a może staczali się już po równi pochyłej? Wątpię, by dopiero wchodzili na wyżyny. Z tego wynika, że na początek to z pewnością dobra data. Jeśli nie utrafimy w sedno, zawsze możemy szukać dalej.

- Myślisz, że ta planeta miała kiedykolwiek własną populację?

- Niewykluczone.

- Ale bez dużych zwierząt. Nie znaleziono żadnych śladów. - protestowała Karara.

- Ludzi też nie, prawda? - Ashe wzruszył ramionami. - Różnie to można tłumaczyć.

Założmy, że wybuchła epidemia jakiejś choroby o zasięgu światowym i wymarł cały gatunek. Albo zdarzyła się wojna, w której użyto niewyobrażalnej broni, by przeobrazić powierzchnię planety... co, moim zdaniem, właśnie się wydarzyło. Wiele czynników mogło zgładzić rozumne życie. Może dopiero po nich takie gatunki jak ryjce rozwinęły się lub ewoluowały z mniejszych, prymitywniejszych form życia?

- Pamiętasz małpoludów, których spotkaliśmy na pustynnej planecie? - Ross wrócił wspomnieniami do ich pierwszej wyprawy automatycznym statkiem. - Może i oni kiedyś byli ludźmi, a potem ich rasa zaczęła ulegać degeneracji? Z drugiej strony, skrzydlaci ludzie mogli w niewielkim tylko stopniu przypominać człowieka na niższych szczeblach drabiny ewolucyjnej...

- Małpoludy? Skrzydlaci ludzie? - przerwała Karara. - Opowiedzcie!

Chociaż nie podobał mu się władczy ton dziewczyny, Ross opisał jej ze szczegółami dawne przygody, najpierw na planecie piasków i zamkniętych budowli, gdzie statek zatrzymał się z powodów, jakich nigdy nie zrozumieli jego pasażerowie, a później w trakcie badań drugiej planety, przypuszczalnie będącej wcześniej stolicą rozległego gwiazdowego imperium. Tam właśnie zawarli przymierze ze skrzydlatymi ludźmi, którzy mieszkali w olbrzymich budynkach zarośniętej przez dżunglę metropolii.

- Jednak sami widzicie, że kogoś udało wam się znaleźć... Tych skrzydlatych ludzi, no i małpoludy. - Polinezyjka popatrzyła na Ashe'a, kiedy Ross zakończył opowieść. - Tutaj znajdziecie tylko ryjce i smoki. Chciałabym wiedzieć, czy stanowią pierwszy, czy ostatni szczebel ewolucji.

- Czemu? - spytał Ashe.

- Nie chodzi o to, że jestem ciekawa, chociaż to też. Ale i my mamy swój początek i koniec. Czy wyszliśmy z oceanów, zdobywając wiedzę, myśląc i czując po to tylko, by ostatecznie wrócić do początków? Skoro wasi skrzydlaci ludzie się wspinali, a małpoludy staczały... - Potrząsnęła głową. - To przerażające, by w jednej ręce trzymać dwa końce sznura życia. Czy takie podpatrywanie wyjdzie nam na dobre, Gordon?

- Ludzie zadawali sobie to pytanie, odkąd zaczęli myśleć, Karara. Niektórzy mówili "nie", odwracali się plecami i usiłowali tu i ówdzie powstrzymać postęp wiedzy. Próbowali zatrzymać człowieka na jednym podejście schodów. Tyle że w nas jest coś takiego, co nie uznaje przestojów bez względu na to, jak słabo jesteśmy przygotowani do wspinaczki. Może bylibyśmy tu, na Hawaice, bezpieczni i niczym nie zagrożeni, gdybym dziś wieczór nie popłynął na tamtą rafę. Swoim zachowaniem mogłem sprowadzić na nas wszystkich wielkie niebezpieczeństwo, a mimo to nie potrafiłem się wahać. A ty byś mogła?

- Nie. Też bym się nie zawahała.

- Jesteśmy tu dlatego, że chcemy wiedzieć. Jesteśmy ochotnikami, a skoro taka nasza natura, musimy stawiać kolejne kroki.

- Nawet jeśli prowadzą do upadku - dodała cicho Karara.

Ashe popatrzył na nią uważnie. Dziewczyna wbijała wzrok w morze, gdzie spienione fale wskazywały położenie rafy. To, co powiedziała, było całkiem zwyczajne, lecz Ross się wyprostował, by złowić spojrzenie Ashe'a. Dlaczego przez moment poczuł niepokój, a jego serce zatrzepotało lekko, zamiast bić miarowo?

- Dużo wiem o takich jak wy agentach - podjęła Karara. - W czasie szkolenia sporo się o

was nasłuchiwała.

- Wyobrażam sobie. Na pewno różnych przesadzonych opowieści. - Ashe zaśmiał się, lecz w jego wesołości Ross znalazł nieszczera nutę.

- Pewnie tak, ale wątpię, by prawda była dużo łatwiejsza do przyjęcia. Słyszałam również o pewnej regule, której ściśle przestrzegacie: nie wolno wam robić niczego, co by zmieniło bieg historii. Powiedzmy jednak, że bieg historii ulegnie zmianie, a dawna katastrofa zostanie zażegnana. Co w takim przypadku stanie się z naszą kolonią... teraz i tutaj?

- Nie wiem. Jeszcze nigdy nie przeprowadziliśmy takiego eksperymentu. .. I nie przeprowadzimy.

- Nawet gdy będzie oznaczał szansę na przetrwanie całej rasy? - naciskała.

- Może powstałyby wtedy dwa światy alternatywne. - Wyobrażenia Rossa podsuwała mu różne obrazy. - Zaczęłyby odrębne istnienie w punkcie zmiany historii - rozważał, widząc jej zdziwioną minę. - Jako rezultat dwóch różnych decyzji.

- Już o tym słyszałam! Ale gdyby ci się udało, Gordon, wrócić do czasu, kiedy decydowały się tu najważniejsze sprawy, i mógłbyś powiedzieć tubylcom: "Tak, żyćcie!" albo: "Nie, umierajcie!", co byś wybrał?

- Sam nie wiem. Tak czy inaczej wątpię, czy znajdę się kiedykolwiek w podobnym położeniu. Czemu pytasz?

Ciągle wilgotne włosy skręciła w koński ogon i przewiązała tasiemką.

- Bo... bo czuję... Trudno mi to opisać słowami, Gordon. Takiego uczucia człowiek doznaje w przeddzień jakiegoś ważnego wydarzenia... Przeczucie, strach, podniecenie. Pozwólcie mi dziś z sobą wyruszyć, proszę! Chcę to zobaczyć... to znaczy nie Hawaikę, ale ten inny świat o innej nazwie, ten, który oni widzieli i poznali!

Ross miał sprzeciw na końcu języka, ale nie zdążył go wypowiedzieć, bo Ashe kiwał już głową na znak przyzwolenia.

- W porządku. Ale pamiętaj, że nie wiadomo, czy dopisze nam szczęście. Łowienie ryb w nurcie czasu to ryzykowna sprawa, dlatego nie bądź rozczarowana, jeżeli nie trafimy na twój inny świat. A teraz chciałbym przez dwie godzinki dać odpocząć starym kościom. Bawcie się, dzieci. - Położył się i zamknął oczy.

Ostatnie dwa dni usunęły połowę cieni z jego pociągłej, sniadej twarzy. Ubyło mu parę lat, pomyślał Ross. Niech no tylko wieczorem los się do nich uśmiechnie, a kuracja Ashe'a będzie niemal skończona.

- Co tu się zdarzyło, jak sądzisz? - Karara odwróciła się plecami do szemrzących fal. Twarz jej pociemniała.

- A skąd miałbym wiedzieć? Z dziesięć przyczyn przychodzi mi do głowy.

- Zaraz usłyszę, czy nie mogłabym się zamknąć i dać ci świętego spokoju - odparowała.

- Chyba też kochasz dreszczyk emocji związany z odkrywaniem kolejnych światów, a może się mylę? Mamy Hawaikę numer jeden, świat zupełnie dla nas obcy, oraz Hawaikę numer dwa, odległą w czasie, ale nie w przestrzeni. Badając ją...

- Tak naprawdę nie będziemy jej badać - wtrącił Ross.

- Czemu nie? Czy wasi agenci nie spędzali dni, tygodni, a nawet miesięcy w przeszłości Ziemi? Co wam broni powtórzyć to tutaj?

- Brak przeszkolenia. Nie mamy szans na przeprowadzenie treningu.

- Nie bardzo rozumiem.

- No cóż, na Ziemi nie było wcale tak łatwo, jak sobie wyobrażasz - zaczął z przekąsem.

- Tobie się wydaje, że tak po prostu przekraczaliśmy bramę i załatwiali sprawę, dajmy na to, w



Rzymie Nerona czy w Meksyku czasów Montezумы. Tymczasem każdy agent musiał zostać najpierw fizycznie i psychicznie przystosowany do epoki, którą miał zbadać. Potem odbywał trening, i to jaki! - Ross przypomniał sobie męczące godziny spędzone na nauce posługiwania się mieczem z brązu, na poznawaniu zasad handlu Beakera, na otrzymywaniu hipnotycznych wskazówek w języku martwym od dawna już wtedy, gdy powstało jego własne państwo. - Trzeba było poznać język, zwyczaje, wszystko, co tylko możliwe, o tamtym czasie i o twojej fałszywej osobowości. Jeszcze przed próbną podróżą człowiek musiał być perfekcyjnie przygotowany.

- A tutaj nie będziesz miał żadnych przewodników - zauważyła Karara, kiwając głową.

- Tak, teraz rozumiem całą trudność. A zatem użyjecie tylko próbnika?

- Tak sędzę. No, może później zrobimy wypad za bramę. Mamy dość materiału, by jedną wybudować. Ale byłby to mocno okrojony program, nie dopuszczający możliwości wpadki. Zobaczmy, co powiedzą wielkogłowi po analizie danych z naszej sondy. Może wymyślą dla nas jakiś sposób kamuflażu?

- Ależ to zajmie lata!

- Prawdopodobnie. Ale przecież pływać uczysz się w płytkiej wodzie, nie skaczesz od razu z klifu!

Roześmiała się.

- Co racja, to racja! Choć nawet przelotne zerknięcie w przeszłość może odsłonić rąbek wielkiej tajemnicy.

Ross odchrząknął, wyciągnął się na piasku i poszedł w ślady Ashe'a. Jednak za zamkniętymi powiekami umysł pracował pełną parą. Z trudem przychodziło mu zachować cierpliwość, której tak potrzebował. Nie miał nic przeciwko sondom, ale Karara wiedziała, co mówi. Nie wystarczyło uchylić rąbka tajemnicy, należało ją gruntownie zbadać.

Zachód słońca pogłębił róże i uwydatnił czerwień. Mieli teraz przed sobą karmazynowe morze, a za ich plecami cienie tonęły w bursztynowych smugach zamiast w ziemskich popielatych szarościach. Trzy sylwetki ludzkie, dwa delfiny i urządzenie zamocowane na rafie, może nawet nie istniejącej w czasach, których szukali. Ashe dokonał ostatecznych korekt i wcisnął przycisk. Wpatrywali się w ekran nie większy od dwóch złączonych dłoni.

Nic, tylko jednolita szarość! Musieli chyba źle poskładać urządzenie. Ross dotknął ramienia Ashe'a. Na ekranie cienie zaczęły gęstnieć, ciemnieć, a zarazem nabierać ostrości, aż pojawił się odległy obraz.

Wciąż trwał zachód słońca. Kolory były jednak bledsze, mniej czerwone i posępne niż te, które ich otaczały teraz. Nie widzieli wyspy, ku której skierowano próbnik. Mieli przed sobą poszarpaną linię brzegową, a klify wznosiły się wysoko nad pasem plaży. Na tych klifach... Ross nie zdawał sobie nawet sprawy z tego, że Karara chwyciła go za ramię i wbiła paznokcie w jego ciało. Prawie nie czuł bólu. Nad klifem stała budowla.

Masywne mury z kamienia pięły się do góry, tworząc zwieńczone wieżycami wały obronne. Na szczycie jednej z wież zatknięto trójkątny, powiewający na wietrze proporzec. Skalisty przylądek sięgał nie w ich stronę, ale ku północy, a zza niego...

- Czółno wojenne! - wykrzyknęła Karara, lecz Ross podał inną nazwę:

- Drakkar!

W rzeczywistości okręt nie był ani jednym, ani drugim. Ani podwójnym czółnem, na jakich wojownicy Pacyfiku łupili sąsiednie wyspy, ani też okrętem Wikingów z rzędem tarcz nad burzą. W każdym razie Ziemia nie mylili się co do jego przeznaczenia: śmigły statek o smukłym kadłubie został zbudowany z myślą o szybkim pokonywaniu morskich przestrzeni i o

chyżych zwrotach w czasie bitwy.

W ślad za pierwszym okrętem pojawił się drugi i trzeci. Żagle wyblakły w słońcu, lecz widoczne były na nich godła, których kontury lśniły niczym wymalowane metaliczną farbą.

- Patrzcie na zamek! - Okrzyk Ashe'a kazał im zwrócić uwagę z powrotem na ląd.

Na murach panowało poruszenie. Coś błysnęło; po chwili dość blisko prowadzącego okrętu trysnęła fontanna wody i ochlapała pokład.

- Oni walczą! - Karara przyłgnęła do ramienia Rossa, by lepiej widzieć.

Okręty zmieniały kurs, oddalały się od lądu, wypływały głębiej w morze.

- Poruszają się zbyt szybko, jak na same żagle, a nie widać żadnych wiosł. - Ross miał zdziwioną minę. - Co o tym myślicie?

Wciąż trwał obstrzał z zamkowych murów, lecz ani jeden pocisk nie trafił w cel. Okręty wyszły już poza zasięg rażenia, wiodący statek zniknął z pola widzenia sondy. Zamek kapał się w poświacie zachodzącego słońca. Ashe rozprostował plecy.

- Skały! - powtarzał w zamyśleniu. - Miotali skalami!

- Te statki musiały mieć jakieś silniki. Podczas ucieczki nie były zdane jedynie na żagle - uczyli kolejną zdumiewającą uwagę Rossa.

Karara patrzyła to na jednego, to na drugiego.

- Czegoś tu nie rozumiecie. O co chodzi?

- No tak, katapulty - mruknął Ashe, kiwając głową. - Mamy do czynienia z okresem odpowiadającym Imperium Rzymskiemu i czasom średniowiecza. Ale chyba masz rację, Ross, te okręty miały jakiś dodatkowy napęd, inaczej nie odpłynęłyby tak szybko.

- Zaawansowana technologicznie rasa w starciu z zacofanym ludem? - zaryzykował hipotezę młodszy z agentów.

- Kto wie? Sprawdźmy dalej.

Fala przyływu rozbijała się o rafę. Ashe musiał włożyć maskę, kiedy zanurzył głowę i ramiona, żeby ustawić odpowiednio urządzenie. Ponownie wcisnął guzik. Ross i dziewczyna wydali z siebie jednoczesne westchnienie. Znow te same klify, tyle że brakowało górującego nad nimi zamku: zamiast niego zobaczyli rumowisko kamieni. Natomiast tam, gdzie dziś znaleźli zagłębienie w kształcie spodka, stały wielkie pylony ze srebrzystego metalu, oblane ognistym blaskiem zachodzącego słońca. Dźgały niebo niczym kościste palce. Nie było statków ani śladu jakiegokolwiek życia. Nawet roślinność, przedtem bujnie pienia się u brzegu, znikła. Atmosfera śmierci i dojmującej pustki przytłoczyła Ziemiaków.

Ross przyglądał się uważnie pylonom. Szczegóły ich budowy coś mu przypomniały. Wspomniał planetę, gdzie znaleziony przez nich statek dwukrotnie lądował, by uzupełnić zapasy paliwa: jadąc do celu i w drodze powrotnej. Był to świat metalowych budowli. Ross odnosił wrażenie, że coś łączy wspomnienie tamtego widoku i oglądane teraz konstrukcje. Nie miały zapewne nic wspólnego ze zburzonym zamkiem na szczycie klifu.

Ashe schylił się po raz trzeci, aby przeprogramować sondę. Przy gasnącym już świetle obejrzeliby trzeci i ostatni obraz. Mogłaby to być ich wyspa z dnia dzisiejszego, gdyby nie brak roślinności i pewna kanciastość skalistych brzegów.

Czy te pylony stanowiły klucz do zmiany, jaka zaszła w tym świecie? Czym właściwie były? Kto je tam ustawił? Rossowi wydało się wreszcie, że znalazł odpowiedź: mieli przed sobą bez wątpienia produkt galaktycznego imperium. Ale co z zamkiem? Statkami? Tubylcami? Osadnikami? Dwie krańcowo różne epoki, złączone wspólną tajemnicą. Czy zdołają kiedyś znaleźć do niej klucz poza bramą czasu?

Popłynęli do brzegu, gdzie Ui rozpałała ogień i przygotowywała kolację.

- Ile lat różniło poszczególne sondowania? - Ross rozerwał palcami rybę z rusztu.  
- Pierwsze nastawiłem na dziesięć tysięcy lat wstecz, drugie. .. - tu Ashe się zawahał - ..  
.na dwieście lat później.

- Ale... - Ross wlepił wzrok w swojego szefa. - To oznacza, że...

- Że toczyła się tu wojna albo miała miejsce jakaś napaść.

- Według ciebie przybyli kosmici i tak po prostu zawładnęli całą planetą? - zapytała  
Karara. - Tylko dlaczego? No i do czego służyły te pylony? Z jakiego czasu pochodził ostatni  
obrazek?

- Upłynęło kolejnych pięćset lat.

- Wtedy nie było już nawet pylonów - zauważył Rosa. - Tylko dlaczego? - powtórzył  
pytanie Karary.

Ashe podniósł notes, jednak go nie otwierał.

- Myślę, że powinniśmy to wyjaśnić. - W jego głosie zabrzmiała twarda nuta.

- Otwieramy bramę?

Jedną odpowiedzią Ashe złamał wszystkie obowiązujące w ich służbie zasady.

- Tak, trzeba ją otworzyć.

## 4. ZAGROŻENIE SZTORMOWE

- Musimy poznać prawdę. - Ashe oparł się o dopiero co opróżnioną skrzynię. - Coś tu się wydarzyło w ciągu dwustu lat, a potem świat opustoszał.

- Puszka Pandory. - Ross przejechał ręką po czole, rozmazując pot zmieszany z miłym piaskiem. Ashe pokiwał głową.

- Może nawet i poniesiemy ryzyko ściągnięcia sobie na głowę tych przeklętych obcych, ale co się stanie, jeśli Czerwoni otworzą tę puszkę jako pierwsi na jednym ze światów kolonialnych?

Znów to samo - odwieczna ostroga, której ukłucia zmuszały do podejmowania ryzykownych działań. Na każdej z możliwych do wyboru ścieżek czekało na nich niebezpieczeństwo. Nie należało podejmować nieroztropnych prób odsłaniania sekretów galaktycznych władców, ale też nie wolno było pozwolić, by poznał je nieprzyjaciel. W tej sprawie w obu rękach trzymali rozpalone do białości żelazo. Ashe miał rację, natrafili na coś, co sugerowało, że oblicze całej planety zostało zmienione dla realizacji pewnego planu. A gdyby tak tajemnica tej zmiany przeniknęła do ich wrogów?

- Ciekawe, czy ludzie z zamku i żeglarze to tubylcy? - wypowiedział Ross głośno swoje myśli.

- Wcale niewykluczone, chociaż mogli też być kolonizatorami, którzy osiedlili się tutaj tak dawno, że rozwinęli własną, lokalną cywilizację... mniej więcej na poziomie społeczeństwa feudalnego.

- Pamiętaj o tym zamku oraz o ostrzeliwaniu kamieniami każe ci tak myśleć. Tylko co ze statkami?

- Walczyły ze sobą dwie oddzielne kultury na różnych szczeblach rozwoju. Może ta bardziej agresywna atakowała tę mniej rozwiniętą pod względem techniki. To tak, jakby amerykańskie krążowniki zawinęły w odwiedziny do japońskich portów w epoce szogunów.

Ross wyszczerzył zęby.

- Te krążowniki nie zdobyły sobie chyba uznania w oczach gospodarzy. Skręciły co tchu w morze, ledwie rozpoczęto ostrzał.

- Owszem, ale statki pasowały jakoś do zamku, czego przecież nie powiesz o pylonach!

- Na co obierzesz pierwszy kurs: na zamek czy na pylony?

- Chyba najpierw na zamek. Dopiero gdy nie znajdziemy żadnych wskazówek, wykonamy kilka skoków do przodu, aż trafimy w dziesiątkę. Tyle że czekają nas ogromne trudności. Gdybyśmy chociaż zdołali umieścić analizator gdzieś w zamku...

Ross nie okazywał zdziwienia. Skoro Ashe wypowiadał się tak stanowczo, zapewne nie zamierzał myszkować tylko tuż za bramą. Prawdopodobnie planował określenie wzorca mowy obcych, a następnie udanie się do nich na przesłpiegi.

- Gordon! - Między koronkowymi drzewami ukazała się sylwetka Karary. Nadchodziła w takim pośpiechu, że rozchłapywała zawartość niesionych w obu rękach kubków. - Tylko posłuchajcie, co mówi Hori...

Idący w ślad za nią wysoki Samończyk opowiadał jej coś z przejęciem. Po raz pierwszy, odkąd się znali, Ross ujrzał u chłopaka poważną, zatroskaną minę i pionowe zmarszczki na czole.

- Nadciąga silny sztorm. Wszystkie mierniki to wykazują.

- Kiedy tu dotrze? - Ashe zerwał się na nogi.

- Jutro, może pojutrze...

Ross nie dostrzegał żadnej zmiany na niebie, wyspie czy powierzchni morza. W ciągu sześciu tygodni od wylądowania dopisywała im cudowna pogoda. Aż dotąd nie natrafili na żaden ślad działalności niszczycielskich żywiołów w hawaikańskim rajku.

- Nadciąga, mówię wam - powtórzył Hori.

- Brama jest już w połowie skonstruowana - myślał Ashe na głos. - Tak wiele elementów niełatwo rozmontować w pośpiechu.

- Jeśli zdołacie ją złożyć - zapytał Hori - czy przetrzyma sztorm?

- Chyba tak. Przytwierdziliśmy ją do dna pod osłoną rafy. Trzeba będzie się spieszyć, jeżeli chcemy uprzedzić burzę.

Hori wyginał nerwowo palce.

- W tych sprawach, Gordon, możesz liczyć bardziej na nasze mięśnie niż na głowy, ale ile zdołamy, tyle pomożemy. Co ze statkiem? Odlot zgodnie z planem?

- Dowiedz się u Rimbaulta. Jak ten sztorm ma się do tajfunów na Pacyfiku?

Samończyk potrząsnął głową.

- Skąd mamy wiedzieć? Jeszcze nie mieliśmy tu do czynienia ze zmianą pogody.

- Wyspy są niskie - zauważyła Karara. - Woda i wiatr mogłyby...

- To prawda! W razie potrzeby musimy poprosić Rimbaulta, żeby udzielił nam schronienia.

Mieszkańcy sennej dotychczas osady zwijali się jak w ukropie. Postanowiono uciec na statek, jeśli burza osiągnie rozmiary huraganu, ale przed jej nadejściem koniecznie należało zakończyć instalowanie bramy. Końcowy montaż przypadł Rossowi i Ashe'owi; starszy z agentów zamocował ostatnią zasuwę, kiedy woda za rafą zaczęła się już burzyć na wietrze, a niebo - szybko ciemnieć na horyzoncie. Delfiny pływały sobie w najlepsze po lagunie razem z Karara, chociaż Ashe dwukrotnie machał do niej, by wróciła na brzeg.

Zgasły już promienie słońca, więc musieli pracować w świetle latarek. Ashe rozpoczął inspekcję najprostszej instalacji - dwóch pionowych metalowych żerdzi i matowej płyty między nimi, służącej za stopień. Był to tylko szkielec bram używanych niegdyś przez Rossa; ciągle eksperymenty zaowocowały powstaniem znacznie łatwiejszej w transporcie konstrukcji.

Owinęto siecią pojemniki z dodatkowym wyposażeniem, potrzebnym do rekonesansu: z zapasowymi skrzepakami, analizatorem, racjami żywnościowymi, apteczką i innymi podstawowymi artykułami. Ashe uaktywnił transfer; pręty lśniły mętym światłem, płyta błyszczała niezmierną błękitną poświatą. Prawdopodobnie pragnął zdobyć pewność, że wszystko działa.

Do opisu tego, co się potem wydarzyło, Ross nigdy nie znalazł odpowiednich słów. W jego wspomnieniach z tych chwil panował chaos. Nieraz już doświadczał spowodowanej przejściem dezorientacji, lecz tym razem został wciągnięty w wir sprzecznych doznań. Jego ciało oderwało się od świadomości, a on sam stracił wszelkie poczucie stabilności.

Machał odruchowo rękami i nogami. Już nie świadoma wola, a wyłącznie instynkt utrzymywał go na powierzchni wody, wśród spienionych bałwanów smaganego wiatrem morza. Wokół była tylko ciemność i skotłowana kipiela. Kiedy ogień błyskawicy rozdarł niebiosa, Ross wynurzył głowę, by ujrzeć w zdumieniu, że sztorm ciska nim w stronę brzegu - nie na plażę Wyspy Palca, ale ku klifom, gdzie woda uderza o niewzruszoną skalną ścianę.

Ross uzmysłowił sobie, że jakimś trafem został wypchnięty za bramę i że gdzieś wysoko nad nim wznosi się zamek. Ze wszystkich sił walczył o życie, by rozszalałe fale nie zmiądzły go o skały.

Poszarpana ściana strzelała ku niebu. Rzucił się w jej kierunku i objął ramionami skałę, by fale, które go tu przyniosły, nie zabrały swojej zdobyczy z powrotem na morze. Paznokcie łamały się na kamieniu, jednak palce prawej dłoni Rossa szybko znalazły wgłębienie. Uczył się tej nierówności z całej siły. Sytuacja zaskoczyła go bez żadnego ostrzeżenia i gdyby nie wyrobiony instynkt samozachowawczy, pewnie straciłby życie.

Kiedy fala się cofnęła, Ross podjął wysiłek, by wpełznąć wyżej na skałę. Jakoś zdołał się podźwignąć przed nadejściem następnej fali. Maskę skrzelopaku uchroniła go przed utonięciem w wirującym nurcie. Nie dając się nacierającej wodzie, trzymał się uparcie kamienia.

Między nawrotami fal uzyskiwał coraz pewniejsze, stabilniejsze oparcie. Nareszcie wdrapał się na sam wierzch skały, gdzie opryskiwała go tylko piana. Przykucnął wycieńczony, ciężko dysząc. Wściekły ryk przyboju, zmieszany z głuchym pomrukiem burzy, ogłuszał i oszołamiał prawie tak samo jak wyczerpująca próba, którą przeszedł przed chwilą. Choć na wpół tylko świadomy otoczenia, cieszył się ze zdobycia tego punktu oparcia.

Po pewnym czasie uwagę Rossa przykuły migotliwe, ruchome światełka na brzegu. Niektóre schodziły ku samym falom, inne błyskały wzdłuż krawędzi klifu. Nie miały nic wspólnego z burzą; niewątpliwie było to dzieło rąk ludzkich.

W blasku kolejnej błyskawicy poznał wreszcie odpowiedź. Na skraju rafy, której grzbiet niczym jezioro wybiegał w morze, kołysał się okręt, a właściwie dwa okręty, miotane bezlitosnymi falami. Światełka z pewnością przyniesli mieszkańcy zamku, którzy wylegli na brzeg, aby ratować rozbitków.

Ross popełnił chwiejnie po skałę wzdłuż podnóża klifu. Znów zagroziła mu drogę wzburzona topiel. Skok do niej mógłby się źle skończyć. Zawahał się... Raptem jego własne kłopoty zeszły na dalszy plan.

Przypomniał sobie, że Ashe wszedł przed nim w bramę czasu. Skoro Ross został wessany w przeszłość, gdzieś w wodzie lub na brzegu musi być także Gordon! Tylko jak go znaleźć?

Przyciśnięty plecami do klifu, trzymając się szorstkiego kamienia, Ross wstał z trudem i spróbował przebić wzrokiem rozkołysany bezmiar piany i wody. Nie tylko morze zalewało go falami. Tropikalny deszcz lał się z nieba potokami, kąsał głowę i ramiona. Chłodne strugi wywoływały dreszcze.

Miał przy sobie skrzelopak, pas obciążony drobnymi narzędziami i nożem w pochwie, pletwy i parę kąpielówek przydatnych na Hawaice, jaką dotąd znał. Ten świat był jednak diametralnie inny. Bał się użyć latarki, jednak obserwując światła na północy doszedł do wniosku, że chyba pochodzą z latarek, postanowił więc zaryzykować.

Stał na półce skalnej usianej wypełnionymi wodą zagłębieniami. Tuż obok po lewej stronie zauważył kocioł wirującej wody z kamiennymi szpikulcami. Zadrzał. Przynajmniej uniknął wpadnięcia do tej kipieli! Po prawej ręce dostrzegł wąski pas morza, a dalej następną półkę. Oszacował odległość między skałą, na której się usadowił, a tamtym występem. Tkwiąc w jednym miejscu, nie miał szans na odnalezienie Ashe'a.

Ściągnął pletwy i przypiął je do pasa. Skoczył, lecz lądowanie było bolesne: pośliznął się i upadł na brzuch. Gdy usiadł, pocierając posiniaczone i otarte kolano, dojrzał zbliżające się w jego stronę światełka. Na chwilę przysłonił je cień: jakiś człowiek wyczołgał się właśnie z wody. Ross pospieszył kulejąc w kierunku postaci leżącej nieruchomo poza zasięgiem fal. Ashe?

Kuśtykanie Rossa przeszło w trucht. Za późno: dwa inne światełka dotarły już do

cienia. Człowiek spoczywał twarzą do ziemi. Trzech ludzi zebrało się wokół wyczerpanego pływaka.

Tych, co trzymali pochodnie, nadal częściowo zakrywał mrok, lecz trzeci zgiął się, by przewrócić rozbitka na wznak. Kiedy tamten oglądał niedoszęłego topielca, Ross uchwycił błysk światła na metalowym hełmie i lśnienie mokrej zbroi dziwnego typu, okrywającej plecy i ramiona.

Nagle... Ross zmartwił z rozszerzonymi oczami. Ręka uzbrojona w ostrze uniosła się i opadła, mierząc precyzyjnie. Trójka przybyszów odwróciła się od człowieka zabitego bez litości. Czy był to Ashe? A może jakiś marynarz z wyrzuconych na skały okrętów?

Ross wrócił na swoją półkę. Wąska, oddzielająca go od skały struga wody, dzięki której uniknął utonięcia, zniknęła w pieczarze pod klifem. Czy powinien tam wchodzić? W masce, ze skrzepakiem mógłby zejść pod powierzchnię. Ale co będzie, jeśli rzuci go o kamienie?

Zerknął za siebie. Światła znalazły się w bezpośredniej bliskości jego półki skalnej. Wycofując się na poprzednie stanowisko, zostałby złapany w ślepym zaułku, nie śmiał bowiem nurkować w wirze po drugiej stronie. W gruncie rzeczy miał prosty wybór: zostać i dać się zabić albo poszukać ratunku w jaskini. Założył płetwy i zszedł do wody. Wąskie koryto wodne chroniły z dwóch stron skały, co hamowało nieco impet sztormu. Rossa ściągało z mniejszą siłą niż się spodziewał.

Brnął naprzód. Czepiał się skalnych występów, zalewany często po czubek głowy spienionymi falami. Wejście do jaskini było coraz bliżej. Wreszcie wszedł do środka, do komory znacznie większej od otworu wejściowego. Nie objawiały się tu z taką dzikością turbulencje wody.

Czy go dostrzeżono? Po minięciu wąskiego wejścia Ross trzymał się lewej strony jaskini, miarowo kołysany na fali. Widział na zewnątrz ogniste rozbłyski. Prawdopodobnie jeden z myśliwych pochylił się przy wąskim gardle przed jaskinią i przyświecał sobie pochodnią.

Ross wykrzywił pogardliwie usta. Tu, wewnątrz, on będzie miał przewagę. Niech no który z nich, a chociażby wszyscy trzej spróbują wejść do jaskini...

Nawet jeśli zauważono go od wylotu pieczary, żaden z tropicieli nie przejawiał ochoty do kontynuowania łowów. Światło zgasło i Ross pozostał w ciemnościach. Wolno doliczył do stu i dopiero gdy powtórzył tę czynność, odważył się zapalić latarkę. Miał szczęście, bo wewnątrz okazało się bardzo obszerne mimo wąskiego wejścia. Kiedy opuścił swoje miejsce przy ścianie, płynąc w stronę środka, odkrył, że im dalej w głąb groty, tym bardziej wznosi się dno.

W chwilę potem wyszedł z wody i przysiadł, drżący, na kamieniu oblewanym raz po raz przez malutkie fale. Znalazł tymczasowe schronienie, lecz nie zdołało to rozproszyć jego obaw. Czy to Ashe'a widział na brzegu? I dlaczego oprawcy tak prędko rozprawili się z pływakiem?

Statki rozbite na rafie, zamek na szczycie klifu... Czy załogi statków i mieszkańcy zamku byli wrogami? Bezlitosny postępek nadbrzeżnego patrolu przemawiał za tym, że trwa wojna, zaciekle i bezpardonowa, której podłoże stanowił prawdopodobnie konflikt między rasami.

Aby się czegoś dowiedzieć, musiał poczekać na ustanie sztormu. Sam skok do wody nie wystarczyłby, żeby znaleźć Ashe'a. A ucieczka brzegiem przed nieznanym wrogiem byłaby niczym prośba o śmierć bez zyskania w zamian żadnej korzyści. Nie, na razie musiał przeczekać tu burzę.

Odpiął latarkę od paska i oświetlił wyższe partie jaskini. Siedział na kamiennym

występie, który wcinał się klinem w wodę. Za plecami miał poszarpaną ścianę, nierówności obrastały girlandy roślin. Kiedy zdjął maskę, wyczuł odór gnijących ryb. Chwilowo nie dostrzegł żadnego wyjścia oprócz tego, którym się tu dostał.

Coś poruszyło wodę i Ross szybko skierował snop światła w mroczną toń. W jasnym strumieniu ukazała się połyskująca głowa. Nie był to żaden z rozbitków, ale delfin.

Ross wydał okrzyk zdumienia - ni to westchnienie, ni wołanie. Na moment pojawił się drugi delfin, a pomiędzy ich niewyraźnymi sylwetkami, zaraz pod powierzchnią, poruszało się trzecie ciało.

- Ashe! — Ross nie miał pojęcia, jakim cudem delfiny przeszły bramę czasu, ale nie wątpił, że doprowadziły Ziemiańnika w bezpieczne miejsce. - Hej, Ashe!

Ale to nie Ashe wydostał się ciężko z wody na spotkanie z wyciągniętą ręką Rossa. Ross zamrugął tylko, całkowicie zbity z tropu, napotykając wzrok Karary. Dziewczyna chwiała się na nogach.

Przytrzymał ją ramionami, a dygoczące ciało wsparło się na nim całym ciężarem. Karara z trudem uniosła dłoń ku masce, więc Ross ściągnął ją czym prędzej. Dziewczyna miała twarz bladą i ściągniętą. Zduszony szloch wstrząsał jej ciałem; urywanymi haustami łapała powietrze.

- Jak się tu dostałaś? - zapytał Ross, zanim jeszcze posadził ją na kamieniu.

Pokręciła powoli głową.

- Nie wiem... Byliśmy blisko bramy. Rozbłysło światło, a potem. .. - W głosie Karary zadźwięczała nuta hysterii. - Potem... znalazłam się tutaj... a ze mną Taua i Tino-rau. Ross, posłuchaj... Tam płynął jakiś człowiek. Dopłynął do brzegu. Właśnie stawał na nogi, kiedy go zabili!

Ross ścisnął ją za rękę i wbił wyczekujący, niespokojny wzrok w jej twarz.

- Czy to był Gordon?

Zamrugła, uniosła dłoń i potarła podbródek. Między palcami spłynęła cienka czerwona strużka.

- Gordon? - zapytała, jakby po raz pierwszy w życiu słyszała to imię.

- Tak. Zabili Gordona?

Kiwała się w przód i w tył w jego uścisku. Ross zauważył, że nią potrząsa. Odzyskał panowanie nad sobą. Iskra zrozumienia zajaśniała w jej oczach.

- Nie, to nie był Gordon. Gdzie właściwie jest Gordon?

- A więc go nie widziałaś? - naciskał Ross, choć zdawał sobie sprawę z bezcelowości takich pytań.

- Ostatnio widziałam go przed bramą. - Mówiła już wyraźniej. - Myślałam, że jesteście razem.

- Nie, byłem sam.

- Ross, gdzie my jesteśmy?

- Słuszniej byłoby zapytać, kiedy jesteśmy - odparł. - Po przejściu przez bramę cofnęliśmy się w czasie. Musimy odnaleźć Gordona.

Wolał nie myśleć, co mogło się wydarzyć na brzegu.



## 5. ROZBITKOWIE W CZASIE

- Możemy w ogóle stąd wrócić? - Karara znów była sobą. Zadawała pytania krótko i sucho.

- Nie mam pojęcia - odrzekł zgodnie z prawdą. Po raz pierwszy doświadczył tak wielkiej siły wciągającej ich przez bramę. Nie znał innego przypadku, kiedy doszło do mimowolnego przejścia w czasie. Chętnie by się dowiedział, czemu zawdzięczają tę nagłą wycieczkę.

Największą ich troską była nieobecność Ashe'a, który też musiał przejść na drugą stronę. Szansę na odnalezienie zaginionego agenta wzrosną niewątpliwie po przycichnięciu burzy, kiedy z pomocą przyjdą im delfiny. Gdy powiedział to dziewczynie, przyznała mu rację.

- Myślisz, że toczy się tu jakaś wojna? - Założyła ręce na piersi. W świetle latami widać było wyraźnie, że nie może opanować dreszczy. Chłodna wilgoć dawała się im we znaki i Ross zrozumiał, że z tym także muszą sobie dać radę.

- Całkiem możliwe. - Wstał i szybko przeniósł strumień światła z dziewczyny na ścianę. - Jak myślisz, czy nie dałoby się zrobić z tych porostów ciepłego okrycia? Poświęć mi! - Rzucił jej latarkę i ruszył w stronę wieńca brunatnicy. Zerwał kilka girland glonów. Trochę cuchnęły, lecz były tylko lekko wilgotne, ułożył je więc w kształcie gniazda na kamieniu. Wewnątrz tego kopczyka byli przynajmniej do pewnego stopnia osłonięci od zimna.

Karara wczołgała się do środka sterty glonów, Ross poszedł w jej ślady. Nieprzyjemny zapach, gęsty jak opar, zatykał nozdrza, ale agent miał rację: dziewczyna przestała dygotać, on też poczuł ciepło ogarniające ciało. Zgasił latarkę i leżeli tak razem w mroku, zaszyty w stosie na wół zgniłych wodorostów.

Gwałtownie drgnął i uniósł głowę. Doszedł do wniosku, że musiał się zdrzemnąć. Podźwignął sztywne i obolałe ciało, by wyrzeć poza krawędź "gniazda" z brunatnic. W jaskini było dość jasno, od wejścia sączyła się mętna szarość. Wstał chyba nowy dzień. A to znaczyło, że powinni się wreszcie stąd ruszyć.

Wśród glonów Ross namacał krągłe ramie.

- Pobudka! - wychrypiął rozkazującym tonem. W odpowiedzi doszło go wystraszone westchnienie i kopiec uniósł się nad głową dziewczyny. - Na zewnątrz dzień.

- A burza? - Karara wstała. - Burza już przeszła?

Obniżył się poziom wody w jaskini; kipiała z mniejszą niż w nocy energią. Ranek... Koniec burzy... A gdzieś tam jest Ashe.

Ross zamierzał właśnie nałożyć maskę na twarz, kiedy Karara pochwyciła go za ramię.

- Uważaj! Pamiętaj o tym, co zobaczyłam... W nocy zabijali rozbitków!

Odsunął ją, zniecierpliwiony.

- Nie jestem idiotą! Ale kiedy założymy skrzelopaki, nie będziemy musieli wcale wpływać na powierzchnię. Posłuchaj... - Wymyślił doskonałą wymówkę, która pozwoliłaby mu się pozbyć jej towarzystwa. - Weź delfiny i spróbuj znaleźć bramę. Powinniśmy się stąd wynieść, gdy tylko odnajdę Ashe'a.

-A jeśli nie znajdziesz go szybko? Ross się zawahał. Mogła jeszcze zapytać, co będzie, gdy wcale nie znajdzie Gordona. Ale to w ogóle nie wchodzi w rachubę.

- Wróć tu za... - Sprawdził zegarek, niezbyt precyzyjny miernik czasu, ponieważ dni na Hawaice były o godzinę dłuższe od ziemskiej doby. Osadnicy posługiwali się jednak starą miarą, regulując czas pracy. - ..powiedzmy, że za dwie godziny. Tyle mnie więcej powinno ci

zająć znalezienie bramy, a mnie rozeznanie się w sytuacji na brzegu. Tylko pamiętaj... - Ross zacisnął dłonie na ramionach dziewczyny i obrócił ją twarzą do siebie, patrząc jej w oczy roziskrzonym, gniewnym wzrokiem. - Nikt nie może cię zobaczyć! - powtórzył główną zasadę agentów, obowiązującą w nieznanym terenie. - Nie możemy ryzykować odkrycia.

Karara kiwnęła głową. Ross wiedział, że rozumiała znaczenie przestrogi.

- Chcesz Tino-rau lub Tauę?

- Nie, zamierzam najpierw przeszukać plażę. Ashe mógł dopłynąć w nocy do brzegu, bo chyba zniosło go w tym samym kierunku co nas. Musiał gdzieś wyjść na ląd. Mam jeszcze to...

- Dotknął komunikatora przy pasie. - Nastawię go na wywoływanie jego sygnału, ty zrób to samo. Usłyszysz nas, jeśli wejdziemy w jego zasięg. A więc spotykamy się tutaj za dwie godziny...

- Dobrze. - Karara odsunęła nogą glony i ruszyła w stronę delfinów, które zataczały koła w głębokiej sadzawce. Ross podążył za nią i cała czwórka popłynęła w stronę otwartego morza.

Chyba jeszcze jest bardzo wcześnie, pomyślał Ross. Jedną ręką trzymał się skały i odprowadzał wzrokiem Kararę i jej delfiny. Potem popłynął na poszukiwania wzdłuż wybrzeża na pomoc. Niebo nabrało różanego odcienia, srebrne smugi rozjaśniły widnokrąg. Musiał ostrożnie wymijać dryfujące szczątki rozbitych okrętów, które unosiły się wokół na wodzie.

Jeden z wraków zniknął całkowicie z rafy. Prawdopodobnie fale rozbiły go w drzazgi na skałach. Drugi ciągle unosił się na powierzchni z dziobem wysoko nad powierzchnią coraz łagodniejszego morza. Przez poszarpane otwory w burtach raz po raz przelewały się kaskady wody.

W skład zepchniętych w stronę lądu szczątków wchodziły głównie deski, skrzynie i pojemniki, wszystko porozbijane siłą fal. Większość leżała już na brzegu, a po plaży chodzili ludzie szukający cennych znalezisk. Na przekór niebezpieczeństwu przypadkowego odkrycia, Ross skradał się przy skałach, wypatrując jakiegoś punktu, skąd mógłby śledzić przebieg wypadków. Przyłgnął do wystającego z wody głazu, oblepionego pływającymi wodorostami, kiedy w pole jego widzenia weszła najbliższa z grup poszukiwaczy.

Ludzie, a przynajmniej osobnicy przypominający ludzi mimo ciemnej skóry i nieproporcjonalnie długich, bardzo chudych kończyn, podzieleni byli na dwie grupy: czterech z nich ze skąpymi przepaskami na biodrach odwracało gorliwie przedmioty, grzebiąc wśród szczątków pod okiem pozostałej dwójki.

"Robotnicy" odznaczali się bujnym owłosieniem, nie tylko na głowie, ale także, wzdłuż kręgosłupów, po zewnętrznej stronie chudych ramion i na patykowatych nogach aż do kolan. Słomiane włosy wyraźnie kontrastowały z ciemną skórą, a spiczaste brody nadawały twarzom trochę niepokojący wygląd zwierzęcych ryjów.

Lepiej od nich ubrani nadzorcy nosili na głowach szyszaki z zasłoną na twarz oraz półpancerze dopasowane do kształtu ciała. Ross pomyślał, że nie mogły zostać zrobione z jednego kawałka metalu, skoro zmieniały kształt zgodnie z ruchami ich właścicieli.

Na nogach mieli buty ze sztylpami w kolorze wyblakłej czerwieni. Za broń służyły im osobliwie wyprofilowane miecze: klingi były tak wykrzywione, że przypominały haczyki do łowienia ryb. Z braku pochew miecze przypinano do pasów klamerkami, które błyszcząły niczym klejnoty w słabym świetle poranka.

Ross nie mógł dostrzec rysów twarzy żołnierzy, bo wszystko zasłaniały wygięte w dziób przyłbice. Ich skóra miała jednak ten sam ciemny odcień, a ramiona i nogi tę samą niezwykłą długość... Ludzie jednej rasy, doszedł do wniosku Ross.

Kierowani rozkazami uzbrojonych nadzorców, robotnicy przywracali porządek na plaży, dzieląc szczątki na dwa stosy. Nagle znaleźli chyba coś szczególnie cennego, bo do uszu Rossa dotarł dźwięk podnieconych, szczekliwych głosów. Zbrojni ludzie podeszli bliżej, by przypatrzeć się znalezisku. Jeden z nich wzruszył ramionami i warknął jakiś rozkaz.

Ross dostrzegł, co ciągną dwaj robotnicy. Ciało! Ashe... Ziemianin zamierzał już podpłynąć bliżej, kiedy zauważył wleczony po ziemi zielony płaszcz. Nie, to nie Gordon. Kolejna ofiara morskiej katastrofy.

Obcy z każdą chwilą podchodzili bliżej obserwującego ich Ziemianina. Nadszedł czas, by opuścić to miejsce. Ross strząsał z ramion warstwę wodorostów, gdy powstrzymał go okrzyk. Przez moment sądził, że go wysłedzono, lecz wydarzenia na brzegu przeczyły temu przypuszczeniu. Kudłaci robotnicy pobiegli ku stercie, na którą niedawno zawleczono trupa. Dwaj gwardziści wysunęli się na czoło i odpięli od pasa zakrzywione miecze. I znów rozległ się okrzyk. Czy była to przestroga, czy też groźba? Bez znajomości języka Ross mógł tylko patrzeć.

Od strony południowej nadciągnęła skrajem plaży kolejna grupa. Na czele szła okryta płaszczem i kapturem postać tak opatulona srebrnoszarą tkaniną, że Ross nie miał pojęcia, co kryje się pod spodem. Srebro szaty stopniowo powlekały błękitne cienie, coraz ciemniejsze. Gdy obcy wyłonił się zza skały, która zasłaniała Rossowi widok, strój nabrał jednolitej błękitnej barwy, niemal fosforyzującej.

Za przywódcą podążał tuzin uzbrojonych ludzi. Nosili podobne spiczaste szyszaki i giętkie kirysy, lecz ich sztylpy były koloru szarego. I oni mieli pałkowate miecze, ale nie odpięli ich jeszcze od pasa i najwyraźniej nie zamierzali tego robić mimo oczywistej wrogości, jaką okazywali im stojący naprzeciwko gwardziści.

Postać w błękitnym płaszczu przystanęła dwa kroki przed nadzorcami. Powiewy bryzy szarpały płaszczem, zawijały go u kolan. Przybysz wciąż jednak pozostawał zakryty. Spod trzepoczącej poły wysunęła się ręka. Palce, długie i wiotkie, obejmowały alabastrowobiałą różdżkę, zakończoną gałką. Sypały się z niej bez ustanku połyskliwe iskry.

Ross sięgnął do pasa. Ku jego ogromnemu zdumieniu komunikator reagował na te rozbłyski, kłując ostro w rytm migotania. Ziemianin zamknął urządzenie w podrapanej dłoni i śledził uważnie rozwój wydarzeń, zastanawiając się, czy właściciel różdżki jest w stanie odebrać szyfrowany sygnał nadawany do Ashe'a.

Dłoń trzymająca różdżkę była jasnoskóra; bielą przypominała tworzywo, z którego wykonano świetlisty przyrząd. Ross z trudem tylko dostrzegał, gdzie zaczyna się ciało człowieka. Jednym zdecydowanym ruchem przywódca wetknął różdżkę do piasku, jakby ustawiał wartownika między dwiema grupkami. Odziani na czerwono gwardziści ustąpili nieco pola, lecz nie przypięli do pasów broni. Ich postawa, jak oceniał Ross, wynikała zapewne ze strachu przed wrogiem, połączonego z przeświadczeniem o słuszności bronionej sprawy... albo z zadawnioną nienawiścią.

Okryty płaszczem człowiek zaczął coś mówić, ale dźwięki tej mowy niewiele miały wspólnego ze szczekliwym językiem, jaki Ross wcześniej słyszał. Świszczące tony na przemian to się wznosiły, to opadały jak pieśń albo inkantacja. Mogło to równie dobrze być powitalną formułą, jak ostrzeżeniem. Eskortujący mówcę szereg wojowników stał w pogotowiu, ale nadal nikt nie sięgał po broń.

Ross przygryzł dolną wargę. Ten śpiewny głos wdzierał się do jego umysłu! Potrząsnął nerwowo głową i nagle przeraziła go własna nieostrożność, choć przecież żaden z ludzi stojących na plaży nie spojrzał w jego stronę.

Dziwna pieśń urwała się wysoką nutą. Nastąpiła teraz chwila ciszy, zakłócana tylko szumem wiatru i szmerem fal. Potem jeden z robotników potrząsnął głową i wyszczerzył kilka słów. On i jego kompani padli plackiem na ziemię i zaczęli posypywać piaskiem zmierzwione czupryny. Jeden z nadzorców odwrócił się z donośnym krzykiem i wymierzył kopniaka w żebra najbliższemu z robotników.

Jego towarzysz wrzasnął ostrzegawczo. Różdżka, stojąca dotychczas prosto, teraz wygięła się ku robotnikom. Iskry wylatywały z niej tak szybko i w tak krótkich odstępach, że wydawały się tworzyć jeden strumień. Ręka Rossa odskoczyła od komunikatora w parze ze zwiększeniem mocy tajemniczych fal szło bardziej dotkliwe uczucie pieczenia.

Robotnicy runęli do bezładnej ucieczki; najpierw odczołgali się na brzuchach, a potem skoczyli na równe nogi i popędzili plażą w kierunku, z którego wcześniej nadeszli. Gwardziści byli jednak twardsi. Wycofywali się wprawdzie, ale wolno i ze wzniesionymi mieczami, jak przystało na doświadczonych żołnierzy w obliczu przewagi nieprzyjaciela.

Kiedy oddalili się na dostateczną odległość, przywódca w płaszczu podniósł różdżkę. Trzymając ją z dala od siebie, podszedł do dwóch stosów uratowanych przedmiotów, które robotnicy poskładali dość chaotycznie. Teraz jego żołnierze przeszukiwali sterty, dopóki odziany w płaszcz człowiek nie odnalazł topielca.

Wydany świszczącym głosem rozkaz przywołał dwójkę żołnierzy, którzy wyciągnęli trupa. Dowódca skinął głową, a wtedy pozostali odsunęli się na bezpieczną odległość. Ostry koniec różdżki skierował się w stronę zwłok.

Ross odrzucił głowę do tyłu. Wystrzelony z różdżki snop światła, energii, ognia - cokolwiek to było - oślepił go na moment i oszołomił. Kiedy odzyskał wzrok, nic już nie leżało na piasku; pozostało tylko szkliste wgłębienie, z którego ulatywały pasemka dymu. Ross wpił palce w skałę, wstrząśnięty.

Ludzie z mieczami... a teraz ta forma kontrolowanej energii, zapewne efekt zaawansowanej techniki. Nasuwał się obraz okrętów ostrzeliwanych z zamku kamieniami, okrętów płynących z prędkością nieosiągalną bez zastosowania silników nieznanego typu. Mieszanina barbarzyństwa i rozległej wiedzy. Aby to ogarnąć, Ross potrzebował więcej doświadczenia, więcej umiejętności. Ashe mógłby...

Ashe!

Należało wznowić poszukiwania. Różdżka się uspokoiła, z gałki nie wylatywały już iskry. Komunikator przestał kłuć przy dotyku. Ross wyłączył nadawanie. Skoro urządzenie wychwyciło migotanie różdżki, proces ten mógł zachodzić także w odwrotną stronę.

Osoba w płaszczu wskazywała w stercie różne przedmioty, a podwładni natychmiast je wyciągali. Odstawili na bok jakieś skrzynki i chyba ze dwie baryłki. Obładowani nimi wybrali się w powrotną drogę na południe. Z piersi Rossa wyrwało się westchnienie ulgi.

Popłynął dalej w kierunku północnym wzdłuż wybrzeża, obserwując inne grupki pracujące pod strażą nadzorców. Rzędy robotników wspinały się na klif, niosąc zdobycz do miejsca przeznaczenia, na zamek. Ross nie dostrzegł nigdzie ani śladu Ashe'a, komunikator zaś nie odebrał żadnego sygnału od chwili, kiedy go ponownie włączył po odejściu obcych. Ziemiańcin zaczął sobie uświadamiać, że jego poszukiwania mogą się zakończyć fiaskiem, chociaż usiłował nie dopuszczać do siebie podobnych myśli.

Gdy ruszył z powrotem w stronę jaskini, czuł bezsilną złość, ale mijał mu strach. Nie widział możliwości dostania się do zamku; nie mógł więc sprawdzić, czy Ashe'a wzięto do niewoli. Dopóki robotnicy przebywali na plaży, nie mógł się rozejrzeć za przygnębiającymi dowodami. Jakimi? Wolał się nad tym nie zastanawiać.

Karara czekała na półce skalnej wewnątrz groty. Nigdzie nie było widać delfinów. Kiedy Ross zdjął maskę wychodząc z wody, w nikłym świetle jaskini zobaczył troskę na twarzy dziewczyny.

- A więc go nie znalazłeś - stwierdziła raczej, niż zapytała.

- Nie.

- Ja też nie.

Ross użył jako ręcznika wiechcia wodorostów. Nagle znieruchomiał.

- Co z bramą? Ani śladu?

- Tylko to... - Sięgnęła za siebie i wyciągnęła zamknięty pojemnik. Ross rozpoznał w nim jeden z kanistrów, które umieścili w schowku przy bramie. - Są też inne... porzucane. Szukają ich teraz Taua i Tino-rau. Jakby wszystko, co znalazło się w pobliżu, zostało zassane razem z nami.

- Jesteś pewna, że trafiłaś we właściwe miejsce?

- Czy to nie jedna z części? - Dziewczyna poszukała czegoś na półce. Po chwili pokazała mu kawałek metalowego pręta, skręconego i pękniętego na końcu, niczym element wyłamany z konstrukcji ręką olbrzyma.

Ross pokiwał głową z posępną miną.

- Zgadza się - powiedział szorstkim tonem, a głos z trudem wydostawał mu się z gardła.

- To część bocznej zerdzi. Musiała... musiała zostać doszczętnie zniszczona.

Chociaż Ross trzymał w dłoni odłamany kawałek, ciągle się łudził, że brama nie przepadła. Znowu wypłynął w morze i dotarł w pobliże rafy. Tu pomogły mu w poszukiwaniu delfiny, ale znalazł tylko pęknięty odcinek rury oraz parę pojemników z zapasami, nic więcej. Ziemianie byli teraz rozbitkami w czasie, podobnie jak żeglarze dwóch okrętów roztrzaskanych na skałach zesłej nocy.

Ross ruszył z powrotem w stronę jaskini. Przede wszystkim należało teraz zadbać o najważniejsze: zebrać pojemniki i umieścić je w kryjówce. Od ich zawartości mogło zależeć życie trzech ludzi.

Zatrzymał się u wejścia do groty, żeby poprawić sieć z holowanymi pojemnikami. Tylko dzięki czystemu przypadkowi zdał sobie sprawę z wizyty intruza.

Na skalnej półce Karara układała stos brunatnic. Tymczasem z boku, na wysokości głowy dziewczyny...

Ross nie śmiał zapalić latarki, by nie zdradzić swojej obecności. Przymocował sieć do skały rzemieniem, dał nura pod wodę i popłynął wzdłuż krawędzi pieczary. Zamierzał wynurzyć się jak najbliżej przycupniętej postaci, która śledziła każdy ruch Karary.

## 6. LOKETH NIEPRZYDATNY

Naturalne falowanie wody pomogło Rossowi niepostrzeżenie dotrzeć do ściany położonej nieopodal stanowiska szpiega. Ktokolwiek tam kucał, nadal wychylał się do przodu, zapatrzony w Kararę. Gdy oczy Rossa przywykły do półmroku jaskini, dostrzegły zarysy głowy i ramion. Ostatnie dwie, trzy minuty były dla Ziemianina najtrudniejsze. Przed przeprowadzeniem ataku musiał wynurzyć się na otwartej przestrzeni.

Karara zdawała się czytać w jego myślach i udzielać mu świadomej pomocy. Podeszła do krawędzi półki, aby gwizdnięciem przywołać delfiny. Niemal natychmiast błyszcząca głowa Tino-rau wychynęła nad powierzchnię wody i rozległ się bulgoczący pisk. Gdy Karara przykłękała, delfin trącił przyjacielsko jej wyciągniętą rękę.

Ross usłyszał westchnienie obserwatora, który poruszył się z cichym szelestem. Karara zaczęła podśpiewywać pod nosem. Głos dziewczyny falował melodyjnie, zachowując rytm typowy dla jej ludu; delfin niekiedy wtrącał swoją nutkę. Ross słyszał już kiedyś tę ich pieśń. Teraz stanowiła idealną zasłonę dla jego zamiarów.

Skoczył. Ręce zacisnęły się na ciele, palce objęły szczupłe nadgarstki. Obcy wydał okrzyk strachu i zdumienia, gdy Ziemianin strącił go ze skalnego występu na półkę. Ross rozkrzyżował przeciwnika na ziemi, zanim zrozumiał, że schwytany nie zamierza się bronić, tylko leży bez ruchu.

- Co się dzieje? - Zalał ich strumień światła. Ross przyjrzał się chudej, brązowej twarzy, niewiele różniącej się od jego własnej. Szeroko rozstawione oczy były zamknięte, usta za to otwarte. Choć pewien, że tubylec stracił przytomność, Ross nie puszczał jego nadgarstków. Odsunął się wolno od leżącego i z pomocą dziewczyny związał jeńca wodorostami.

Obcy nosił obcisły ubiór z połyskliwej tkaniny, która okrywała tułów, nogi i stopy. Patykowate ramiona pozostawały nagie. U pasa, na pętelkach, wisiały różne przedmioty, a wśród nich haczykowany nóż. Ross odpiął go na wszelki wypadek.

- Spójrz, Ross, to jeszcze dzieciak - powiedziała Karara. - Jak się tutaj dostał?

Ziemianin wskazał na szczelinę w ścianie.

- Obserwował cię stamtąd.

Oczy jej się rozszerzyły.

- Dlaczego?

Ross odciągnął więźnia pod ścianę. Skoro był świadkiem nieszczęsnego losu rozbitków, wolał sobie nie wyobrażać, co przywiodło tu Hawaikańczyka. Po raz kolejny Karara dała dowód, że myślał w identyczny sposób, bo dodała:

- Ale on nawet nie wyciągnął noża. Co chcesz z nim zrobić, Ross?

Ziemianin sam się nad tym zastanawiał. Niewątpliwie najmądrzejszym rozwiązaniem byłoby zgładzenie tubylca od razu. Zimne okrucieństwo nie leżało jednak w jego naturze. W dodatku wiedział, że dobrze by było wydobyć z nieznanego jakieś informacje i uzyskać w ten sposób wiedzę o tym świecie i rządzących w nim prawach. To spotkanie mogłoby nawet zaprowadzić ich do Ashe'a.

- Ross... Spójrz na jego nogę. - Dziewczyna pokazała palcem. Obcisły ubiór obcego uwydatniał pewien defekt: prawa noga była krótsza i dziwnie wykręcona. Schwytali kalekę.

- I co z tego? - mruknął Ross. Nie była to pora na okazywanie litości.

Wbrew jego obawom, Karara nie przejawiała chęci do poluzowania więzów jeńca. Usiadła ze skrzyżowanymi nogami obok. Miała dziwny, nieobecny wyraz twarzy, jakby

przebywała gdzieś daleko, chociaż mógł wyciągnąć rękę i dotknąć jej.

- Ta jego ułomność... może stanowić pomost - zauważyła ku konsternacji Rossa.

- Pomost? Co przez to rozumiesz? Dziewczyna potrząsnęła głową.

- To tylko przecucie, nie poparte żadną konkretną myślą. Ale coś w tym musi być.

Patrz, chyba się budzi.

Uchyliły się powieki nad wielkimi oczami jeńca. Hawaikańczyk zamrugał i powiódł wkoło otępiałym, błędnym wzrokiem, aż spostrzegł Kararę. Z ust jego natychmiast wypłynął strumień szczekliwej mowy.

Wydawał się bezgranicznie zdumiony, że mu nie odpowiadają. W przemowie pojawił się jękliwy ton; najwyraźniej więzień stracił nadzieję na przyjacielskie przyjęcie jego powitalnych słów.

- Jest coraz bardziej wystraszony - odezwała się Karara. - A przecież kiedy się obudził, był zadowolony.

- Dlaczego tak sądzisz? Dziewczyna potrząsnęła głową.

- Nie wiem, po prostu odniosłam takie wrażenie. Zaczekaj! - Uniosła dłoń stanowczym gestem. Nie wstając, podczołgała się na czworakach do krawędzi półki. Oba delfiny wystawiały głowy wysoko nad wodę. Wyglądały na bardzo podniecone. - Ross! - zawołał głośno Karara. - Ross, one go rozumieją! Tino-rau i Taua mogą go zrozumieć!

- Chcesz powiedzieć, że rozumieją jego język? - zapytał Ross z niedowierzaniem, chociaż zawsze doceniał zdolności delfinów.

- Nie, jego umysł. Tu chodzi o umysł, Ross. On myśli pojęciami, które delfiny odbierają i odczytują! Umieją to robić także z niektórymi z nas, ale to nie to samo. Tu przekaz jest znacznie wyraźniejszy, bezpośredni! Zobacz, jakie są podniecone!

Ross zerknął na więźnia. Obcy kręcił się bezradnie, usiłując oprzeć się o ścianę. Jego pogromca podciągnął go do pozycji siedzącej. Tubylec przyjmował jego pomoc bez protestu. Wpatrywał się za to z przerażeniem i nieufnością w głowy delfinów.

- Boi się - oznajmiła Karara. - Nigdy dotąd nie doświadczył tego rodzaju komunikacji.

- Mogą mu zadawać pytania? - zapytał Ross. Jeżeli naprawdę istniała swoista więź psychiczna pomiędzy ziemskimi delfinami a Hawaikańczykiem, rodziła się szansa na zdobycie wiadomości o tym świecie.

- Spróbują. Na razie paraliżuje go strach, który muszą przełamać. To, co niebawem nastąpiło, było najdziwniejszą czterostronną rozmową, jaką Ross mógł sobie wyobrazić. Kierował pytanie do Karary, a ona przekazywała je delfinom. Te przesyłały je telepatycznie Hawaikańczykowi, a odpowiedź wracała tą samą drogą.

Dopiero po dłuższym czasie udało się usmierzyć obawy tubylca, który na koniec zaczął rozmawiać całkiem swobodnie.

- To syn pana zamku zbudowanego na klifie - przekazała Karara pierwszą kompletną odpowiedź. - Jednak z niewiadomej przyczyny nie jest akceptowany przez swoich pobratymców. Być może - dodała od siebie - powodem tego kalectwo. Jego domem jest morze, jak się wyraził, a mnie uważa za mityczną istotę, która je zamieszkuje. Widział, jak pływam w masce w towarzystwie delfinów, więc jest przekonany, że umiem dowolnie zmieniać kształt. - Zawahała się. - Usłyszałam też coś dziwnego, Ross. On mówił o stworzeniach, które, jak mu się wydaje, umieją się pojawiać i znikać bez uprzedzenia. Czuje lęk przed ich mocą.

- Bogowie i boginie. Wszystko zgodne z naturą. Karara potrząsnęła głową.

- To silne przeświadczenie, a nie mglista wiara w bożków. Rossowi przyszedł nagle do głowy pewien pomysł. Opisał postać w płaszczu, która odegnała ludzi z zamku od szczątków

wraku.

- Zapytaj o niego.

Karara przekazała pytanie Rossa. Więzień rozejrzał się nerwowo na boki; przeniósł spojrzenie z Karary na jej towarzysza, a na jego twarzy pojawiła się podejrziwość.

- Chce się dowiedzieć, dlaczego pytasz o lud Foanna. Twierdzi, że musisz wiedzieć, co to za istoty.

- Posłuchaj... - Ross uznał, że dokonał prawdziwego odkrycia, chociaż na razie nie rozumiał jego znaczenia. - Powiedz mu, że przybывamy z miejsca, gdzie nie ma żadnego ludu Foanna. I że my mamy swoją moc, dlatego musimy poznać ich moc.

Gdyby tylko mógł bezpośrednio wypytać więźnia, a nie polegać na dwukrotnym tłumaczeniu! Czyjego pytania docierały w ogóle do obcego w niezniekształconej formie?

Ross przykucnął zmęczony. Spojrzał na Kararę z troską w oczach. Jeśli on czuł się wyczerpany, to co dopiero ona? Zauważył, że ramiona jej obwisły; ostatnią odpowiedź podała głosem ochrypłym z wysiłku. Poderwał się na równe nogi.

- Na razie wystarczy.

Potrzebował czasu na zastanowienie i uporządkowanie faktów usłyszanych podczas tego "przesłuchania". Język mu wysechł na wiór z pragnienia, czuł dotkliwy głód. Przypomniawsobie o pojemniku z zapasami, pozostawionym u wejścia do grotty.

- Trzeba coś zjeść i wypić. - Chciał włożyć maskę, ale Karara powstrzymała go przed wejściem do wody.

- Taua przyniesie... Ty poczekaj.

Delfin przyholował sieć z pojemnikami. Ross odkręcił wieczko jednego z nich i wyciągnął bidon z czystą wodą. W paczce z zapasowymi racjami żywności znalazł suchary. Po chwili namysłu podszedł do więźnia, przeciął mu więzy na nadgarstkach i wręczył bidon wraz z sucharem. Hawaikańczyk najpierw poczekał, aż Ziemianie zaczną jeść, potem sam zatopił zęby w sucharze i żuł energicznie. Zanim przytknął naczynie do ust, ostrożnie i z ciekawością obracał bidon w rękach.

Ross jadł i popijał mechanicznie i bez najmniejszej przyjemności. Spróbował połączyć ze sobą zasłyszane fakty, aby uzyskać obraz hawaikańskiej epoki, do której ich rzucił los. Obraz ten, rzecz jasna, opierał się głównie na informacjach udzielonych przez więźnia, który mógł ich przecież wprowadzić w błąd albo przemilczeć istotne szczegóły. Tylko czy mógłby coś ukryć w czasie wymiany myśli? Ross musiał po prostu przyjąć wszystko z odrobiną sceptycyzmu.

Tak czy inaczej, na zamku mieszkali Łowcy Wraków - mało znaczący lordowie, którzy wznosili strażnice wzdłuż wybrzeży i łupili żaglowce, będące głównymi składnikami krwiobiegu tego świata wysp i oceanów. Tego dnia i zeszłej nocy Ziemianie mieli okazję prześledzić ich metody. Jeżeli informacje więźnia odpowiadały prawdzie, nie tylko wściekła burza była powodem rozbicia się statków. Łowcy Wraków opanowali pewne sposoby przywabiania żaglowców na rafy.

A czy siła, która wciągnęła Ziemian w bramę czasu, nie stanowiła przypadkiem części tych sposobów? W każdym razie czyhający na klifach Łowcy byli rzeczywistością, podobnie jak ich ofiary, morscy podróżnicy, darzący ich uzasadnioną nienawiścią.

Ross rozumiał zachowanie jednej i drugiej strony. Doszedł do wniosku, że dałby sobie z nimi jakoś radę. Ale pozostawał jeszcze lud Foanna. Więzień usiłował dać im do zrozumienia, że Foanna to zupełnie inna sprawa.

Zawiadywali mocą, która nie zależała od mieczy czy statków - od naturalnych narzędzi



lub broni człowieka. Ich siła nie pochodziła z tego świata i dawała im przewagę we wszystkich dziedzinach, prócz jednej - liczebności. Chociaż Foanna mieli służbę i wojowników, o czym Ross się przekonał, obserwując dziś plażę, sami pochodzili z odmiennej rasy - bardzo starej i wymierającej, liczącej niewielu członków. Ilu dokładnie, tego nie wiedzieli ich wrogowie, bo przedstawiciele tej rasy starannie to ukrywali. Pojawiali się, wydawali rozkazy, stawiali żądania, przeciwstawiali się albo pomagali - zawsze pojedynczo albo najwyżej dwójkami, zawsze szczelnie okutani w płaszcze, tak że nawet ich wygląd pozostawał tajemnicą. Żadnej tajemnicy nie stanowiły jednak ich umiejętności. Z tego, co Ross zrozumiał, ani jeden lord Łowców, bez względu na to, jak wielkiego szczepu przywódca, choćby najbardziej ambitny, nie ważył się nigdy wyzwać żadnego Foanny, choć niekiedy wyrażali słowny opór przeciwko wygórowanym żądaniom.

Opis zastosowania niektórych umiejętności tajemniczego ludu sugerował nieziemskie pochodzenie jego wiedzy, a przynajmniej produktów tej wiedzy. Ross przypuszczał, że Foanna mogli też odziedziczyć resztki jakiejś zapomnianej wiedzy technicznej, spuścizny pradawnej rasy. Próbował dowiedzieć się czegoś o początkach ludu Foanna. Zastanawiał się, czy zawałowane istoty nie są przedstawicielami galaktycznego imperium. Zgodnie z odpowiedzią więźnia, początki Foanna wykraczały w przeszłość poza najstarsze kroniki. Mieszkali w potężnej cytadeli, gdy plemię Łowców wiodło jeszcze dziki, prymitywny żywot.

- I co teraz zrobimy? - Karara przerwała tok myśli Rossa, kiedy już zabezpieczyli wszystkie pojemniki.

- Wśród tych rozbitków, których Łowcy Wraków biorą przy okazji do niewoli, może znajdować się Ashe... - Ross za wszelką cenę pragnął zachować nadzieję. Nie miał wyboru. Według słów obcego, spośród ludzi, którzy dopływali do brzegu po odniesieniu stosunkowo lekkich obrażeń, najbardziej krzepkich zatrzymywano w niewoli. Także ostatniej nocy ten los podzieliło kilku marynarzy.

- Loketh.

Ross i Karara rozejrzeli się wokoło. Więzień odłożył bidon i jedną ręką wskazywał na siebie, powtarzając: "Loketh". Znaczenie tego gestu nie pozostawało wątpliwości.

Ziemianin dotknął własnej piersi.

- Ross Murdock.

Więzień, tak jak oni, miał pewnie dość pokrętną metody komunikacji, wobec czego Ross postanowił przyspieszyć porozumienie. Analizator! Ashe dołączył to urządzenie do bagażu zgromadzonego przy bramie. Gdyby zdołał je odnaleźć... Cóż, pokonaliby poważną trudność. Natychmiast wytłumaczył Kararze swój pomysł. Dziewczyna, uradowana, przywołała Tauę i rozkazała delfinowi przynieść resztę uratowanych przedmiotów.

- Loketh. - Ross wskazał na młodzieńca. - Ross. - Teraz na siebie. - Karara. - Skinął w stronę dziewczyny.

- Rosss. - Obcy z dziwnym akcentem wymówił to imię. - Karara. .. - Tym razem poszło mu lepiej.

Ross ostrożnie otworzył odszukaną przez delfina skrzyneczkę. Bardzo słabo orientował się w działaniu urządzenia. W zamierzeniach miało zapisywać nieznaną język, a potem rozkładać go na czynniki znane agentom czasu. Tylko czy mogło zostać wykorzystane do tłumaczenia języka całkowicie nieznanego? Miał nadzieję, że wstrząsy przy przejściu przez bramę nie zniszczyły analizatora i że eksperyment zakończy się powodzeniem.

Położył przed Karara urządzenie i dokładnie wyjaśnił swój punkt widzenia. Dziewczyna podniosła mały mikrofon, po czym powoli wypowiedziała zdanie w tych

samych melodyjnych sylabach, jakich użyła w czasie śpiewania z delfinem. Kiedy skończyła, Ross obrócił pokrętko i wlepił wzrok w wyświetlacz. Pokazane symbole niosły zrozumiałą dla niego treść. Mógł łatwo przetłumaczyć, co przed chwilą nagrała. Na razie aparat działał bez zarzutu.

Teraz położył go przed Lokethem i polecił speszonemu Hawaikańczykowi, wziąć od Karary mikrofon. Sprawdzonym już sposobem, za pośrednictwem delfinów, przekazał dokładne wskazówki. Czy urządzenie zda egzamin z tłumaczenia gwiazdnych języków, podobnie jak zdało go w przekładaniu mowy z czasów współczesnych i przeszłych jego rodzinnej planety?

Loketh zaczął przemawiać do mikrofonu. Najpierw odzywał się bojaźliwie, wydając szybkie, bełkotliwe dźwięki, ale skoro nie nastąpiła żadna przerażająca reakcja, zaczął mówić wolniej i z większą pewnością siebie. Na wyświetlaczu zabłyśły linie symboli, z których część była zrozumiała.

- Zapytaj go, czy można wejść niezauważenie do zamku, aby zobaczyć jeńców - zaproponowała Karara.

- Jaki powód mam podać? - Ross był pewien, że prawidłowo odczytał symbole.

- Powiedz mu, że wśród nich może być jeden z naszych przyjaciół.

Tym razem Loketh zwlekał z odpowiedzią. Popatrzył przenikliwie najpierw na Rossa, później na Kararę, a na koniec znów na Rossa.

- Jest jedna droga... odkryta przez nieprzydatnego - powiedział wreszcie.

Ross nie zwrócił uwagi na dziwne słowo, jakim określił się Loketh. Przeszedł do ważniejszej kwestii.

- Czy on zechce wskazać mi tę drogę? Znowu nastąpiła długa chwila zastanowienia, zanim nadeszła odpowiedź. Ross na głos odczytał symbole:

- Jeśli starczy wam odwagi, poprowadzę.

## 7. MIĘSO CZAROWNIC

Ross wiedział, że prawdopodobnie naraża ich wszystkich na niepotrzebne niebezpieczeństwo. Ale jeśli wtrącono Ashe'a do kamiennych lochów pod wznoszącą się nad nimi skałą, należało podjąć ryzyko i zaufać Lokethowi. Ross ryzykował własną głową, ale nie musiał pakować Karary w kłopoty. Mając do dyspozycji delfiny i resztki racji żywnościowych, miała duże szansę, by ukryć się tutaj przed niebezpieczeństwem.

- Na co niby miałabym czekać? - zapytała spokojnie dziewczyna, kiedy już Ross przedstawił jej swoje ustalenia.

Ross zamilkł. Rzeczywiście, pytanie Karary nie było pozbawione sensu. Skoro brama została zniszczona, Ziemianie byli skazani na życie w obecnym czasie, podobnie jak kiedyś sami skazali się na Hawaikę, wstępując na rodzinnej planecie na pokład kosmicznego statku. Nie dało się uciec z przeszłości, którą teraz musieli traktować jako swoją teraźniejszość.

- Foanna - ciągnęła Karara - Łowcy Wraków oraz ludzie morza, wszyscy ze sobą wojują. Jeśli przystąpimy do jednej ze stron, włączymy się w ich waśnie.

Taua trącał nosem półkę za dziewczyną i piskiem domagał się uwagi. Karara odwróciła głowę w stronę Loketha. Patrzyła na niego badawczo. Potem zaczęła tłumaczyć.

- On chce wiedzieć - wskazała na Hawaikańczyka - czy mu ufasz. Pragnie ci też powiedzieć, że odkąd Mroczni postanowili go upośledzić skręconą nogą, nie należy do tych z zamku. W ich oczach jest uszkodzoną, nieużyteczną rzeczą. Coś mi się wydaje, Ross, że, jego zdaniem, dysponujemy mocą tak samo jak Foanna. On myśli, że jesteśmy istotami nadprzyrodzonymi. Nie zabiliśmy go od razu, a nawet nakarmiliśmy, więc uważa się za naszego sojusznika.

- Rytuał chleba i soli... Można i tak. - Chociaż dopasowywanie ziemskich obyczajów do obcych tradycji nie miało większego sensu, Ross pomyślał o tym starożytnym przymierzu, jakie zawierano w jego rodzinnym świecie. Skosztuj czyjegoś jedzenia, a zostaniesz jego przyjacielem, a przynajmniej ogłosisz zawieszenie broni. Ścisłe przestrzegane zakazy i kodeksy postępowania wyróżniały na Ziemi poszczególne narody, a zwłaszcza kasty wojowników. Tutaj sytuacja mogła wyglądać podobnie. - Zapytaj go - zwrócił się do Karary - jakie reguły związane zjedzeniem i piciem stosują tutaj wobec wrogów i przyjaciół. - Znajomość podobnych zwyczajów pozwoli zapewnić im lepszą ochronę.

Kiedy już przetłumaczono pytanie, Loketh przemówił do mikrofonu analizatora powoli, z przerwami, jakby chciał mieć pewność, że Ross zrozumie każde słowo.

- Kto daje chleb człowiekowi pojmanemu w walce, ten czyni sobie z niego sługę. Nie niewolnika do pracy, ale wojownika gotowego dobyć miecza na skinienie ręki. Kiedy przyjąłem wasz chleb, uznałem was za swoich prawowitych panów. Pomiędzy takimi nie dochodzi do zdrady, jak bowiem sługa może zdradzić pana? Ja, Loketh, jestem teraz mieczem w waszych rękach, człowiekiem na waszych usługach. Dla mnie to podwójna korzyść, bo jako osoba bezużyteczna nie miałem nigdy swojego pana, nikomu nie przysięgałem. Zresztą czy w obliczu Morskiej Panny i jej dworzan, którzy słyszą myśli, człowiek może używać fałszywego języka, chociażby zadawał się z Cieniem i przywdział Płaszcz Zła?

- Ma rację - dodała Karara. - Jego umysł jest otwarty. Nawet gdyby chciał, nie zdołałby ukryć myśli przed Tauą i Tino-rau.

- W porządku, zgadzam się. - Ross rozejrzał się po półce. Na drugim jej końcu złożyli stos pojemników. Powiedział Kararze, że powinna stąd odejść.

- Ale dokąd mam iść? - zapytała łagodnie. - Ludzie z zamku ciągle przeszukają szczątki okrętów. Wątpię, czy ktoś wie o tej jaskini. Ross wskazał głową na Loketha.

- Ale on wiedział, prawda? Nie chciałbym, żebyś tu wpadła w pułapkę. No i nie chciałbym stracić zapasów. Zawartość tych pojemników może nam wszystkim uratować życie.

- Równie dobrze możemy je zatopić przy ścianie, obciążając się. A później, jeśli trzeba się będzie stąd zabierać, wystarczy je wyciągnąć. Spokojna głowa, to moja działka. - Uśmiechnęła się do niego szelmowsko.

Ross dał za wygraną. Dziewczyna miała rację. Czuwanie nad zespołem delfinów i wszystko, co dotyczyło morza, rzeczywiście należało do jej kompetencji. Był zły, że mu o tym przypomniała, ale nie mógł jej słowem odmówić słuszności.

Pomimo chromej nogi, Loketh zadziwił Rossa zręcznością. Uwolniony z więzów, przywołał Ziemianina do tej samej niszy, z której przedtem po kryjomu obserwował Kararę. Wskoczył do środka i po sekundzie znikł mu z oczu.

Ross zaraz podążył w jego ślady, bo okazało się, że nie jest to wcale nisza, ale początek długiej szczeliny wiodącej w górę jako przewód wentylacyjny, już kiedyś wykorzystywany do przejścia. Mroku nie rozjaśniało żadne światło, ale tubylec nakierował ręce Rossa na wyciosane w kamieniu zagłębienia, pomagające we wspinaczce. Loketh ruszył pierwszy. Piął się po prymitywnej drabinie, aż zniknął w ciemności.

W tej czarnej tubie niełatwo było mierzyć czas i odległość. Aby się choć z grubsza orientować, Ross liczył wgłębienia. Wyszkolenie pozwalało mu odruchowo rejestrować takie szczegóły. Zapamiętanie drogi prowadzącej na wrogie terytorium stanowiło konieczność. Ross nie miał pojęcia, do jakiego celu używano pierwotnie tego szybu. Jednak fortece na Ziemi także miały swoje tajemne przejścia na wypadek oblężenia. Coraz mocniej wierzył, że ci obcy mają wiele wspólnego z jego własną rasą.

Doliczył do dwudziestu, kiedy zmysły, zaalarmowane przez instynkt i lata ćwiczeń, podpowiedziały mu, że tuż nad nim jest wyjście. Panowała jednak nadal głęboka ciemność, tak gęsta, że prawie namacalna. Ross omal nie krzyknął, bo kiedy sięgał ku nowemu wgłębieniu, czyjeś palce schwyciły go za nadgarstek. Wspomagany tym chwytem, macając rozłożonymi ramionami ściany, wydostał się do poziomu przejścia. Daleko z przodu zobaczył mdłą, szara jasność. Zakaszła i kichnął, kiedy odetchnął pyłem z poruszonych kamieni. Poczuł teraz uścisk na ramieniu. Loketh z zadziwiającą siłą postawił Ziemianina na nogi.

Stali teraz w tunelu sięgającym wysoko ponad głowy, tyle że wąskim, niewiele szerszym od ramion Rossa. Nie umiał stwierdzić, czy to naturalne przejście w skale, czy ktoś je celowo wydrążył.

Loketh znów poszedł przodem; cień jego sylwetki podskakiwał miarowo w takt sprężystego kuśtykania. Ziemianin nie mógł się nadziwić szybkości i sprawności tubylca. Loketh był ułomny, lecz sposobem poruszania świetnie dostosował się do swojego kalectwa.

Zrobiło się jaśniej. Po prawej stronie Ross zauważył szerokie na jakieś dwa palce szpary w skale. Gdy zjrzał do jednej z nich, zobaczył tylko pustkę, z dołu jednak dobiegał szmer morza. A zatem ten swoisty korytarz musiał biec w ścianie klifu nad plażą.

Zniecierpliwiony szept z przodu kazał mu przyspieszyć kroku. Dotarli do podnóża schodów o wąskich i stromych stopniach. Loketh zwrócił się do tych stopni bokiem. Wczepił się w kamień wyciągniętą dłonią, jakby miała ona właściwości przyklepne, mogące mu pomóc utrzymać równowagę. Po raz pierwszy chroma noga stanowiła poważną przeszkodę.

Ross znowu zaczął liczyć. Dziesięć, piętnaście... potem znowu ogarnęła ich ciemność. Wreszcie wynurzyli się z głębokiej jak studnia czeluści i stanęli w okrągłym pomieszczeniu.

Ziemianin przysłonił oczy, kiedy błysnęło ostre światło. Loketh postawił na skalnym gzymsie jarzący się mętną poświatą kaganek i Ross doszedł do wniosku, że wrażenie jasnego rozbłysku wynikało z nagłego wyjścia z mroku.

Hawaikańczyk napał całym ciałem na przeciwległą ścianę. Widać było napięte mięśnie jego ramion. Wreszcie ściana drgnęła i ruszyła pod naciskiem tak powoli, jakby szczipłym rękoma tylko z najwyższym trudem udawało się pchać ciężką płytę albo jakby należało w tym miejscu zachowywać szczególną ostrożność.

Zobaczyli przed sobą wąskie przejście. Blask kaganka sięgał jedynie kilka kroków w głąb ciemnej przestrzeni. Loketh skinął na Rossa i ruszyli. Na ścianie po lewej widniały otwory, z których wydobywało się słabe światło. Te prześwitły były rozmieszczone zupełnie chaotycznie. Ross przyłożył oko do jednego z otworów i sapnął głośno.

Stali powyżej zamkowego dziedzińca. Ross całą uwagę skupił na rozciągającym się w dole widoku. Oglądał niegdyś na obrazach sceny przedstawiające życie feudalnego zamku. To, co tu widział, wydawało się dość podobne, ale po jakimś czasie dało się zauważyć liczne różnice.

Ross zobaczył zwierzęta - czy naprawdę zwierzęta? - zaprzęgnięte do wozu. Miały sześć kończyn, chodziły na czterech, a pozostałe dwie krzyżowały na piersi. Zamiast upręży zarzucono im na ramiona osobliwą siatkę, przymocowaną do skrzyżowanych kończyn. Lśniące łuski okrywały całe ciała zwierząt, także groteskowe głowy, kołyszące się na długich szyjach. Rossa uderzyło ich podobieństwo do podmorskiego smoka, którego spotkał w przyszłości tego świata.

Sześciopalcowe stworzenia były posłuszne swoim panom. Ross z trudem powściągał ciekawość na widok rozmaitych szczegółów; musiał skoncentrować się na tym, co mogło się przydać do wypełnienia misji. Loketh nie pozwolił mu się jednak przyglądać zbyt długo. Położył Rossowi dłoń na ramieniu, zachęcając do odejścia. Dalsza droga wiodła przez tunel. Zanurzyli się w otchłanie fortecy.

Wąski korytarz biegł przez potężne mury, aż wreszcie rozjaśnił go blask światła, bynajmniej nie dziennego. Czerwonawe lśnienie wypływało z otworu umieszczonego na wysokości pasa. Loketh przyklęknął niezgrabnie na zdrowe kolano, kiwając na Rossa, żeby poszedł za jego przykładem. Wyjrzeli przez otwór.

Agent zobaczył salę przyozdobioną jaskrawo, z barbarzyńskim brakiem gustu. Na ścianach wisiały przetykane błyszczącymi nićmi gobeliny, połyskujące tu i ówdzie drogimi kamieniami. Pomiedzy gobelinami widniały owalne tarcze mniej więcej wysokości człowieka, na których namalowano lub wryto wzory i ornamenty. Mogły to być stylizowane przedstawienia rodzimej fauny i flory. Całość robiła wrażenie ordynarnego przepychu, podobnie jak stroje zebranych na sali ludzi, uszyte z krzykliwie kolorowych tkanin.

Na szczycie dwustopniowego podwyższenia siedziało trzech Hawaikańczyków, ubranych w obcisłe szaty. Ozdobne pasy opinały talię i długimi, obszytymi mnóstwem frędzelków końcami sięgały do ziemi. Głowy okrywały ciasne czapki w ażurowe wzory, połyskujące przy każdym poruszeniu. Niedobre kolory ubiorów raziły oko Ziemianina.

Poniżej podwyższenia stały dwa rzędy gwardzistów. Ross nie potrafił odgadnąć przyczyny tego zgromadzenia, nie rozumiejąc mowy tych ludzi.

Rozległ się głęboki, budzący echo dźwięk, jakby gongu. Trójka na podwyższeniu wyprostowała się i skierowała uwagę na drugi koniec sali. Gest Loketha był zbędny, Ross dobrze wiedział, że lada chwila rozegra się coś bardzo ważnego. U wejścia do komnaty w przepychu krzykliwych barw zamajaczyła srebrna smuga. Ziemianin rozpoznał szarobłękitne

szaty ludu Foanna. Tym razem było ich trzech. Maszerowali płynnym krokiem, jak gdyby szybowali nad posadzką, nie dotykając jej stopami. Kiedy zatrzymali się przed podwyższeniem, oczekująca ich trójka powstała.

Ross bez trudu odgadł, że przybyłych witano z niechęcią. Panowie zamku, zmuszeni do okazania szacunku, robili to wyraźnie wbrew sobie. Gospodarz stojący pośrodku przemówił jako pierwszy.

- Zahur - szepnął Loketh Rossowi na ucho, wskazując mówiącego spiczastym palcem.

Ross nie mógł nawet marzyć o zadawaniu pytań, bez czego nie było sposobu na zrozumienie sensu zdarzeń, których był świadkiem. Nie wątpił jednak, że spotkanie dwóch hawaikańskich plemion ma duże znaczenie.

Kiedy przedstawiciel zamku zakończył przemowę, nastąpiła chwila ciszy. Ziemianinowi dłużyła się w nieskończoność. Czuł narastające napięcie. Pan zamku zagrał zapewne w otwarte karty, nie kryjąc wrogości panującej między Łowcami Wraków a starszą od nich rasą. A może Foanna specjalnie milczeli, aby wytrącić nieprzyjaciela z równowagi, tak jak dzudoka wykorzystuje atak wroga jako element własnej obrony?

Gdy wreszcie jeden z Foanna odpowiedział, Ross usłyszał śpiewnie intonowane słowa. Zobaczył, że Loketh drży, sam też poczuł ciarki pełzące po plecach. Słowa zlewały się w jedno. Ross zapragnął zasłonić uszy, by zagłuszyć dźwięki, jednak nie miał nawet siły, aby podnieść ręce.

Odnosił wrażenie, że mężczyźni na podwyższeniu kołyszą się do przodu i do tyłu, jakby pieśń była liną uwiązaną do ich karków, za którą ktoś szarpał. Jeden z gwardzistów upadł z hałasem i potoczył się po ziemi, przyciskając dłonie do głowy. Ktoś krzyknął na podwyższeniu. Inkantacja osiągnęła tak wysokie tony, że Ross poczuł w uszach ucisk. Linie gwardzistów pękły. Całą grupą rzucili się ku wyjściu z sali, omijając Foanna szerokim łukiem. Loketh wydał cichy, zduszony okrzyk. Szepnął coś, zaciskając boleśnie palce na przedramieniu Rossa.

Miały tu miejsce wydarzenia niezwykłej wagi. Dla Rossa czy dla Loketha? A może dla Ashe'a? Czy Ashe miał z tym jakiś związek? Ross dopchał się bliżej otworu i spojrzał w kierunku, gdzie zniknęli gwardziści.

Jeden z ludzi na podwyższeniu opadł na ławeczkę i zakrył twarz rękami. Jednak ten, którego Loketh nazwał Zahurem, nadal stał przed mówcą Foanna. Okazaną odwagą zaskarbił sobie uznanie Rossa.

Gwardziści tymczasem powrócili, gnając przed sobą trzech ludzi. Dwóch było Hawaikańczykami, ich obnażone, ciemne ciała nie pozostawiały w tej kwestii żadnej wątpliwości. Ale trzecią osobą był... Ashe. Ross o mało nie krzyknął jego imienia.

Ziemianin kulał, nogę nad kolaniem przewiązywał bandaż. Nie miał na sobie nic prócz kąpielówek, zabrano mu też cały ekwipunek. Na lewej skroni widniał ciemny siniec, szyję i ramię przecinała krwawa pręga od uderzenia batem.

Ross zacisnął pięści. Nigdy w życiu nie żałował tak bardzo, że nie ma broni, jak w tej chwili. Skoszenie całego towarzystwa seria z karabinu maszynowego dałoby mu ogromną satysfakcję. Tymczasem jedyną jego bronią był nóż za pasem. Równie dobrze mogłaby go oddzielać od Ashe'a ściana celi więziennej.

Wrodzona ostrożność, udoskonalona szkoleniem, pozwoliła mu opanować pierwszy impuls wkroczenia do akcji. Na razie pomoc dla Ashe'a nie wchodziła w rachubę. Na szczęście teraz już wiedział, że Gordon żyje i jest przetrzymywany przez obcych. Podniesiony na duchu Ross mógł obmyślić kolejne posunięcie.

Foanna podjęli swoją pieśń. Trzej więźniowie drgnęli; dwóch Hawaikańczyków

odwróciło się, stanęło po obu stronach Ashe'a i wsparło go ramionami. Ich ruchy cechowała mechaniczna sztywność, jakby kierowała nimi obca wola. Ashe rozglądał się wokół, patrząc to na Łowców Wraków, to na postacie w szarych płaszczach. Ross, świadom istnienia dwóch wrogich stron, mógł przypuszczać, że nawet jeśli tubylcy przeszli pod kontrolę Foanna, Ziemianin opierał się ich mocy. Nie zamierzał jednak odrzucać pomocy dwóch współwięźniów. Oparty o nich pokuśtykał wzdłuż sali w ślad za Foanna.

Ross wydedukował, że pan tego zamku przekazał właśnie więźniów ludowi Foanna. To oznaczało, że Ashe'a zabierano w inne miejsce. Ross natychmiast się wyprostował i ruszył z powrotem. Zamierzał jak najszybciej wrócić do jaskini i ruszyć śladem Gordona.

- Odnalazłeś Ashe'a! - Karara wyczytała nowinę z jego twarzy

- Wpadł w ręce Łowców, ci zaś oddali go Foanna.

- Co chcą z nim zrobić? - zapytała dziewczyna Loketha. Jej pytanie przebyło niezbędną drogę, po czym tubylec kucnął przed analizatorem i odpowiedział:

- Odebrali rozbitków jako należny im hołd. Wasz przyjaciel będzie mięsem czarownic.

- Mięsem czarownic? - powtórzył Ross, zdumiony.

Nagle Karara zachłysnęła się z przerażenia:

- Ofiara! Ross, on chyba chce powiedzieć, że złożą Gordona w ofierze!

Ross na chwilę zdrętwiał, ale zaraz odwrócił się gwałtownie i chwycił Loketha za ramiona. Brak możliwości bezpośredniego porozumienia się z tubylcem stanowił ogromne utrudnienie.

- Dokąd go zabierają? Dokąd? -wybuchnął, ale szybko ochłonał.

Karara zmrużyła oczy. Zadała pytanie delfinom, polecając im przekazać je natychmiast Lokethowi.

Na wyświetlaczu analizatora pojawiły się symbole.

- Ludzie Foanna mieszkają w swojej twierdzy. Najlepiej dopłynąć tam morzem. Mam łódź... Mogę wam ją pokazać. To moja tajemnica.

- Powiedz mu, że ruszamy natychmiast! - wyrzucił z siebie Ross. Dręczyło go znane uczucie zagrożenia; bał się, że nie zdążą. Mięso czarownic... Mięso czarownic... Ciągłe słyszał te straszne słowa.

## 8. MORSCY TUŁACZE

Świat okrywała nieprzenikniona szarość. Oko nie potrafiło dostrzec różnicy między lądem a wodą, między morzem a niebem. Otulająca wszystko mgiełka pogłębiała zmierzch zachodzącego dnia.

Ross siedział na środku łódki, huśtanej przez wysokie fale wewnątrz rafy barierowej. Jego zdaniem, czółno, dźwigające całą trójkę wraz z siecią pełną zapasów, było zbyt kruche i chybotliwe. Skoro jednak Karara wiosłowała u dziobu, a rozpromieniony Loketh na rufie, duma nie pozwalała Rossowi podważać ich kompetencji. Pocieszał się myślą, że agent nie musi posiadać wszystkich prymitywnych umiejętności; w końcu członkowie szczepu Karary opływali niegdyś Pacyfik katamaranami niewiele bardziej stabilnymi od tej łodzi, wyznaczając kurs na podstawie gwiazd i prądów morskich.

Tłumiąc w sobie uczucie bezradności i wolno wzbierający gniew. Ziemianin usiłował się zająć nauką. Zanim Loketh odważył się wyjść z kryjówki i powiosłować na południe, większość dnia spędzili w grocie. Ross, używając analizatora i z pomocą Loketha, postanowił poznać choć powierzchownie tubylczy język.

Opracował praktyczny słownik bełkotliwych wyrazów i teraz mógł częściowo zrozumieć mowę Loketha, tak że pośrednictwo delfinów było niezbędne wyłącznie przy trudniejszych wyrażeniach. Dzięki temu zdobył niejaki rozeznanie w obecnej sytuacji na Hawaice - wystarczające, żeby wiedzieć, że prawdopodobnie płyną na straceńczą wyprawę. Wstęp do twierdzy ludu Foanna był surowo zakazany nie tylko dla pobratymców Loketha, ale i dla hawaikańskich stronników Foanna, mieszkających i pracujących w obrębie zewnętrznego pierścienia fortyfikacji, pełniącego jednocześnie funkcję osady. Ci tubylcy byli zapewne wojownikami i sługami z dziada pradziada. Piastowali swoje stanowiska dziedzicznie; nikogo nie rekrutowano spośród innych mieszkańców wysp. Byli pod ochroną "magii" swoich władców.

- Jeśli Foanna są tak potężni - zapytał Ross - dlaczego płyniesz z nami przeciwko nim?  
- Uzależnienie od tubylca wciąż nie dawało mu spokoju.

Hawaikańczyk spojrzał na Kararę. Uniósł jedną rękę i wykonał palcami dziwny znak w stronę dziewczyny.

- Nie czuję lęku, bo towarzyszy nam Morska Panna i jej magia. - Na chwilę zamilkł, po czym ciągnął dalej: - Zawsze mówiono o mnie... i do mnie, że jestem nieprzydatny, zdolny tylko do wykonywania kobiecych robót. Nigdy żaden bard nie wyrecytuje moich czynów bitewnych w wielkiej sali Zahura. Ja, który jestem prawdziwym synem Zahura, nie mogę nosić miecza w orszakach panów. Ale oto dzięki wam mogę wziąć udział w jednej z wiekopomnych przygód. Jeśli będę wam towarzyszył, nawet kulejąc udowodnię swoje męstwo.

Foanna nie mogą uczynić mi niczego gorszego ponad to, co Cię mi wcześniej wyrządził. Wybierając się z wami, uzyskuję prawo do odwiedzenia Zahura z podniesionym czołem w jego własnej sali, by mu okazać, że krew jego rodu nie wyciekła z moich żył z powodu utykania!

Ross musiał mu uwierzyć, bo tak głęboka gorycz objawiła się w gwałtownych słowach Loketha, ale także w jego twarzy, w oczach, w skrzywieniu warg. Ziemianin przestał już wątpić, czy zamkowy wyrzutek zechce wystąpić przeciwko nieznannej grozie cytadeli Foanna. Zrobi to, by pomóc Rossowi, z którym związał go zwyczaj jego ludu... lecz przede wszystkim dostrzegając szansę na zdobycie tego, czego nigdy nie miał: miejsca w społeczności wo-



jowników.

Odcięty od normalnego życia swoich współplemieńców, Loketh już dawno zwrócił oczy na morze. Wykrecona noga nie stanowiła wielkiej przeszkody w wodzie. Jak stwierdził z dumą, był najlepszym pływakiem na zamku. Wcale nie dlatego, że ludzie w służbie jego ojca niechętnie wypuszczali się na wodę, którą wykorzystywali tylko podczas rabowania prawdziwych morskich Tułaczy.

Rafa, gdzie roztrzaskały się dwa okręty, stanowiła naturalną pułapkę. Dzięki kaprysom przyrody wiatry i prądy morskie często spychały tam statki kupców. Ross ze zdumieniem słuchał relacji Loketha o udoskonaleniu tej pułapki.

- Po powrocie z wiecu Zahur rzucił wielki czar na skały. Wykorzystał zaklęcia, których go nauczono. Teraz przyciągane są tam wszystkie statki i wraków nie brakuje. Zahur zyskał na znaczeniu i wielu ludzi przybywa, aby złożyć mu poddańczą przysięgę.

- Co to właściwie za magia? - zapytał Ross. - I gdzie Zahur ją opanował?

- Użył takich prętów... - Loketh wyrysował w powietrzu dwie pionowe linie. - Nie są krzywe jak miecz. Mają kolor wody przy zachmurzonym niebie i sięgają człowiekowi do głowy. Dużo trudu kosztowało prawidłowe ich ustawienie. Dokonał tego człowiek Glicmasa.

- Człowiek Glicmasa?

- Glicmas jest dzisiaj wielkim lordem Iccio. To krewny Zahura, a Zahur musiał przysiąc, że przez rok będzie mu odsyłał czwartą część morskich łupów jako zapłatę za tę magię.

- A skąd ją wziął Glicmas? Dostał od Foanna?

Loketh zaprzeczył energicznie.

- Foanna sprzeciwiali się jej wykorzystaniu, co jeszcze powiększyło waśń między Starym Ludem a mieszkańcami wybrzeża. Podobno Glicmas ujrzał coś dziwnego na niebie i podążył za tym ku wyżynom swojego kraju. Cała góra pękła na dwoje, a ze szczeliny dobiegł głos wzywający króla tamtej ziemi, by stanął przed nim i go wysłuchał. Kiedy Glicmas spełnił polecenie, powiedziano mu, że magia będzie należeć do niego. Wtedy góra się zamknęła, a on znalazł na ziemi mnóstwo różnych dziwnych rzeczy. Kiedy ich używa, dorównuje mocą ludziom Foanna. Niektóre rozdaje swoim krewniakom. Wydaje im się, że kiedy się staną silni, pochwyć nie tylko wszystkich morskich tułaczy, lecz także ludzi Foanna.

- A co ty o tym myślisz? - zapytała nagle Karara.

- Sam nie wiem. Morska Panno. Nadchodzi czas, kiedy mogą dostać szansę na udowodnienie mocy swojej magii. Już teraz Tułacze zbierają flotę, czego nigdy dotąd nie robili. Wydaje się, że i oni znaleźli nową magię. Teraz ich statki fruną po wodzie, nie polegają już tylko na wietrze wypełniającym żagle i krzepkich ramionach wioślarzy. Czeka nas bój. Ale i ty to musisz wiedzieć, będąc tym, kim jesteś, Morska Panno.

- Kim właściwie według ciebie jestem? Kim jest Ross?

- Skoro Foanna zamieszkują na łodzi i skupiają w rękach dawną wiedzę i moc wykraczającą poza nasze zrozumienie - odparł - w takim razie podobne korzenie mogą sięgać także pod wodę. W moim przekonaniu jesteście Mrocznymi, ale nie jesteście Cieniem. A wojownik, którego szukamy, także należy do waszego plemienia, chociaż może pełnić inną funkcję: zamieniać w czyn wasze życzenia i pragnienia. Jeśli wystąpicie przeciwko Foanna, stanie przed wami godny przeciwnik.

Miło mieć tę pewność, pomyślał Ross. Nie podzielał jednak optymizmu Loketha w tej kwestii.

- Mroczni... Cień... Kim oni są? - chciała wiedzieć Karara.

Wyraz zdziwienia przemknął przez twarz Hawaikańczyka.

- Czyżbyś ich nie znała. Morska Panno? Chyba rzeczywiście nie jesteście spokrewnieni z mieszkańcami lądu. Mroczni mogą przyjść ludziom z pomocą, jeśli tylko zechcą wpłynąć na bieg historii. A Cień... Cień jest Tym, Który Wieńczy Wszystko... Próżno Go błagać o cokolwiek. Żywi głęboką i zajadłą nienawiść do wszystkiego, co ma życie i kształt.

- A więc Zahur posiadał tę nową magię. Czy jest ona darem Mrocznych, czy Cienia? - Ross wrócił do tematu, który obudził w nim czujność.

- Zahur rośnie w potęgę - padła enigmatyczna odpowiedź.

- Czyli Cień nie mógłby obdarzyć taką magią? - naciskał Ziemiannin.

Zanim jednak Loketh zdążył odpowiedzieć, Karara dorzuciła kolejne pytanie:

- Ale ty wierzysz, że obdarzył?

- Nie wiem. Ale magia uczyniła Zahura częścią Glicmasa, a Glicmas jest teraz pewnie częścią Tego, kto przemówił z góry. Można przyjmować dary, które wiążą z sobą ludzi, ale na samym początku trzeba ustalić, jak mocna ma to być więź.

- Widzę, że gruntownie to sobie przemyślałeś, Loketh - rzekła Karara.

Rossa nurtował jednak coraz większy niepokój. Moc obcych, pochodząca z głębi góry, przeszła z jednego lorda na drugiego. A do tego magia Tułaczy zniemacka przydała skrzydeł ich statkom. Oba przypadki pozostawały ze sobą w ścisłym, choć niejasnym związku. Również na Ziemi doszło swego czasu do gwałtownych, trudnych do wytłumaczenia skoków cywilizacyjnych, pozwalających urzeczywistnić projekt podróży w czasie, którego i on był elementem. Te skoki nie były skutkiem normalnych badań naukowych; ich przyczyn należało upatrywać w złupieniu wraków statków kosmicznych, rozbitych na jego świecie w dalekiej przeszłości.

Czyżby okruchami tej samej galaktycznej wiedzy rozmyślnie karmiono wojujące ze sobą społeczności? Ross zapytał Hawaikańczyka o urodzonych w kosmosie badaczy, lecz dla niego było to całkowicie niezrozumiałe. Loketh uważał gwiazdy za drzwi i okna Mrocznych, więc możliwość międzygwiazdnych wojaży traktował jako domenę wszechmocnych duchów, a nie istot jego rodzaju. Żaden ślad nie wskazywał na to, by na Hawaice wylądował międzygwiazdny statek. Nie należało jednak tego zupełnie wykluczać. Zdaniem Rossa, planeta była słabo zaludniona. duże obszary większych wysp zajmowały dzikie pustkowia. Świat ten musiał mieć podobną gęstość zaludnienia jak Ziemia w epoce brązu, kiedy to plemiona koczownicze nawiedzały obrzeża dziewiczych terenów, nieprzebytych borów i stepów, gdzie wcześniej nie postąpiła ludzka stopa.

Gdy tak balansował w czółnie, usiłując zapomnieć o rozstrojonym żołądku i o słabości konstrukcji z kości obciążonej skórą morskiego zwierza, oddzielającej go od głębin, Ross w dalszym ciągu starał się dociec prawdy. Czyżby kosmiczni najeźdźcy zaczęli się wtrącać do życia planety dla urzeczywistnienia swoich prywatnych celów, rozdając narzędzia i broń z zamiarem naruszenia delikatnej równowagi między zwaśnionymi stronami? Dlaczego? Ażeby rozognić konflikt, który wciągnąłby całą populację, by sama siebie wyniszczyła? Mogliby wówczas zająć planetę bez trudu i ryzyka. Takie zachowanie pasowało jak ulał do Łysawców, których poznał na Ziemi.

Nie potrafił też wymazać z pamięci wspomnienia wybrzeża widzianego za pośrednictwem sondy: zamku w gruzach, wysokich pylonów sięgających z lądu do morza. Czy stali u progu zmian mających nadać Hawaice wygląd, jaki zastali w przyszłości - planety pozbawionej rozumnego życia, usianej archipelagami poszarpanych wysepek?

- Dziwna jest ta mgła. - Słowa Karary przywołały Rossa do rzeczywistości.

Spowijające ich opary, których Ross prawie nie zauważał w momencie wypływania z sekretnej zatoczki, gdzie Loketh chował swoją łódź, przerodziły się w gęstą mgłę. Snula się w tumanach nad wodą, gwałtownie ograniczając widoczność.

- Foanna! - udzielił Loketh jednoznacznej odpowiedzi. Rozpoznał zagrożenie. - To ich magia... Tym sposobem ukrywają swoją siedzibę. Nadchodzą kłopoty...

- W takim razie lądujemy? - Ross nie uważał gęstniejących oparów za przejaw manipulacji siłami przyrody przez wszechpotężnych Foanna. Zbyt często zbieg okoliczności wspomagał reputację "szamanów". Uważał jednak, że należy przerwać wędrówkę na osłep w tej mlecznej ciemności.

- Taua i Tino-rau mogą nas poprowadzić - przypomniała mu Karara. - Rzuć linę, Ross. Ich nie obchodzi, co się dzieje nad wodą.

Ross zrobił parę ostrożnych kroków, próbując dostosować się do kołysania łodzi. Zwinięta lina czekała pod ławeczką, wyrzucił więc luźny jej koniec za burtę. Już w chwilę potem uczył szarpnięcie i lina się naprężyła.

Byli teraz holowani, ale wioślarze jeszcze wzmogli wysiłki. Biały całun nad powierzchnią wody nie przeszkadzał w niczym morskim pływakom. Ross poczuł nagłą ulgę. Odwrócił głowę, by porozmawiać z Lokethem.

- Ile drogi nam jeszcze zostało?

Mgła zgęstniała do tego stopnia, że ledwo było widać zarysy ciała tubylca, choć przecież nie siedział daleko. Nawet jego odpowiedź wydała się zniekształcona, jakby mgła zmieniała nie tylko kształt ciała, ale i osobowość.

- Chyba już niewiele. Najpierw musimy zobaczyć morskie wrota.

- A jeśli nie zdołamy ich dostrzec?

- Morskie wrota znajdują się także pod wodą. Ci, którzy są posłuszni Morskiej Pannie, którzy potrafią przekazywać myśli, znajdą je, nawet jeśli nam się nie uda.

Nie dane im jednak było dotrzeć do celu. Karara wyszeptała ostrzegawczo:

- Gdzieś tu płyną statki.

Ross wiedział, że informacja ta pochodzi od delfinów.

- Jakiego rodzaju?

- Znacznie większe od tej łodzi.

- Trzy pirackie łodzie Tułaczy! - rzucił Loketh.

Ross zmarszczył brwi. Teraz on czuł się jak kaleka. Tamta dwójka, ze swoją zdolnością porozumiewania się z delfinami, była obdarzona ich wzrokiem; on był zupełnie ślepy. Zirytowany, dał upust goryczy, rozkazując ostro:

- Wiosłujcie do brzegu, i to już!

Na lądzie, chociażby nawet we mgle, mogliby mieć przewagę w każdej grze w chowanego, jaką rozpoczęłyby ta wroga, przeważająca siła. Na pokładzie łódki dręczyła jednak Rossa własna bezradność i słabość, a więc stan, z którym nie mógł się łatwo pogodzić.

- Nie! - odparł Loketh równie ostro. - Tu nie dobijemy do brzegu, bo wszędzie są klify.

- Płyniemy pomiędzy dwoma okrętami - zameldowała Karara.

- Nie ruszajcie wiosłami - wyszeptał Ross. - Nie możemy ich teraz używać. Niech ciągną nas delfiny. Jeśli nie będziemy hałasować, może zdołamy wymknąć się we mgle.

- Racja - odpowiedziała Karara. Także Loketh wydał potakujący pomruk.

Płynęli teraz bardzo powoli. Delfinom nie brakowało sił, ale bały się rozwijać pełną szybkość, holując łódkę. Ross myślał intensywnie. Może w razie potrzeby przyjdzie im uciekać wpływ? Nie miał pojęcia, dlaczego łodzie pirackie podpływają pod osłoną mgły w sąsiedztwo

cytadeli Foanna. Jedno było pewne: nie zamierzali składać wizyty kurtuazyjnej ani nawet oczekiwanej przez Foanna. Tułacze, stare morskie wygi, w normalnych okolicznościach na pewno unikali tak gęstej mgły. Musieli więc mieć jakiś istotny powód albo pewną ochronę, by wybierać się teraz w podróż.

Ross zastanawiał się, czy powinni w takich warunkach wyskoczyć we trójkę z łodzi, pokładając nadzieję wyłącznie w delfinach i własnych umiejętnościach pływackich, i spróbować zdobyć morskie wrota ludu Foanna. Czy dałoby się wykorzystać mający niebawem nastąpić atak Tułaczy i podczas ogólnego zamętu wtargnąć do fortecy? Ross doszedł do przekonania, że mogą na to liczyć.

Zdał towarzyszom szeptem sprawę z własnych ustaleń i zaczął przygotowywać ekwipunek. Łódź nadal płynęła w stronę zakrytego przed ich oczami brzegu. Wychwytywali jedynie dźwięki dobiegające z białego oparu, dowodzące, jak ściśle są otoczeni przez korsarzy. Skrzypienie, poszepty, głosy czasem trudne do zidentyfikowania niosły się nad falami.

Zanim opuścili jaskinię i rozpoczęli podróż, zapoznali Loketha z zastosowaniem skrzelopaków i pozwolili mu poćwiczyć z zapasowym sprzętem, jaki wciągnęło przez bramę razem z pozostałymi pakunkami. Teraz wszyscy troje, zaopatrzeni w podwodny rynsztunek, mogli zniknąć pod wodą przed zatrzaśnięciem się pułapki.

- Sieć z zapasami - przypomniał sobie Ross. W chwilę później nos delfina stuknął cicho o burtę łodzi. Ross uniósł ostrożnie pojemniki i spuścił na wodę, powierzając je pod opiekę delfinowi.

Nie był jednak przygotowany na to, co się potem wydarzyło. Łodzią szarpnęło najpierw w jedną, potem w drugą stronę, jakby delfiny chciały ich wrzucić do wody. Ross usłyszał okrzyk Karary, piskliwy i przerażony:

- Taaa! Tino-rau! One oszalały! Nie chcą mnie słuchać! Łódź pędziła zygzakiem. Loketh podtrzymał Rossa, pomagając mu odzyskać równowagę, bo czołno groziło wywrotką.

- Foanna...! - zawołał. Zanim przebrzmiał okrzyk Loketha, Karara wypadła za rufę łodzi; nie wiadomo, czy wyskoczyła rozmyślnie, czy też ją wyrzuciło.

Potem łódka zawirowała i trzasnęła bokiem o ciemny kształt mający we mgle. Ross usłyszał dolatujące z góry wołania. Wiedział już, że zderzyli się z pirackim okrętem. Usiłował utrzymać się na nogach, ale razem z Lokethem padł na dno łodzi. Szamotali się przez kilka cennych sekund, nie mogąc wstać.

Jakaś ciężka masa spadła prosto na ich głowy i szczelnie przykryła obu. Oślizłe sploty lepiły się do ciała. Ross wydał zduszony okrzyk, kiedy naprężone liny unieruchomiły mu ramiona.

Został złowiony w sieć. Wyciągano go teraz z rozchybotanej łódki jak bezbronnego jeńca. Nogami, nie spętanymi lepkiemi powrozami, tłukł o burtę okrętu. Na koniec przeleciał nad relingiem i runął na pokład. Grzmotnął boleśnie o deski, niezdolny zebrać myśli. Wiedział tylko, że został schwytyany przez nad podziw skuteczne urządzenie.

Tuż obok wylądował Loketh. Jedyłą nadzieję Ross pokładał w tym, że nigdzie nie widział Karary. Czy zdołała zachować wolność, skacząc do wody, zanim Tułacze zarzucili sieci? Widział, jak wokół zbierają się zamaskowane i zniekształcone przez mgłę postacie. Nagle potoczył się po pokładzie; przepchnięto go nad krawędzią luku i zaraz przeżył sekundę grozy, lecąc w mrok do ładowni.

Jak długo leżał nieprzytomny? Chyba niezbyt długo, pomyślał, kiedy już otworzył w ciemności oczy. Słyszał ciche skrzypienie statku. Nie śmiał nawet drgnąć, chciał sobie najpierw wszystko przypomnieć, uporządkować myśli przez próbą rozprostowania ramion.

Były przytwierdzone do ciała sznurami, które teraz, kiedy wyschły, nie wydawały się już śliskie. Za to ich smród po prostu zatykał. Pomimo wysiłków Ross nie dał rady rozluźnić więzów. Ostatecznie dał za wygraną. Uzmysłowił sobie, że niełatwo mu będzie stąd uciec.

## 9. PRÓBA WALKI

Do uszu Rossa dochodziły stłumione wrzaski i bełkotliwa mowa, na pokładzie wzmagął się tumult. Czyżby korsarski statek został zaatakowany metodą abordażu? Mimo bólu głowy i oszołomienia, Ross usiłował coś usłyszeć i wymyślić.

- Loketh? - odezwał się. Był pewien, że Hawaikanczyka także wtrącono do ładowni.

Zamiast odpowiedzi dobiegły go z mroku głuche jęki i mamrotanie. Ross zaczął powoli posuwać się w tamtym kierunku. Nie był marynarzem, lecz podczas długiej drogi zauważył jakąś zmianę na statku. Ustały wibracje desek, na których leżał. Skołatana świadomość podpowiedziała mu, że wyłączono silnik. Teraz okręt nie pruł dziobem fal, tylko się na nich kołysał.

Ross natknął się wreszcie na nieruchome ciało.

- Loketh!

- Aaa... Ogień... ogień! - Na wpół zrozumiałe słowa nic nie powiedziały Ziemianinowi.

- Płonie w mojej głowie... Ogień...

Statkiem mocno zakołysało i Ross potoczył się drugi koniec ładowni. Coś potężnie ryknęło, zagłuszając hałas na pokładzie i tupot wielu stóp.

- Ogień... Aaa! - wrzasnął Loketh przeraźliwie.

Ross utknął między dwoma niewidocznymi filarami, skąd nie mógł się wydostać, chociaż natężał wszystkie siły. Wzmagало się wzdłużne kołysanie. Wspominając dwa statki roztrzaskane na rafie, Ross zastanawiał się, czy podobny los nie spotka ich okrętu. Co prawda tamtą katastrofę spowodował sztorm, a dzisiaj noc była spokojna, a morze gładkie.

Chyba że... Wystawiony na wstrząsy, zaczął wreszcie myśleć logicznie. Chyba że Foanna dysponowali przy morskich wrotach jakimiś środkami obrony i teraz ich użyli. Delfiny... Co wpłynęło na zachowanie Tauy i Tino-rau? Jeśli Tułacze nie panowali nad swoim okrętem, można byłoby spróbować ucieczki.

- Loketh! - Ross odważył się zawołać głośniejszym głosem niż przedtem. - Loketh! - Szamotał się ze schnącymi sznurami, które opinały go od ramion po pas. Wciąż trzymały mocno.

Na pokładzie tymczasem rósł hałas. Marynarze odzyskiwali chyba panowanie nad jednostką. Ziemianin usłyszał trudne do zidentyfikowania dźwięki i nagle statek przestał się szaleńczo kołysać. Loketh jęknął boleśnie.

Ross odniósł wrażenie, że wypływają znowu na pełne morze.

- Loketh! - Potrzebował informacji, koniecznie musiał je zdobyć. Nieznajomość wydarzeń na górze bardzo mu dokuczała. Jeżeli zostali uwięzieni na statku opuszczającym wyspę... Świadomość związanego z tym niebezpieczeństwa pobudziła Rossa do kolejnych zapasów z więzami, po których osunął się, dysząc z wyczerpania.

- Ross? - Tylko Hawaikańczyk mógł wymówić jego imię z takim sykiem.

- Tutaj! To ty, Loketh? - Oczywiście, a któżby inny, pomyślał Ross.

- Jestem tutaj. - Tubylec mówił dziwnie słabym głosem, jak człowiek trawiony ciężką chorobą.

- Co się z tobą stało? - zapytał Ross.

- Ogień... Ogień w mojej głowie... Zżera... zżera... - Między słowami zapadała długa cisza.

Ziemianin słuchał tego ze zdziwieniem. Co za ogień? Loketh został zapewne potraktowany jeszcze bardziej bezceremonialnie niż on sam. A do tego dziwna reakcja statku...

I delfiny... O jakim ogniu mówi Loketh?

- Ja niczego nie czułem. - Powiedział to bardziej do siebie niż do Hawaikańczyka.

- Nic nie płonęło w twojej głowie? Więc nie mogłeś myśleć...

- Nie.

- To chyba magia ludu Foanna. Ogień zżera człowieka, zżera go w całości!

Karara! Ross wrócił myślami do chwili, kiedy delfiny wydawały się wpadać w szal. Karara krzyknęła wtedy coś o Foanna. A zatem nieznaną siłę wyczuły zwierzęta, Karara, a także Loketh. A dlaczego nie Ross Murdock?

Karara miała dodatkowy, trudny do zdefiniowania zmysł umożliwiający jej komunikację z delfinami, które z kolei potrafiły czytać w umyśle Loketha. Tylko Ross nie umiał porozumiewać się tym sposobem.

Z początku świadomość tego faktu wywoływała w nim uczucie wstydu i zagubienia. Upokarzał go brak tego, co dostępne było innym: subtelnej mocy oddzielonej od zdolności ciała i części umysłu. Cierpiał nawet wtedy, gdy był zmuszony do używania analizatora zamiast zmysłów, jakie mieli tamci. Czuł się upośledzony, odrzucony na margines.

Nagle się roześmiał. W porządku, czasem nawet nieczułość może być dobrą ochroną jak teraz, przy morskich wrotach. A jeśli jego niedostatek okaże się również bronią? Nie czuł się oszołomiony jak dwoje jego towarzyszy. Gdyby nie to, że wpadli w ręce piratów, zanim Loketh i Karara zostali na pewien czas pozbawieni dodatkowego zmysłu, może byłby teraz panem tego okrętu. Już się nie śmiał, tylko rozmyślał z goryczą o tym, co się stało. W końcu się otrząsnął. Potem będzie czas na analizę całego zdarzenia.

Coś zaskrzypiało mu nad głową; prawdopodobnie otwierano klapę luku. Blask zalał snopem światła jego zaciszny zakątek. Jakaś postać przeskoczyła na boczną drabinkę, zeszła na dół i stanęła w rozkroku nad Rossem, przystosowując się do kołysania okrętu z łatwością nabytą w czasie długich morskich podróży.

Ross spojrział w twarz pierwszego przedstawiciela trzeciego odłamu hawaikańskiego trójkąta władzy - Tułacza.

Marynarz był wysoki, szerszy w barach i ramionach niż mieszkańcy lądu. Nosił giętką zbroję na tutejszą żołnierską modłę, powleczonej farbą o perłowym odcieniu, w którym opalizowały wielobarwne pasemka. Na łysej głowie, od karku do czoła, widniała szeroka, pokryta żelaznymi łuskami opaska. Podtrzymywała najeżony ostrymi zębami grzebień, przypominający postawioną płetwę grzbietową jakiejś ziemskiej ryby.

Tułacz wyglądał zdecydowanie groźnie, gdy tak stał z pięściami opartymi na biodrach. Jego postawa sugerowała, że jest kapitanem statku. Ciemne oczy z ciekawością oglądały Rossa. Padające z pokładu światło skupiało się dokładnie na Ziemiannie; wydobywało z mroku każdy szczegół jego postaci. Ross miał ochotę zmrużyć oczy, ale odpowiadał spojrzeniem na spojrzenie, pewnością siebie na piracką butę.

W przeszłości niejeden poszukiwacz przygód na Ziemi ocalił życie wyłącznie dlatego, że silne nerwy i samozaparcie pozwoliły mu opanować strach w obliczu prześladowcy. Nie wiadomo jednak, czy teraz i tutaj podobna brawura przyniesie korzyści. Ross postanowił w końcu posłużyć się tą bronią, skoro nie miał innej pod ręką.

- Ty...- Tułacz jako pierwszy przerwał ciszę. - Ty nie jesteś Foanna. - Zamilkł, jakby w oczekiwaniu na jakąkolwiek odpowiedź. Ross wybrał jednak milczenie. - Nie, ty nie jesteś Foanna, nie należysz też do tej hołoty z wybrzeża. - Znowu pauza. - Zaraz sprawdzimy, co za ryba wpadła w sieci Torgula... Dawać no tu linę! - zawołał do góry. - Wyciągniemy tę rybkę i jego kamrata...

Rossa i Loketha wydobyto na górny pokład i ciśnięto w sam środek zgromadzonych tłumnie żeglarzy. Leżącego tubylca na razie zignorowano. Agent, na skinienie kapitana, postawiono na nogi. Miał nareszcie okazję przyjrzeć się swoim więzom: szare powrozy, skurczone i cuchnące, trzymały nadal mocno, chociaż po raz któryś z kolei spróbował wyswobodzić ręce.

- Hejże! - wyszczerzył zęby kapitan. - Rybce nie w smak nasza sieć! Masz zęby, rybo. Użyj ich, przegryź się na wolność!

W odpowiedzi na to łagodne szyderstwo załoga wydała pomruk zadowolenia. Ross doszedł do wniosku, że to najlepsza pora do kontraktaku.

- Widzę, że nie zbliżacie się zbyt blisko do tych zębów! - Wymyślił najbardziej zaczepną odpowiedź, na jaką pozwalała mu ograniczona znajomość hawaikańskiego języka.

Na krótko zaległo milczenie, a potem kapitan klasnął w dłonie, co zabrzmiało w ciszy jak eksplozja.

-A więc masz zamiar użyć zębów, rybo? - zapytał, a w jego tonie czaiła się groźba.

Kierowany ślepą wściekłością Ross zrobił następny krok. Miał wrażenie - jak zwykle, kiedy popadał w tarapaty - że z jakiegoś ukrytego w nim głęboko miejsca, siedziby determinacji i odwagi, wydobywają się właściwe słowa, wybrane spośród wielu możliwych. Przez moment był w rozterce, czy powinien potraktować dosłownie pytanie Tułacza, ale zaraz rozsunął wargi, odsłaniając zęby.

- Na kim z was mam je wypróbować?

- Vistur! Vistur! - krzyknęło kilka głosów.

Jeden z członków załogi postąpił dwa kroki do przodu. Był, podobnie jak Torgul, wysoki i mocno zbudowany, mięśnie przeżyły się na długich kończynach. Sieć blizn pokrywała przedramiona, obok szczęki biegła długa szrama. Wyglądał na zabijakę i był nim zapewne, skoro wybrali go równie jak on zaprawieni w bojach i niebezpieczni ludzie.

- Chcesz, by Vistur sprawdził, ile jest warte twoje słowo, rybo? - W pytaniu kapitana zabrzmiała oficjalna nuta, jakby odprawiał nieznany ceremoniał.

- Pod warunkiem, że spotka się ze mną jak stoi, bez żadnej broni - odparował Ross.

Zauważył zmianę w reakcjach załogi. Ten i ów jeszcze pokpiwał albo miotał pogroźki, ale niektórzy, a wśród nich Torgul, umilkli i teraz patrzyli na niego uważnie.

Vistur parsknął śmiechem.

- Dobrze powiedziane, rybo. Niech i tak będzie.

Torgul wysunął w stronę Rossa otwartą dłoń, na której leżał niewielkich rozmiarów przedmiot, niezbyt dobrze widoczny z daleka. Czyżby nowa broń? Kapitan nie zamierzał jednak dotykać nim więźnia, ręka nakreśliła w powietrzu jakiś dziwny znak.

- Nie ma żadnej niedozwolonej magii - obwieścił na koniec kapitan.

Vistur skinął głową.

- Zatem to nie Foanna. A szczury lądowe nie napawają mnie strachem. W końcu jestem Vistur!

Znowu rozległy się entuzjastyczne okrzyki. W prostym stwierdzeniu przebijała większa pewność siebie niż w jakiegokolwiek słownej przechwałce.

- A ja jestem Ross Murdock! - zakomunikował Ziemianin nie mniej hardym tonem. - Czy ryby pływają ze związanymi płetwami? A może Vistur boi się walczyć z jedną wolną rybą?

Ta drwiąca uwaga przyniosła oczekiwany skutek. Więzy, rozcięte na plecach, opadły z chrzęstem na ziemię niczym zwiędłe, bezużyteczne pnącza. Ross rozprostował ramiona. Na



szczęście sznury nie zatamowały obiegu krwi. Ziemianin był gotów stawić czoło Vistuwowi. Nie wątpił, że zawodnik Tułaczy jest niezwykle groźnym przeciwnikiem, ale przecież nie miał okazji uczestniczyć w treningu agentów. Rossowi wpojono dawno temu każdą sztukę walki wręcz, jaką znano na Ziemi. Jego dłonie i stopy mogły stać się równie śmiercionośną bronią, jak haczykowate miecze czy pistolety - zakładając, że zbliży się na dostateczną odległość, aby mógł ich prawidłowo użyć.

Vistur odpiął pas z bronią, a gdy odłożył na bok hełm, ukazały się włosy splecione w warkocz, tak skręcony na czubku głowy, by tworzył swoistą wyściółkę dla wąskiego hełmu. Teraz wojownik zdjął zbroję - zdarł ją właściwie, chwytając za dolny brzeg łuskowatego okrycia i ściągając go przez głowę, jak się ściąga sweter. Kiedy stanął naprzeciwko Ziemianina, miał na sobie niewiele więcej niż Ross, ubrany tylko w kąpielówki, bo odrzucił pas i skrzelopak. Wstąpił w środek kręgu, jaki uformowała załoga. Silne światło spłynęło z góry, chyba z głównego masztu, pozwalając mu dobrze przypatrzeć się przeciwnikowi.

Piraci zagrzewali do szybkiej rozprawy z lekkomyślnym śmiałkiem, wykrzykiwali wskazówki i słowa zachęty. Jednak Tułacz, mimo pewności siebie, okazywał w obliczu nieznanego ostrożność, co świadczyło o inteligencji. Górował nad Rossem wagą i najwiśdoczniej przewyższał go siłą, nie myślał jednak rzucać się pochopnie w wir walki, do czego nawoływali kibice.

Okrażali się nawzajem. Ross śledził każde drgnienie mięśni Tułacza, każdą najmniejszą zmianę w ustawieniu rywala. W takich wypadkach zawsze coś zwiastuje atak przeciwnika. Ross postanowił przyjąć na razie postawę defensywną.

Atak nastąpił wreszcie, gdy tłum zaczął okazywać zniescierpliwienie i ponaglać Vistura, by dał nauczkę więźniowi. Ross jednak wątpił, czy ta właśnie okoliczność wpłynęła na decyzję Tułacza. Hawaikańczykowi po prostu się wydało, że znalazł najlepszy sposób na obezwładnienie Ziemianina.

Ross schylił się momentalnie, więc potężny cios ledwie go musnął. Jednocześnie sztywna dłoń Murdocka uderzyła kantem, a Vistur padł na kolana z przeraźliwym wrzaskiem. Drugie uderzenie rozciągnęło Tułacza na deskach pokładu. Po tym błyskawicznym ciosie Ross powstrzymał się od złośliwości, nie chciał bowiem zabijać przeciwnika ani unieruchamiać go na dłużej niż kilka minut. Jego ofiara zarobiła parę bolesnych siniaków i zapewne nabrała respektu przed nowym stylem walki. Korsarz mógłby równie dobrze leżeć martwy, gdyby jeden z ciosów wylądował w innym miejscu niż to, które wybrał Ross.

Ziemianin wykonał błyskawiczny zwrot, opierając się plecami o podstawę masztu. A może był w błędzie? Może załoga rzuci się na niego, skoro pokonano ich reprezentanta? Ross zakładał przestrzeganie zasad czystej gry, szanowanych przez prymitywne społeczności ziemskich wojowników, kiedy trwał pojedynek. Mógł się jednak mylić. Cekał w napięciu na rozwój wydarzeń. Niech tylko jeden z nich sięgnie po broń, a będzie to jego koniec.

Dwóch pomagało wstać Vistuwowi. Tułacz łapał ze świstem oddech, niepewnym ruchem podniósł ręce do piersi. Większość pirackiej braci przeniosła teraz wzrok na wątłego Ziemianina, jakby nie dawała wiary świadectwu własnych oczu.

Torgul podniósł z desek pokładu pas i skrzelopak, odłożone przez Rossa przed walką. Okręcił pas na przedramieniu, aż na wierzchu znalazła się pusta pochwa na nóż. Jeden z marynarzy wystąpił z tłumu i wsunął na dawne miejsce długi nóż z wyposażenia nurków, który wyjęto, gdy chwymano Murdocka. Kapitan zwrócił teraz Rossowi jego własność: pas i skrzelopak. Ziemianin odetchnął. Opłacała się brawura. Wyglądało na to, że wywalczył sobie wolność.

-A co z moim sługą? - Dopinając pas, Ross skinął w stronę Loketha leżącego tam, gdzie go zostawiono przed rozpoczęciem pojedynku.

- Złożył ci przysięgę? - zapytał Torgul.

- Tak.

- Rozwiążcie szczura z wybrzeża - rozkazał Tułacz. - A teraz powiedz mi, nieznajomy, kim naprawdę jesteś. Może jednak należysz do ludu Foanna? Posiadasz magię, która nie jest naszą magią, skoro Kamień Phutki niczego nie wykrył. A może jesteś jednym z Mrocznych? - Palce jego ułożyły się w znak podobny do tego, jaki raz wykonał Loketh przed Kararą. Ross odpowiedział po namyśle:

- Jestem z morza, kapitanie. Jeśli pytasz o Foanna, to ci powiem, że nie są moimi przyjaciółmi, bo uwięzili kogoś, kto pochodzi z mojego plemienia.

Torgul zmierzył go wzrokiem od stóp do głów.

- Powiadasz, że pochodzisz z morza? Jestem Tułaczem, odkąd postawiłem dwie stopy na pokładzie, zgodnie ze zwyczajem i tradycją mojego ludu, a nie spotkałem nigdy kogoś podobnego do ciebie. Być może twoje nadejście wróży nieszczęścia mnie i temu, co posiadam, ale zgodnie z prawem walki zdobyłeś sobie wolność na tym okręcie. Przyrzekam ci jednak, nieznajomy, że jeśli złem odplacisz za gościnę, prawo przestanie obowiązywać i będziesz musiał swoją magią sprostać magii Phutki. A to, jak się przekonasz, zupełnie inna sprawa.

- Nie zamierzam wyrządzić wam krzywdy, kapitanie, i mogę to potwierdzić jaką zechcesz przysięgą. Tylko jednego pragnę: wydostać z twierdzy Poanna człowieka, którego szukam, zanim zrobią z niego mięso czarownic.

- Do takiego zadania powinieneś użyć każdej mocy, jaką zdołasz zawezwać, nieznajomy. Tej nocy zakosztowaliśmy potęgi morskich wrót. Chociaż płynęliśmy prowadzeni wolą Phutki, byliśmy niczym wodorosty miotane na falach. Kto zechce przekroczyć te wrota, musi posiadać większe moce niż wszystkie, o jakich słyszeliśmy.

- A więc i wy macie porachunki z ludem Foanna?

- Z ludem Foanna albo z ich magią - przyznał Torgul. - Trzy statki ze stancji zniknęły bez śladu! A ci, którzy razem z nimi przepadli, pochodzili z naszego morskiego klanu. Za sprawą Cienia rozsnuwa się nad morzem od niedawna ciężka, mroczna zasłona. Nie jesteśmy już w stanie nic zrobić tej nocy. Szczęście, że w ogóle wróciliśmy na pełne morze. A teraz powiedz, nieznajomy, co mamy z tobą począć? Może chcesz wrócić w głębiny, skoro nazywasz je swoim domem?

- Nie tutaj - odparł czym prędzej Ross. Najpierw musiał się zorientować w obecnym położeniu, dowiedzieć, jak daleko stąd do brzegów wyspy. No i sprawdzić, co się stało z Kararą i jej delfinami.

- Nie wzięliście żadnych innych więźniów? - zapytał kapitana.

- Było was więcej? - zainteresował się Torgul.

- Tak. - Nie trzeba od razu wymieniać liczby, postanowił w duchu Ziemiainin.

- Nie widzieliśmy nikogo innego... Hej, wy tam! - Kapitan potoczył wzrokiem po wciąż stłoczonej załodze. - Brać się do roboty! Musimy zbudzić rano Kyn Add i złożyć raport przed radą.

Odszedł, a Ross, zdecydowany uzyskać jak najwięcej informacji, podążył za nim do kabiny na rufie. Tu też panował barbarzyński przepych rzeźb i gobelinów, a bogactwo sreber i mebli niewiele różniło się od tego, co oglądał w zaniku Łowców Wraków. Torgul zerknął przez ramię na gościa i zawahał się w grę kabiny.

- Zachowałeś życie, ty i twój sługa. Nie prosz mnie o nic więcej, jeśli nie masz dość siły,

by wesprzeć nią swoją prośbę.

- Nie chcę niczego, kapitanie, tylko powrotu tam, skąd mnie wzięłeś.

Torgul uśmiechnął się ponuro.

- Pochodzisz z morza, sam tak powiedziałeś. Morze jest ogromne, ale to zawsze to samo morze. Musisz znać w nim swoje ścieżki. Wybieraj wśród nich wedle woli, ale ja już nie zaryzykuję obrania kursu na niebezpieczeństwo, które czyha przed wrotami Foanna.

- Dokąd zatem płyniesz, kapitanie?

- Do Kyn Add. Wybór należy do ciebie, nieznajomy: wracasz do morza albo płyniesz z nami.

Ross zdawał sobie sprawę, że Tułacz nie zmieni już swego stanowiska. Nawet ze skrzelopakiem nie mógłby dopłynąć tam, skąd go porwano. Na morzu nie było żadnych drogowskazów, a poza tym dłuższa znajomość z Torgulem mogła się okazać pomocna.

- Wybieram Kyn Add, kapitanie. - Uczynił kolejne posunięcie w celu udowodnienia swojej prawdomówności i zdobycia zaufania Tułaczy. Siedział teraz przy jednym stole z kapitanem, jakby miał prawo mieszkać z nim w kapitańskiej kajucie.

## 10. POGROM W KYN ADD

Na kilka chwil przed świtem senność dokuczała Rossowi równie mocno jak głód. Niepokój wyciągnął go jednak na pokład; przechadzał się teraz, śledząc zachowanie statku i jego załogi.

Oglądał kiedyś okręty ziemskich kupców z epoki brązu, jednostki niewielkie w porównaniu ze statkami jego własnych czasów. Polegały na wioślarzach, gdy wiatr nie wydymał ich żagli, wołały się skradać wzdłuż wybrzeży niż wypływać na niebezpieczne wody - czasami nawet cumowały każdej nocy u brzegu. Były też inne statki, smuklejsze, bardziej wytrzymałe. Te śmiało zapuszczały się na niezbadane morza, docierały do ziem położonych za zasłoną mgieł, a ich żagle wspomagali wioślarze dotknięci nieodpartą potrzebą zbadania, co się kryje za widnokretem.

I oto Ross płynął podobnym statkiem - utrzymanym w czystości, sprawnym pod każdym względem, większym od długich łodzi Wikingów, które widział na taśmach zgromadzonych w zbiorach Projektu, ale przypominającym te dalekomorskie ziemskie jednostki. Dziobnica pięła się w górę wspinałym łukiem, zwieńczona rzeźbionym wizerunkiem morskiego smoka, z jakim Ross nie tak dawno walczył na Hawaice. W regularnych odstępach w oczach potwora migotały światelka. Ziemianin nie mógł tego zrozumieć. Czy to miał być jakiś sygnał, czy też ostrzeżenie dla ewentualnych wrogów?

Okręt pruł fale mimo zwiniętych żagli, a towarzyszył temu miarowy warkot. To musiał być silnik. Ross poczuł konsternację. Długa łódź Wikingów poruszana silnikiem? Absurdalne połączenie.

Wszyscy członkowie załogi wyglądali niemal identycznie. Nosili elastyczne, perłowe zbroje i hełmy na opinających czaszkę obręczach; wyróżniały ich tylko ozdoby i posiadana broń. Większość piratów miała miecze o zakrzywionych klingach, szersze i cięższe od tych, jakie Ross widział na wybrzeżu. Niektórzy uzbrojeni byli w topory o sierpowatym ostrzu, którego zakrzywione do tyłu końce nieomal się z sobą stykały, tworząc koło.

Na pokładzie w jednakowych odstępach, naprzeciwko czegoś, co przypominało otwory strzelnicze, stały podobne do skrzyń urządzenia. Nieco mniejsze ustawiono na nadbudówce rufowej i na dziobie; ich lufy, jeśli kwadratowe wyloty można było nazwać lufami, strzeły głowy mrugającego smoka. Czyżby swego rodzaju katapuły?

- Ross... - Jego imię wypowiedziano z sykiem, jak robił to Loketh, ale to nie syn wodza Łowców Wraków zagadnął go teraz na rufie. - Ho, ho, silna to była magia. Ta twoja umiejętność walki! - Vistur potarł pierś na wspomnienie tamtej chwili. - Posiadasz wielką magię, człowieku z morza. Ale przecież służysz Morskiej Pannie, prawda? Twój sługa powiedział nam, że nawet duże ryby rozumieją ją i są jej posłuszne.

- Niektóre ryby - sprostował Ross.

- Może takie ryby, co? - Vistur skinął głową na spieniony kilwater.

Zaskoczony Ross spojrział we wskazanym kierunku. Okręt Torgula zajmował centralne miejsce we flotyli trzech ustawionych w linii statków, pozostawiających za sobą potrójny ślad wzburzonej wody. Wśród względnie spokojnych fal między dwoma kilwaterami pomykał ciemny, podłużny obiekt. W mętym świetle Ross widział tylko, że podąża za okrętami nieznacznie zanurzony, uparcie, mimo mniejszej szybkości, usiłując dogonić statki.

- Ta ryba? - zapytał Ross.

- Patrz uważnie! - nakazał Vistur.

Hawaikańczyk musiał mieć jednak bystrzejszy wzrok od Ziemiańnika. W tle coś się chyba szybko przesunęło. A może to tylko złudzenie?

- Co tam widać? - zwrócił się do Vistura o wyjaśnienie. - Wyskakuje to raz za razem jak salkar ponad wodę. Powiadasz, Ross, że pochodzisz z głębin... pewnie masz na swoje usługi jakieś stwory niepodobne do żadnych ryb, które wyławiamy z morza?

Delfiny! A nuż Tino-rau lub Taua, albo oba naraz wytrwale podążały za okrętami? Ale co z Kararą? Przechylony nad poręczą Ross wyteżał wzrok, aż oczy zaszyły mu mgłą z wysiłku. Bardzo chciał rozszyfrować czarny cień, ale nie pozwalała mu na to odległość. Zaciśnął ręce na drewnianym relingu, walcząc ze zniecierpliwieniem. Miał wielką ochotę wtargnąć do kajuty Torgula i zażądać od kapitana, by zawrócił i nawiązał kontakt z tym, co ich ściagało, albo nawet zabrał to coś na pokład.

- To twój? - znowu zapytał Vistur. Ross panował już nad sobą.

- Nie wiem. Możliwe.

Pomyślał chytrze, że warto by umacniać Tułaczy w przekonaniu, iż stoi na czele potężnych oddziałów podmorskich mieszkańców, a nie czterech rozbitków w czasie. Wódz armii - albo floty - cieszyłby się większym prestiżem we wszystkich rozmowach niż członek zaginionej ekspedycji badawczej. Świadomość bliskości delfinów budziła w nim nadzieję i zarazem obawy: nadzieję na pomoc sprzymierzeńców, a obawy o los Karary. Czy i ona zniknęła, w ślad za Ashe'em, w czeluściach twierdzy ludu Foanna?

Nadal nie chciało się rozwidnić. Ustąpiła już co prawda gęsta, mleczna mgła, która wisiała w nocy nad wodą, ale dziwna szarość na niebie i morzu ograniczała widoczność. Niebawem Ross stracił kontakt wzrokowy z tajemniczym pływakiem... lub pławkami. Nawet Vistur przyznawał, że nic już nie widzi. Czy czarna smuga została całkowicie zdystansowana, czy nadal siedziała na ogonie Tułaczy?

Ross zjadł śniadanie z kapitanem Torgulem: twardą jak skóra kromkę o słonawym, mięsny smaku i gęstą papkę, prawdopodobnie z miejscowych owoców. Raz już skosztował pokarmu obcych, kiedy w podróży znalezionym wrakiem statku miał wybór pomiędzy jedzeniem a głódówką. Dzisiaj znalazł się w podobnych okolicznościach, bo zapasowe racje żywnościowe zostały w sieci. Chociaż czekał z niepokojem na objawy chorobowe, żadne nie wystąpiły. Torgulowi, wcześniej nieskoremu do rozmów, teraz rozwiązał się nieco język - powiadomił Rossa, że wkrótce wpłyną do portu, do stancy w Kyn Add.

Ziemiańnik nie miał pojęcia, jak daleko wolno mu się posunąć w wypytywaniu kapitana, ale był żądny nowych informacji. Zauważył, że Torgul skłonny, jest uwierzyć jego oświadczeniu, iż pochodzi z odległej części morza, gdzie miejscowe zwyczaje znacznie różnią się od tutejszych.

Żyjąc na morzu i z morza. Tułacze mieli bystre umysły i zdolność łatwego przyswajania nowinek. Tworzyli organizację luźno powiązanych ze sobą wspólnot. Każdy klan sprawował kontrolę nad określoną liczbą wysp, nazywanych "stanicami", czyli portami, gdzie zawijano w celu dokonania remontu przed kolejną wyprawą. Zwykle porastały je rzadkie lasy, dostarczające budulca do naprawy statków. Klany nie wyruszały w morze na smukłych, chryżych korwetach jak ta, którą właśnie płynął Ross, lecz na większych, pojemniejszych jednostkach z kajutami dla pasażerów i warsztatami na pokładzie. Tułacze żyli z handlu i łupiestwa, spędzając tylko niewielką część roku na lądzie, w stanicach, by hodować szybko rosnące rośliny i wytwarzać pewne artykuły, jakich mieszkańcy większych i gęściej zaludnionych wysp nie umieli skopiować.

Ich handel opierał się jednak w głównej mierze na zamieszkujących w morzu

stworzeniach, których dobrze wygarbowana, giętka skóra znajdowała mnóstwo zastosowań, między innymi przy wykonywaniu zbroi. Polować na nie mogli wyłącznie ludzie zaprawieni w swoim rzemiośle i na tyle odważni, by stawić czoło niebezpieczeństwu, o jakim Torgul nie chciał się rozwodzić.

Klany toczyły między sobą wojny. Wspólnoty usiłowały przejąć łowiska sąsiadów i bez przerwy najeżdżały ich stanice. Jak się Ross zorientował, do niedawna dochodziło przeważnie do bezkrwawych zatargów, polegano bowiem na sprycie i mądrej strategii, tak by przeciwnik, zepchnięty do niekorzystnej pozycji, musiał pogodzić się z przegraną, jeśli nie chciał ponieść sromotnej klęski w bezlitosnej bitwie.

Panujących w strefach przybrzeżnych Łowców Wraków piraci zawsze uważali za zwierzynę łowną i polowali na nich bez skrępowań. Ataki przeprowadzano z chłodnym wyrachowaniem, zadając bolesne ciosy zajadłym wrogom. Jednak w ciągu ostatniego roku kilkakrotnie napadnięto na stanice, które podzieliły tragiczny los złupionych portów Łowców Wraków. Wszystkie klany wyparły się tych niespodziewanych, morderczych, niszczycielskich napaści, które zmiatały z powierzchni ziemi przystanie Tułaczy. Opinie na ten temat podzieliły morski lud: jedni twierdzili, że te krwawe wypadki były dziełem Łowców Wraków, którzy zerwali nagle z dawną tradycją prowadzenia walki, a drudzy - że sprawką nieznanej floty Tułaczy, pragnących wygubić pobratymców z niewiadomych na razie przyczyn.

- A co ty o tym myślisz? - zapytał Ross, kiedy Torgul zakończył wywód na temat nowych zagrożeń, z jakimi musieli się teraz borykać jego ludzie.

Zanim padła odpowiedź, kapitan potarł podbródek chudymi palcami długiej dłoni.

- Komuś, kto tak długo walczył z tymi nadbrzeżnymi szczurami, trudno uwierzyć, że nagle zaczęli odważnie zapuszczać się w morze, by straszyć nas swoimi mieczami. Nikt przecież nie nurkuje na dno, żeby kopnąć w zadek salkara; nikt, kto ma równo pod warkoczem. A jeśli chodzi o bandyckie floty... Co mogłoby do tego stopnia podjudzić brata na brata, by w rezultacie ginęły dzieci i kobiety? Porwanie żony, owszem, to się często zdarza wśród naszej młodzieży. W takich wypadkach czasem leje się krew. Ale nigdy krew kobiety, nigdy krew dzieci! Jesteśmy narodem, w którym jest mniej kobiet niż mężczyzn, którzy chcieliby je mieć w kajucie rodzinnego okrętu. Żaden klan nie ma tylu dzieci, ile by chciał otrzymać od Mrocznych.

- A więc kto?

Torgul zwlekał z odpowiedzią. Ross zerknął uważniej na kapitana i zdawało mu się, że dostrzegł w jego oczach błysk groźby.

- Myślisz, że ja... że my... - zdołał wykrztusić.

- Sam powiedziałaś, że pochodzisz z morza, nieznajomy. Dysponujesz magią, która nie pochodzi od nas. Powiedz mi jedną rzecz, tylko nie kłam: czy nie mogłeś z łatwością zabić Vistura tymi dwoma uderzeniami, gdybyś tylko zechciał?

Ross obrał trudniejszy kurs.

- Tak, ale tego nie zrobiłem. Mój lud nie znajduje przyjemności w zabijaniu, podobnie jak twój.

- Znam swoich ludzi, znam szczury lądowe i znam też lud Foanna, tak samo jak wszyscy znają ich ścieżki i zwyczaje. Ciebie jednak nie znam, przybyszu z morza. Powtarzam ci więc, co już wcześniej mówiłem: nie pozwól mi żałować, że wyraziłem zgodę na próbę walki, bo szybko naprawię swój błąd!

- Kapitanie!

Okrzyk ten doleciał zza drzwi kajuty. Torgul zerwał się momentalnie z krzesła, jak przystało na człowieka, który w przeszłości niejednokrotnie musiał reagować na

nieoczekiwane wypadki.

Ziemianin deptał kapitanowi po piętach, gdy wybiegali na główny pokład. Przy lewej burcie, obok wąskiego dziobu, zebrała się garstka marynarzy. Osobliwa szara mgiełka okrywała tego dnia fale nieprzeniknioną zasłoną, ale ludzie wskazywali na obiekt kołyszący się blisko statku na powierzchni wody. Z tej odległości nawet Ross potrafił dostrzec łódkę podobną do tej, w której on, Karara i Loketh odważyli się podejść do morskich wrót Foanna.

Torgul ujął wielką, krętą muszlę, zawieszoną na rzemieniu przy głównym maszcie. Przytknął usta do węższego końca i zadał. Dziwny, buczący dźwięk poniósł się nad falami niczym ryk morskiego potwora. Z łodzi jednak nie nadeszła żadna odpowiedź; nic nie wskazywało, by wiozła jakichkolwiek pasażerów.

Sygnal Torgula powtórzyli dowódcy dwóch pozostałych korwet.

- Zatrzymać okręt! - zarządził kapitan. - Wakti, Zimmon, Yoana... za burtę i ściągnąć mi to tutaj!

Trzej członkowie załogi przyskoczyli do relingu, zamarli na moment w bezruchu, po czym jednocześnie dali nura do wody. Rzucono im koniec liny, którą j eden z nich zaraz złapał. Potężnymi wymachami ramion pływacy zaczęli się zbliżać do dryfującej łodzi. Kiedy przymocowali do niej linę, czółno przyciągnięto do okrętu Torgula. Jednocześnie z nim przyплыnęli wyznaczeni przez kapitana ratownicy. Rossa zżerała ciekawość, bo widział skupiony wyraz oczekiwania na otaczających go twarzach. Nie ulegało wątpliwości, że łódka ma dla nich jakieś złowróżbne znaczenie.

Ross dojrzał w czółnie skuloną postać ludzką. Pod dowództwem Torgula zrzuciono linę z pętlą, a potem wciągnięto pasażera łódki. Ziemianina odepchnięto od poręczy, kiedy bezwładne ciało niesiono w pośpiechu do kajuty kapitana. Kilku żeglarzy ześliznęło się po linie, by zbadać łódź.

Podniosły się głowy. Spojrzenia biegły wzdłuż poręczy, aż napotkały wzrok Rossa. Z oczu marynarzy wyciekała wrogość, która Ziemianin z wysiłkiem odpierał.

Cichy stuk z tyłu kazał Rossowi uskoczyć gwałtownie w bok w poszukiwaniu jakiegoś solidnego oparcia dla pleców. Nadchodził Loketh. Aby nie wzbudzać śmiechu swoim kuśtykaniem, wspierał się o poręcz. W drugiej ręce trzymał zakrzywiony miecz, nagi i gotowy.

- Brać morderców! - warknął ktoś z tylnego szeregu gęstniejącej ciżby.

Ross wyciągnął nóż. Zbity z tropu raptowną zmianą nastawienia załogi szykował się do obrony. Loketh stanął przy nim i pokazał na morze.

- Lepiej wyskoczyć za burtę, zanim nas spróbują wypatroszyć! - krzyknął.

- Zabić ich! - Ochrypli okrzyk jednego Tułacza przerodził się w ryk wściekłości całej załogi. Piraci ruszyli na Rossa i Loketha. Nagle jeden wyskoczył do przodu i stanął naprzeciwko swoich kamratów.

- Z drogi! - Inny wybiegł z tłumu, usiłując zepchnąć go na bok. Vistur, bo to on sprzeciwił się tłumowi, natarł na niego barkiem, aż pirat zatoczył się jak pijany. Runął na deski pokładu, gdy dwóch następnych wpadło na niego z impetem. Vistur przydeptał wyciągniętą rękę i kopniakiem wytrącił z niej miecz.

- Co tu się dzieje?! - Głośne pytanie Torgula wywołało konsternację. Część załogi zamarła w oczekiwaniu, dwaj padli na ziemię, zdzieleni pięścią przez kapitana. Kiedy Torgul stanął twarzą w twarz z Rossem, chłód w jego oczach wyrażał tę samą groźbę, której okrzykami dawali wcześniej wyraz żeglarze.

- Ostrzegłem cię, przybyszu z morza, że jeśli okażesz się zagrożeniem dla mnie lub tego co moje, Phutka wymierzy ci sprawiedliwość!

- Owszem - odparł Ross. - A w czym ci teraz zagrażam, kapitanie?

- Kyn Add została zajęta, ale nie przez Łowców Wraków ani Tułaczy, nie przez tych, co służą ludowi Foanna, tylko przez... obcych z morza!

Ross wytrzeszczył oczy, zmieszany. Nagle zdał sobie sprawę z niebezpieczeństwa, w jakim się znalazł. Nie miał pojęcia, kim są ci przybysze z morza, ale nie mógł zaprzeczyć, że sam się tak przedstawił. Rozgorączkowany piraci nie zamierzali wysłuchiwać jego argumentów. Ich pomruki przypominały warczenie wygłodniałego zwierzęcia. Ross przyznawał Lokethowi rację. Większe szansę miał wśród morskich fal niż w starciu z tłuszczą na pokładzie.

Jednak chwila, kiedy mógł jeszcze wybierać, minęła. Spadła na niego nie wiadomo skąd koronkowa, szarobiała sieć, cisnęła nim o pobliską grodz i przylepiła ramiona do ciała. Gdy Ross, próbując wyszarpnąć się z lepkich opłotów, odwrócił głowę, zobaczył, że Loketh wdrapuje się na reling i odwraca, jakby chciał się rzucić na piratów atakujących bezbronno Ziemianina. Niestety, chroma noga Loketha odmówiła mu posłuszeństwa i Hawaikańczyk wypadł za burłę.

- Stójcie! - Wrzask Torgula jeszcze raz powstrzymał załogę. - Gdy odejdzie na spotkanie z Cieniem, zabierze ze sobą Czarną Kłątwę. A tylko jedna osoba ma moc jej wypowiedania. Dawajcie go tutaj!

Bezradnego Rossa, bezceremonialnie zaciągnięto do kajuty kapitana, gdzie stanął oko w oko z siedzącą na krześle Torgula kobietą, otuloną poduszkami i kocami.

Miała twarz kościotrupa, ze skórą opinającą ciasno czaszkę. Tylko wewnętrzny ogień pozwolił jej przemóc ból poranionego ciała i spojrzeć na Ziemianina spod przymrużonych powiek. Tuliła do boku zabandażowaną rękę, a wargi jej drżały, jakby nie potrafiła opanować cierpienia.

- Do ciebie należy rzucenie klątwy, lady Jazia. Niech ciąży mu jak bolesne wspomnienia, którymi obarczył nas wszystkich jego lud.

Kobieta uniosła do ust zdrową rękę i przetarła wargi wierzchem dłoni, jakby chciała opanować ich drżenie. Ani na moment nie spuściła wzroku z Rossa.

- Po co przyprowadziłeś mi tego człowieka? - zapytała zmęczonym, cichym głosem. - On nie jest z tych, co sprowadzili Cię na Kyn Add.

- Co...? - ryknął Torgul, ale szybko się opanował i zniżył głos. - Czy tamci nie pochodzili z morza? - zapytał spokojnie. - Czy nie wyszli z morza i nie posługiwali się bronią, przed którą nie mamy obrony?

Skinęła głową.

- Owszem, dołożyli wszelkich starań, żeby nikt nie został przy życiu. Ja jednak przebywałam właśnie w świątyni Phutki, bo na ten dzień przypadała moja służba. Potęga Phutki okryła mnie mgłą. Dzięki temu nie zginęłam, ale mogłam patrzeć... O tak, wszystko widziałam!

- Czy przypominali mi wyglądem? - Ross odważył się zapytać ją bezpośrednio.

- Nie, wyglądali inaczej. Było ich kilku... O, tyłu.. - - Rozłożyła pięć palców. - Tak byli do siebie podobni, jakby razem przyszli na świat. Na głowach nie mieli włosów, a ich skóra była tego koloru... - Pociągnęła za rąbek jednego z koców, jakimi ją opatulono; miał błękitny odcień lawendy.

Ross gwałtownie wciągnął powietrze. Torgul natychmiast zauważył wyraz zrozumienia na twarzy Ziemianina.

- Nie należeli do twojego ludu... ale ty ich znasz!



- Znam ich - przyznał Ross. - To nasi najwięksi wrogowie! Łysawcy ze starożytnych statków kosmicznych, obca rasa, z którą kiedyś toczył rozpaczliwą walkę na skraju bezimiennego morza w zamierzczłej przeszłości jego własnej planety. A więc galaktyczni podróżnicy przybyli tutaj, żeby wywołać zbrojny, tajemniczy konflikt z tubylcami!

## 11 BROŃ Z GŁĘBIN

Jazia opowiedziała całą historię ze szczegółami, porządkując w czasie wszystkie wydarzenia, czym zasłużyła na uznanie Rossa i wzbudziła jego podziw dla swojej rasy. Była świadkiem śmierci i zniszczenia wszystkiego, co do tej pory stanowiło jej świat, a jednak zachowała tyle zimnej krwi, by zapisywać w pamięci na przyszły użytek jak najwięcej informacji o najeźdźcach.

Nadeszli skoro świt od strony morza, pewni siebie i nieustraszeni. Nie odpowiadali na zawołania wartowników, więc rzucono w nich toporami, które ich nawet nie drasnęły; cięższe pociski odskakiwały w bok. Cała broń, jaką dysponowali Tułacze, okazała się bezużyteczna w bitwie z przybyszami. Śmiałkowie, którzy z mieczem lub toporem przypuszczali na wrogów samobójcze ataki, by walczyć z nimi wręcz, padali trupem, zanim zdążyli zadać pierwszy cios; obcy mieli tuby, które bluzgały językami ognia.

Tułacze nie byli strachliwi, nie wpadali łatwo w panikę, lecz w końcu pierzchli przed pięcioma najeźdźcami. Kryli się w chatach albo spieszyli do przystani, gdzie cumowały statki. I ci, którzy się chowali, i ci, którzy uciekali - wszyscy ginęli. Mordowano ich bez miłosierdzia, do ostatniego, jedna Jazia przeżyła w świątyni na wzgórzu. Do zapadnięcia zmroku nie opuszczała kryjówek. Widziała przez ten czas śmierć kilku ocalałych dotąd ludzi. Dopiero po zmierzchu pobiegła chyłkiem na brzeg i zepchnęła na wodę jedną z łodzi w zatoczce znacznie oddalonej od głównego portu stancy. Wypłynęła na morze w nadziei ostrzeżenia powracających z wyprawy korwet.

- Tamci zostali na wyspie? - zapytał Ross. Zdziwiło go to. Jeżeli celem morderczej napaści kosmitów było tylko wywołanie zatargów między Tułaczami na Hawaice, na przykład poszczucie na siebie dwóch klanów, na co wskazywała relacja Torgula z podobnych wydarzeń, w takim razie powinni wycofać się zaraz po szczęśliwym zakończeniu misji i pozostawić trupy, aby ich widok budził chęć zemsty i kierował nienawiść w niewłaściwą stronę. Dlaczego mieliby ryzykować ujawnienie swojej prawdziwej tożsamości?

- Gdy moja łódź odplynęła od brzegu, widziałam światła płonące w strażnicy, a nie były to przecież nasze światła, nie zapalili ich zmarli - powiedziała wolno kobieta. - Czego oni mogą się obawiać? Są przecież niewyciężeni!

- Skoro nie odplynęli, możemy to jeszcze udowodnić! - zauważył Torgul pośpiesznie. Zawtórował mu zgodny pomruk zdeterminowanych oficerów.

- I stracić wszystkich, którzy wam zostali? - wtrącił Ross cierpko. - Już ich kiedyś spotkałem. Mogą sprawić, że człowiek będzie posłuszny ich woli. Proszę, obejrzyjcie to sobie... - Położył dłoń płasko na stole. Na ogorzałej skórze widniały blizny po oparzeniu. Nie wiedział, jak inaczej uświadomić im ogrom niebezpieczeństwa związanego z walką z kosmitami. Musiał to zobrazować zrozumiałym przykładem. - Trzymałem rękę w ogniu, żeby ból zagłuszył ich wolę, bo kazali mi się poddać i pójść niczym jagnię na rzeź.

Jazia pogłaskała delikatnie jego stare blizny, wciąż patrząc mu w oczy.

- To może być prawda - powiedziała powoli - bo tylko ból ciała uchronił mnie przed ich ostatnimi siłami. Stali blisko strażnicy, a ja patrzyłam, jak Prahad, Okun i Mosaji wychodzą na dwór, żeby dać się zabić, zupełnie jakby wpadli w sieć, którą wyciągnięto z wody. Ja też doznałam wewnętrznego nakazu wyjścia ze świątyni, chociaż prosiłam o pomoc Phutkę. W zastosowaniu się do obcej woli przeszkodził mi jednak dziwny przypadek: wychodząc ze świątyni, przewróciłam się i skaleczyłam rękę o kamień. Ból był ostry niczym nóż.

Poczołgałam się między drzewa, a wezwanie już nie powróciło...

- Jeśli tyle o nich wiesz, powiedz nam, jakiej broni mamy użyć, żeby ich pokonać! - zażądał Vistur.

Ross potrząsnął głową.

- Nie wiem.

- Ale przecież - rozmyślała głośno Jazia - wszystko, co żyje, prędzej czy później musi umrzeć. Jestem przekonana, że i oni czują trwogę przed jakimś losem. Musimy się o tym czegoś więcej dowiedzieć i znaleźć radę!

- A więc przyplłynęli morzem? Statkiem? - spytał Ross. Pokiwała przecząco głową.

- Nie, nie widziałam okrętu. Wyszli ze wzburzonych fal, jakby przemierzali ukrytą podmorską drogę.

- Batyskaf!

- Co to takiego? - zdziwił się Torgul.

- Rodzaj stateczku pływającego pod powierzchnią morza. Wewnątrz kadłuba jest powietrze, którym oddycha załoga.

Torgul zmrużył oczy. Kapitan jednego z dwóch towarzyszących im okrętów prychnął z niedowierzaniem.

- Nie ma takich statków... - zaczął, ale uciszył go gest Torgula.

- Nie znamy takich statków - wytłumaczył - ale nie znamy też przyrządów, których działanie obserwowała Jazia. Jak się zwalczą te podwodne okręty, Ross?

Ziemianin się zawahał. Opisywanie ludziom nie obeznanym z zastosowaniem materiałów wybuchowych walki z łodziami podwodnymi za pomocą bomb głębinowych było niemal niemożliwe. Jednak zrobił, co mógł.

- Mój lud umie uwięzić wielką siłę w pojemniku, który opuszcza się blisko łodzi i...

- A jakim niby cudem - wtrącił sceptyczny kapitan - wiecie, gdzie płynie podwodny okręt? Czy widać go nad powierzchnią?

- Może nie widać, ale w pewien sposób... słychać. Jest takie urządzenie, które sporządza kapitanowi nadwodnego statku obraz mchu łodzi, aby mógł on ją śledzić. Kiedy podpłyne blisko, upuszcza pojemnik, a siła wydostaje się na wolność i przy okazji niszczy łódź.

- Sporządzenie takich pojemników i uwięzienie w nich siły - rzekł Torgul - to rezultat nieosiągalnej dla nas wiedzy, jaką tylko lud Foanna mógłby posiadać. Ty jej nie masz? - Swoje przypuszczenie wygłosił na w pół pytającym, na w pół twierdzącym tonem.

- Nie, nie mam. Aby zbudować takie pojemniki i narzędzia do słuchania, potrzeba było długich lat i połączonej wiedzy wielu ludzi. Ja jej nie mam.

- Dlaczego więc myślimy o czymś, czego nie mamy? - zdenerwował się Torgul. - Powiedz lepiej, co mamy!

Ross uniósł głowę. Nasłuchiwał, ale nie odgłosów dobiegających z tej kajuty, tylko dźwięków napływających przez otwarty bulaj. Dźwięk się powtórzył. Ross zerwał się na nogi.

- Co?... - Dłoń Vistura dotykała zatkniętego za pas topora. Ross widział, jak wszystkie spojrzenia kierują się w jego stronę.

- Możemy liczyć na pomoc! - Ziemianin wybiegał już na pokład.

Doskoczył do relingu i zagwizdał. Ten przenikliwy, piskliwy zew ćwiczył wiele tygodni, zanim rozpoczął tę niesamowitą przygodę.

Lśniaca ciemna sylwetka przebiła fale i oto Tino-rau wyszczerzył się w delfinim "uśmiechu" w odpowiedzi na zawołanie. Chociaż zdolności Rossa w komunikowaniu się z dwoma delfinami znacznie odbiegały od umiejętności Karary, zrozumiał część wiadomości i

odwrócił się ku otaczającym go tłumnie Tułaczom.

- Wreszcie mamy sposób, by dowiedzieć się czegoś więcej o waszych wrogach.

- Patrzcie, łódka! - wskazał jeden z żeglarzy. - Porusza się bez żagli i wiosła!

Ross pomachał energicznie ręką, ale nikt mu nie odpowiedział z pokładu łodzi. Łódka płynęła prosto na nich.

- Karara! - zawołał Ross.

Nagle obok Tino-rau wynurzyły się dwie głowy pływaków w maskach na twarzy: Karara i Loketh.

- Rzućcie liny! - Ross wydał rozkaz, jakby to on, a nie Torgul dowodził tym statkiem. W dodatku kapitan dołączył do tych, co pospieszyli wykonać polecenie.

Loketh jako pierwszy wyskoczył na pokład. Przełazi niezdarnie przez poręcz z mieczem w ręku i przeniósł spojrzenie z Torgula na Rossa. Ziemiańcin uniósł z uśmiechem puste dłonie.

- Już po kłopotcie. Loketh odpiął maskę.

- Morska Panna przekazała mi raport pletwiastych sług. Ale przedtem Tułacze marzyli, żeby utoczyć ci krwi. Jakiej magii użyłeś?

- Żadnej. Po prostu prawda wyszła na jaw. - Ross wyciągnął rękę do Karary, która wspinała się zręcznie po linie, i przeniósł ją nad relingiem. Stała na pokładzie bez maski, odrzuciła do tyłu włosy i rozejrzała się wokoło z żywym zainteresowaniem.

- Karara, to jest kapitan Torgul - przedstawił jej Ross dowódcę Tułaczy, który wytrzeszczał oczy na dziewczynę. - Karara pływa z pletwiastymi sługami, a one są jej posłuszne. - Ross wskazał na Tino-rau. - Taa ciagnie łódkę? - zapytał Polinezyjkę. Skinęła głową twierdząco.

- Śledziliśmy was od samych wrót. Potem przyplłynął Loketh i powiedział, że... że... - Po chwili wahania dodała: - Ale nic ci chyba nie grozi? Co tu się stało?

- Wiele. Posłuchaj, bo to ważne: na wyspie, do której płynęliśmy, doszło do strasznych rzeczy. Byli tam Łysawcy. Zabili wszystkich krewnych tych ludzi. Przypuszczalnie dopłynęli tam batyskafem. Poślij jednego z delfinów, by sprawdził, co tam słychać i czy kosmici już odplłynęli.

Karara nie zadawała zbędnych pytań, tylko gwizdnęła na delfina. Tino-rau machnął ogonem i odplłynął.

Nie mogli na razie obmyślić żadnego planu, więc postanowili poczekać na powrót Tino-rau, a do tego czasu trzymać się z dala od stolicy.

- Z tej ich wiary w magię wynika jedna korzyść - zwierzył się Ross Kararze. - Tubylcy uwierzą bez zastrzeżeń, że delfiny są naszymi wywiadowcami.

- Żyją przecież na morzu, które czczą i którego się obawiają. Może wiedzą, jak wiedział mój naród, że ocean kryje w sobie wiele tajemnic, a niektóre z nich mogą poznać wyłącznie te stworzenia, które w nim mieszkają. No dobrze... ale nawet jeśli odkryjesz batyskaf Łysawców, co będą z tego mieli Tułacze?

- Trudno powiedzieć. - Ross sam nie wiedział, dlaczego wciąż ludzi się nadzieją, że będą w stanie wyrzucić zemstę na przedstawicielach bardziej zaawansowanej rasy. Miał jednak przecucie, że zdołają tego jakoś dokonać.

- A co z Ashe'em? No tak, Ashe...

- Nie mam pojęcia - wyznał Ross z bólem. - Co się w ogóle stało przy wrotach? - zapytał. - Oba delfiny jednocześnie zwariowały.

- Rzeczywiście. Trwało to kilka chwil. Ty nic nie czułeś?

- Nie.

- A ja miałam wrażenie, jakby ogień przeszył mi głowę. Zapewne jedno z zabezpieczeń Foanna.

Mentalna zaporą, na którą był niewrażliwy. A to oznaczało, że mógłby ją przezwyciężyć, chociaż nikt inny tego nie potrafił. Musiałby jednak podjąć się tego w pierwszej kolejności. Gdyby nawet kapitan Tułaczy dał się przekonać o daremności ataków na spustoszoną stanicę Kyn Add, czy zechce zawieźć ich do twierdzy ludu Foanna? A jeżeli nie, to czy z pomocą delfinów i łódki Ross mógłby powrócić sam i zaryzykować?

Wątpił jednak, czy w pojedynkę jest w stanie wiele zdziałać. Podniecenie i siła woli pozwoliły mu przetrwać trudy dnia i nocy na Hawaice, ale wreszcie, mimo zahartowania i środków pobudzających zawartych w ziemskich racjach żywnościowych, ogarnęło go nieodparte zmęczenie. Podczas szkoleń ostrzegano go przed taką reakcją organizmu, ale razem z wieloma innymi sprawami wyrzucił to ze swojego przeciążonego umysłu. Ostatnią rzeczą, jaką zapamiętał, była przestłonięta bladym obłokiem sylwetka Karary.

Gdzieś za nim spierały się ze sobą czyjeś głosy, a gwałtowność tego odbierał raczej w tonie niż w zrozumiałych słowach. Wyrwany powoli z głębokiego snu bez marzeń uniósł ciężkie powieki i znowu zobaczył Kararę. Coś szczypało go w ramię, a może była to jeszcze część nierzeczywistego świata snu?

- .. cztery, pięć, sześć... - liczyła Karara. Ross dołączył:

- ...siedem, osiem, dziewięć, dziesięć!

Zanim doliczył do dziesięciu, rozbudził się całkowicie. Zorientował się, że zastosowała obowiązującą w nagłych wypadkach procedurę, z którą zapoznano ich na szkoleniach: dała mu zastrzyk sterydów. Kiedy uniósł się na łokciach i usiadł na wąskim łóżku, w kajucie płonęło światło, a za bulajem panował mrok. Dostrzegł Torgula, Vistura, kapitanów pozostałych dwóch korwet, wszystkich... Była nawet Jazia.

Opuścił stopy na podłogę. Zaczął odczuwać spowodowany zastrzykiem ból głowy, który miał jednak szybko minąć. W kajucie zalegało pełne napięcia milczenie. Zastanowił się, co zmusiło Kararę do wstrzyknięcia mu sterydów.

- O co chodzi?

Karara schowała apteczkę do szczelnej podręcznej walizeczki.

- Wrócił Tino-rau. W zatoce czeka batyskaf. Wysyła fale energii strumieniem skierowanym w stronę brzegu.

- A więc ciągle tam są. - Ross nie podawał w wątpliwość raportu delfina. Żaden z ich wywiadowców nie mylił się w podobnych sprawach. Czyżby energia dostarczana na wyspę zasilala jakieś wykorzystywane przez Łysawców urządzenie? Załóżmy, że Tułaczom udałoby się odciąć źródło zasilania...

- Morska Panna powiedziała nam, że ten statek siedzi na dnie portu. Gdybyśmy weszli na pokład... - zaczął Torgul.

- Jasne! - Vistur grzmotnął pięścią w brzeg koi, na której wciąż siedział Ziemiańin, potęgując tępy ból w głowie Rossa. - Zajmiemy łódź, a potem wykorzystamy ją przeciwko jej własnej załodze!

Na twarzach Tułaczy pojawiło się ożywienie. Tę grę hawaikańscy korsarze świetnie rozumieli: zdobyć okręt wroga i skierować jego uzbrojenie na pozostałe statki floty. Plan ten jednak nie mógł się powieść. Ross doceniał techniczną wiedzę galaktycznych najeźdźców. Oczywiście on, Karara, a nawet Loketh mogliby dotrzeć do batyskafu. Ale czy dostaliby się na jego pokład, to już zupełnie inna sprawa.

Dziewczyna z Polinezji potrząsnęła głową.

- Tino-rau ocenia, że łódź emituje śmiertelne promieniowanie. W zatoce pływają śnięte ryby. Delfin został ostrzeżony u wejścia do rafy. Bez tarczy osłonowej nie ma co myśleć o dostaniu się do środka.

- Równie dobrze moglibyśmy sobie pomarzyć o bombie głębinowej... - zaczął Ross, ale zaraz umilkł.

- Masz jakiś pomysł?

- Bez tarczy osłonowej... - Ross powtórzył słowa Karary. Przyszła mu do głowy szalona myśl, prawdopodobnie bez szans na realizację. Miał pewną wiedzę o środkach, jakimi dysponowali kosmici. Czy można zniwelować promieniowanie, które chroniło łódź i przypuszczalnie uaktywniało broń używaną przez obcych? Na przykład murem z ryb, stłaczając morskie stworzenia na kształt wielkiej tarczy? To szaleństwo, owszem, ale tak oczywiście... że mogło okazać się skuteczne. Ross zwierzył się ze swoich pomysłów, mówiąc raczej do Karary niż do Tułaczy.

- Sama nie wiem - rzekła z powątpiewaniem. - Trzeba by mnóstwa ryb, zbyt wielu, byśmy je potrafili skupić w jednym miejscu.

- Daj spokój rydom - wtrącił Torgul - Lepiej weźcie salkary.

- Salkary?

- Widziałaś przecież rzeźbę na dziobie tego statku. To właśnie salkar. Jeden taki jest większy od setki ryb! Przygnane salkary... mogłyby nawet roztrzaskać ten batyskaf samą wagą ciała.

- Potraficie wytropić je gdzieś w pobliżu? - Rossa ogarniał coraz większy zapał. Smok, który kiedyś na niego polował, był większy niż wszyscy inni mieszkańcy podwodnego świata. A o jego dzikiej naturze Ross mógł wiele powiedzieć.

- Na rafach, gdzie się lęgną. O tej porze, kiedy dobierają się w pary, zwykle nie polujemy. Teraz rzeczywiście łatwo je rozzłościć, mogłyby nawet zaatakować korwetę. Ich skóry są na razie marnej jakości, więc wstrzymujemy się z zabijaniem. Ale gdyby je podrażnić, będą gotowe do walki.

- Tylko jak je przywabić z raf łęgowych do Kyn Add?

- To nie jest aż takie trudne. Ta rafa leży tutaj. - Czubkiem miecza Torgul naszkicował mapkę na blacie stołu. - Tutaj zaś mamy Kyn Add. O tej porze roku salkary czują wielki głód. Popłyną za każdą, zwłaszcza pływającą przynętą.

Plan nie był doskonały i mógł się łatwo zakończyć fiaskiem, ale Tułacze przyjęli go z entuzjazmem, wobec czego postanowiono, że zostanie wprowadzony w życie.

Po mniej więcej dwóch godzinach Ross płynął w stronę lądu, gdzie zbudowano stację. Na brzegu, daleko po lewej dostrzegał przebłęski światełek. Określały zapewne położenie osady Tułaczy. Ziemianina nadal zastanawiała powody przedłużonego pobytu obcych. A może wiedzieli o trzech powracających z wyprawy korwetach i planowali gruntowną czystkę?

Na prawo od siebie widział Kararę. Pomiędzy nimi śmigła Taua - wyczulone zmysły delfina prowadziły ich bezbłędnie do celu i wypatrywały niebezpieczeństwa. Najszybsza z korwet zabrała na pokład Loketha, którego zadaniem było utrzymywanie łączności z Tinorau. Ponieważ męski przedstawiciel rodu delfinów najlepiej nadawał się do roli lisa uciekającego przed sforą salkarów, wybrano go na przynętę w tej przedziwnej wyprawie łowieckiej.

- Dalej nie płyniemy! - Ross poczuł mrowienie komunikatora. Nagle tak nim wstrząsnęło, że cofnął się czym prędzej od wejścia do zatoki.

- Na rafę. - Wstukany przez Kararę kod sugerował nowy kurs. W chwilę potem oboje

wyszli z wody. Fale omywały im nogi powyżej płetw. Przycupnęli w skalnej, prymitywnej kryjówce; brzeg wyglądał stąd jak ciemna, rozmyta smuga. Znajdowali się jednak dość daleko od wyrwy w rafie, przez którą, gdyby ich plan zakończył się sukcesem, powinny przybyć salkary.

- Jedna szansa na milion! - oświadczył Ross, przypinając maskę do pasa.

- A czy cały projekt agentów czasu nie opierał się na takim samym prawdopodobieństwie? - Karara miała rację. Ross przywykł do podejmowania ryzyka. Owszem, agenci umieli wykorzystać nawet jedną szansę na milion. Nie mieli przecież specjalnej nadziei na sukces, kiedy po raz pierwszy wybierali się sięgającymi w przeszłość ścieżkami czasu na poszukiwanie rozbitych statków kosmicznych.

A gdyby tak uczynić z tego próbę generalną przed następnym atakiem? Jeśli salkary zdołają przełamać zapory Łysawców, to potrafiłby się chyba wdrzeć przez bramę Foanna. Kto wie? Na razie należało myśleć o tym, co się dzieje teraz.

- Już płyną! - Silne palce Karary ścisnęły ramię Rossa. On sam nic nie widział, nic nie słyszał. To Karara odebrała ostrzeżenie delfinów. Na razie wszystko przebiegało planowo: nadciągały potwory z hawaikańskich mórz.

## 12. ŁYSAWCY

Karara przywarła do Rossa i jęknęła. Ze strachu z trudem łapała powietrze. Nawet nie podejrzewali, co przyniesie ich plan. Nie przewidzieli chaosu, który zapanował w lagunie. Promieniowanie z batyskafu doprowadziło i tak już rozjuszone salkary do stanu wścieklej furii. Osrebrzona księżycem woda burzyła się i pieniała od ruchów szarżujących na siebie potworów. Ziemianie nigdy dotąd nie widzieli równie zażartej walki.

Na wyspie błyskały światła kosmitów zwabionych na brzeg zgiełkiem walczących morskich gadów. Gdzieś wśród pagórków rozciągniętych wzdłuż plaży dobrany oddział Tułaczy nadciągał już zapewne z surowym rozkazem, by rozpocząć atak dopiero na dany sygnał. Nikt jednak nie wiedział, czy nieposkromieni morscy wojownicy zastosują się do tego polecenia. Dręczyło to Rossa.

Tino-rau i Taua czekały w wodach otwartego morza, a para Ziemian siedziała na skałach bariery. Między nimi a brzegiem rozszalałe salkary toczyły z sobą zawzięty bój. Ross zdrzął. Sonarowe ostrzeżenie, którego miarowe tętno czuł do tej pory na skórze, nagle zanikło. Łódź przestała emitować promieniowanie. Nadeszła pora działania, ale żaden pływak nie przetrwałby teraz w lagunie.

- Płynmy wzdłuż rafy - zaproponowała Karara. Ross wiedział, ile drogi będą musieli nadłożyć, lecz nie mieli wyboru. Uważnie śledził światła na brzegu. Poruszały się tam dwie lub trzy postacie. Wyglądało na to, że skoncentrowały uwagę na zaciętej bitwie w zatoce.

- Nie ruszaj się stąd! - przykazał Ross dziewczynie. Dopasował maskę, wszedł do wody, oddalił się nieco od rafy i zaczął płynąć równolegle do skał. Dołączył do niego Tinorau, wskazując drogę do drugiej wyrwy w barierze i do plaży położonej w pewnym oddaleniu od miejsca, gdzie zmagania salkarów wypełniały noc ogłuszającą wrzawą.

Ziemianin brnął teraz przez mielizny z maską dyndającą mu na piersi. Przypiął do pasa zdjęte z nóg płetwy. Skręcił w stronę plaży zajętej przez kosmitów. Tym razem był lepiej uzbrojony niż wtedy, gdy ze zwykłym nożem stawiał czoło Tułaczom. Z ekwipunku agentów zabrał broń ręczną, którą dawno temu znalazł w zbrojowni porzuconego gwiazdolotu. Należało jej używać oszczędnie, bo nikt nie wiedział, jak ją ponownie załadować, a ziemscy uczeni i nadal nie umieli rozwikłać tajemnicy wiązki energii.

Ross zakradł się między zarośla, skąd miał doskonały widok na plażę i kosmitów. Naliczył trzech. Typowi Łysawcy, wyżsi i szczuplejsi od ludzi z jego gatunku. Kopuły szarobiałych czaszek rzucały cień na twarze o spiczastych podbródkach. Wszyscy nosili obcisłe niebiesko-purpurowo-zielone kombinezony kosmicznych podróżników - Ross miał się kiedyś okazję przekonać o ich ochronnych i izolacyjnych właściwościach, a także o tym, że dzięki nim komunikowano się na dalszą odległość. Kiedy swego czasu miał na sobie jeden z nich, tropiono go kilometrami w dzikim pustkowiu.

W jego oczach wszyscy trzej Łysawcy wyglądali jak odlani z jednej formy. Zręczne ruchy świadczyły, że potrafią działać z dużą precyzją. Spoglądali w stronę morza i mierzyli z tub w buszujące w zatoce salkary. Ross nie słyszał dźwięków eksplozji, ale widział, że zielone promienie trafiają w łuskowate, skłębione w wodzie cielska. Gdzie uderzył taki promień, ciało dymiło. Trójka metodycznie przeczesywała lagunę. Nagle Ross zauważył, że promienie wylatujące z tub zaczynają migotać. Jeden z Łysawców przekrzywił broń i grzmotnął kolbą o głaz, jakby usiłował nastawić zepsuty mechanizm. Kiedy kosmita zaczął znowu strzelać, jego tuba rozbłysła i odmówiła posłuszeństwa. Po chwili przestały działać także tuby pozostałej



dwójki. Rozjarzone pręty tkwiące w piasku, które oświetlały całą scenę, ściemniały jak węgle w dogasającym ognisku. Czyżby wysiadło zasilanie?

Ze wzburzonej wody podniósł się niezgrabny kształt i zaczął ociężale sunąć po ilastej plaży. Wyciągał giętką szyję i opatrzony rogiem nos; najwyraźniej miał ochotę utoczyć przeciwnikowi krwi. Ross nie wiedział, że salkary potrafią opuszczać swoje naturalne środowisko. Smok przed nim, łypiąc rozszerzonymi gniewnie ślepiami, najwyraźniej zamierzał dopaść gnębicieli.

Przez kilka chwil Łysawcy nie ustępowali z drogi potworowi, jakby nie mogli uwierzyć, że zawiódła ich broń. W końcu jednak dali za wygraną i ruszyli pędem do stancy, którą zdobyli z taką wzgardliwą łatwością. Salkar gnał za nimi uparcie, jednak w miarę jak biegł, ubywało mu sił. W końcu padł wycieńczony, kołysząc w przód i w tył uniesioną głową. Szczerzył kły w rozwarłej paszczy, a z gardła dobywał mu się donośny gulgot.

Głos smoka został usłyszany w wodzie i kolejny stwór wyczołgał się na brzeg. Z boku jego szyi broczyła straszliwa, głęboka rana, ale parł naprzód, wydając bitewne zawołanie. Nie zaatakował swojego towarzysza; przeszedł obok niego obojętnie. Ściągał Łysawców.

Następne osobniki wynurzały się z wody, najpierw dwa, potem trzeci i czwarty. Ciężko poranione, chciały się dowlec możliwie najdalej w głąb plaży. W końcu każdy z nich padał z wyczerpania, wpatrzony w stronę lądu, z falującą szyją i kołyszącym się rogatym łbem, powiększając chór okropnych wrzasków. Ross nie potrafił odgadnąć, co odciągnęło je od pola bitwy i kazało podjąć próbę pochwylenia kosmitów. Niewykluczone, że inteligencja tych stworzeń pozwalała im powiązać bolesne strumienie energii z ludźmi na plaży, wobec czego postanowiły zniszczyć wspólnego wroga.

Jednak najsilniejsze nawet postanowienie nie mogło wyzwolić w nich dość energii do pokonania długiego odcinka drogi lądem. Kiedy już wiedziały, że wpadły w pułapkę, nadal wkopywały się płetwami w miążki piasek w próznej nadziei dopadnięcia kosmitów.

Ross okrążył salkary i ruszył w stronę stancy. Szyja jednego z potworów wykonała gwałtowny skręt, łeb zniżył się w jego kierunku. Ross poczuł ohydny smród gada, zmieszany ze swądem spalonej skóry. Najbliższy z potworów musiał także wyczuć Ziemianina, bo próbował bez skutku zmienić pozycję i przeciąć mu drogę. Jednak na lądzie człowiek miał wyraźną przewagę; Ross wyminął go bez trudu.

Z plaży uciekli trzej Łysawcy. A przecież Jazia twierdziła, że wyszło z morza pięciu. Czyli dwóch brakowało. Gdzie się podziali? Pozostali w stancy czy wrócili do łodzi? Co się właściwie stało z batyskafem? Promieniowanie ustało; Ross widział, jak przestała działać broń i pogasły światła na brzegu. Czyżby salkary uszkodziły batyskaf? Ross szczerze wątpił, by zwierzęta mogły wyrządzić takiej łodzi poważniejszą szkodę.

Ziemianin szedł na oślep, wykorzystując każdy krzak i drzewo. Wiedział tylko, że musi iść w głąb lądu. Gdy teren zaczął się z wolna wznosić, przypomniał sobie topografię wyspy, opisaną przez Torgula i Jazie. Przemierzał prawdopodobnie fragment grzbietu, za którym leżała dolina, a w niej zabudowania osady. Gdzieś na wzgórzach stała świątynia Phutki, która dała schronienie Jazi. Domostwa Tułaczy leżały na zachód stąd, skręcił więc w lewo, w dół zbocza, aby dotrzeć do kryjówki Łysawców. Skradał się ze zrećnością doświadczonego zwiadowcy.

Księżyc Hawaiki, trzykrotnie większy od swojego ziemskiego krewniaka, wisiał nad widnokregiem, dzięki czemu wszystko miało ostre kontury, a cienie odcinały się wyraźnie. Ta poświata, fascynująca dla Ziemianina, potęgowała wrażenie przebywania w koszmarnym śnie, ryki uwięzionych na plaży salkarów też się do tego przyczyniały.

Kiedy Tułacze budowali swoje domostwa, wykarczowali niewielkie poletka, które otaczały promieniście każdy z budynków. Rosły tam dojrzałe już niemal do zbioru rośliny. Ziarno, jeśli to ziemskie określenie w ogóle pasowało do hawaikańskich nasion, zbierało się w długich strąkach, zwisających z krzewów sięgających człowiekowi do pasa. Strąki były zaopatrzone w kolczaste, czepliwe wypustki. Ledwie Ross spróbował zagłębić się między te rośliny, zdał sobie sprawę, że nie da rady tędy przejść. Usiadł, aby sprawdzić stan podrapanych rąk i rozejrzeć się po okolicy.

Gdyby zszedł kuszącą dróżką na wprost, stanowiłby łatwy cel dla każdego, kto się czaił w pobliskich zabudowaniach. Widział co prawda, że miotacze Łysawców stają się bezużyteczne, ale to wcale nie znaczyło, że kosmici są teraz bezbronni.

Postanowił okrążyć ich łukiem od pomocy i zejść do doliny wzdłuż koryta strumienia. Kiedy stanął u brzegu rzeczki, cichy głos osadził go w miejscu. Trzymał broń w pogotowiu.

- Rosss... - usłyszał.

- Loketh!

- Są ze mną Torgul i Vistur.

Spotkał zatem oddział zdążający z przeciwległej strony wyspy, zaszyty głęboko w zaroślach. Pomimo księżycowego blasku nie dostrzegał śladu niczyjej obecności, lecz obok siebie słyszał wyraźne głosy.

- Są tam, są w strażnicy - szepnął Torgul. - Ale pogasły wszystkie światła.

- Teraz...

Nagle gwałtowny okrzyk przykuł ich uwagę.

Pod nimi rozbłysło światło, ale nie przypominało poświaty bijącej od prętów ustawionych na plaży. Gorące, żółtoczerwone języki ognia strzelały w górę, płomienie się rozrastały, jakby podsycane w obłądnym pośpiechu.

W dole poruszały się trzy sylwetki. Ross zaczynał wierzyć, że na lądzie pozostała tylko ta trójka. Nie widział, żeby mieli broń, co niekoniecznie znaczyło, że są nie uzbrojeni. Blisko tylnej ściany jednego z budynków przepływał strumień. Ross doszedł więc do wniosku, że człowiek z głową na karku mógłby w nim znaleźć kryjówkę. Podzielił się tą myślą z Torgulem.

- A jeśli ich magia działa i wyciągną cię, a potem zabiją? - Kapitan Tułaczy nie owijał w bawełnę.

- Trzeba zaryzykować. Pamiętaj, że magia Foanna nie podziałała na mnie przy morskich wrotach. Może i ta nic mi nie zrobi. Przecież kiedyś zdołałem ją pokonać.

- Ile masz rąk, by je włożyć do ognia? - Głos należał do Vistara. - No cóż... żaden człowiek nie ma prawa powstrzymać drugiego od walki.

- Właśnie - odparł Ross sucho. - To jedno z zadań, do jakich mnie długo szkolono.

Zsunął się do koryta rzeczki. Wybrał taki kierunek podchodzenia pod zabudowania osady, żeby chaty zasłoniły go przed blaskiem ognia. Podpełził chyłkiem do chałupy z bali, podniósł się na nogi i zaczął sunąć powoli wzdłuż ściany. Kiedy wyjrzał zza rogu, zobaczył, że jęzory szalejących płomieni zdają się sięgać nieba. Zdążyły już osmalić dach jednej z chat Tułaczy. Dlaczego kosmici wzniecili tak gigantyczne ognisko? Ross mógł tylko zgadywać. Czyżby tym sygnałem usiłowali skontaktować się z kimś na dużą odległość?

Niewątpliwie zmusiła ich do tego pilna potrzeba, bo cała trójka zносиła opał w szalonym pośpiechu: kosmici wywlekali z chałup Tułaczy bele tkanin, które rozrywali i rzucali na pożarcie płomieniom, a także meble i wszelki łatwopalny dobytek.

Wynikała z tego pewna korzyść. Łysawcy tyle uwagi poświęcali dziełu niszczenia, że nie pilnowali okolicy; tylko od czasu do czasu jeden z nich biegł do wylotu ścieżki prowadzącej

nad zatokę, gdzie przez chwilę nasłuchiwał, jakby zdyszany salkar mógł lada moment wdrapać się na wzgórze.

- Ależ oni... Oni są wystraszeni! - Ross nie wierzył własnym oczom. Łysawców zapamiętał jako praktycznie niezniszczalnych nadludzi, tymczasem tutaj przypominali zatrwożonych dzikusów. A kiedy nieprzyjaciel ma kłopoty, należy go przyprzeć do muru.

Bez litości.

Ross wcisnął guzik na rękojeści dziwnej broni. Uważnie wycelował i wystrzelił. Niebieska postać u wylotu ścieżki zachwiała się. Pozostali na razie nie zauważyli, że ich kompan upadł. Nagle jeden z nich odwrócił się i ruszył biegiem w stronę bezwładnego ciała. Tuż za nim pędził jego towarzysz. Ross pozwolił im dotrzeć do pierwszej ofiary, po czym oddał dwa kolejne strzały.

Cała trójka leżała teraz nieruchomo, ale Ross wolał się nie ujawniać, dopóki nie odliczył tuzina ziemskich sekund. Potem przeniknął wśród cieni, aż dotarł do leżących ciał.

Odziane w błękit ramię wydawało się zwiotczałe pod naciskiem palców, jakby mięśnie nie były powiązane z resztą ciała. Ross przewrócił kosmitę na wznak i w jasnym blasku ogniska spojrzął w otwarte szeroko oczy Łysawca. W nieruchomym spojrzeniu wyczytał zdumienie, ale po chwili oczy zmieniły wyraz. Pojawiła się w nich nieprzejednana złość, mrożąca krew w żyłach.

- Zabić ich! - usłyszał Ross za sobą.

Wciąż klęcząc na jednym kolanie, obejrzał się i zobaczył szarżującego Tułacza. W świetle ogniska jego oczy pałały fanatyczną nienawiścią. Zamierzał zadać śmiertelny cios zakrzywionym mieczem. Ziemianin podciął pirata i przewrócił go na ziemię. Skoczył na pierś szarpiącemu się żeglarzowi i usiłował go obezwładnić, unikając równocześnie klingi tnącej gdzie popadnie.

- Loketh! Vistur! - nawoływał Ross w czasie szamotaniny. Zza budynku wypadali następni Tułacze. Pędzili w stronę bezwładnych kosmitów i dwóch walczących z sobą mężczyzn. Ross rozpoznał utykającego Loketha, który podpierał się gałęzią, biegnąc przez otwartą przestrzeń.

- Loketh, tutaj!

Wreszcie tubylec dał potężnego susa i wylądował przy Rossie i piracie.

- Trzymaj go! - nakazał mu Ziemianin. Z trudem zdołał oddzielić Łysawców od nacierającej bandy. Tułacze dawali głośny wyraz oburzeniu. Ross, znając ich temperament, bał się o życie jeńców, których oni uważali, zresztą słusznie, za należną im zdobycz. Mógł tylko mieć nadzieję, że znajdą się wśród nich zrównoważeni osobnicy cieszący się dostatecznym autorytetem, aby powstrzymać mścicieli. W przeciwnym razie będzie musiał obezwładnić ich wszystkich promieniem miotacza.

- Torgul! - zawołał.

Z linii biegnących ku niemu piratów wyrwało się wielkie chłopisko - mógł nim być tylko Vistur. Obok niego, wykrzykując rozkazy, biegł Torgul. Teraz wszystko zależało od tego, jak dużą władzę miał kapitan nad swoimi ludźmi.

Ross wstał z trudem. Przełączył miotacz na najniższą częstotliwość, która nie zabijała, ale paraliżowała na pewien czas. Nie wiedział, jak długo w tym przypadku utrzymałby się stan odrętwienia. Gdy testowano broń na ziemskich zwierzętach w laboratorium, ich porażenie trwało od kilku dni do kilku tygodni.

Vistur płaską stroną wojennego topora roztrącał biegnących na przedzie zapaleńców. Wreszcie własnym zwałistym ciałem zagroził im drogę. Rozkazy Torgula odnosiły chyba

zamierzony skutek, bo coraz więcej Tułaczy zwalniało. Z ostatniej trójki narwańców dwóch Vistur obalił uderzeniami pięści. Kapitan podszedł do Rossa.

- A więc żyją? - Pochylony wpatrywał się w zadumie w odwróconego na wznak Łysawca i w jego nieruchome oczy.

- Tak, ale nie mogą się ruszać.

- To nam bardzo na rękę. - Torgul pokiwał głową. - Poznają, czym jest prawomocny wyrok Phutki. Jeszcze pożałują, że nie zostawiono ich na pastwę toporów rozgniewanych ludzi.

- Więcej warci są żywi niż umarli, kapitanie. Nie chcesz się dowiedzieć, dlaczego wydali wojnę twojemu narodowi i ilu ich może jeszcze zaatakować? A pytań jest więcej. Na przykład... - Ross wskazał na ogień, który zaczął tymczasem trawić drugą chatę. - Na przykład dlaczego wznieśli to ognisko? Czy to nie sygnał dla ich współplemieńców?

- Owszem, dobrze byłoby się tego wszystkiego dowiedzieć. Phutka nie okaże nam niełaski, jeśli poświęcimy trochę czasu na zadanie pytań i uzyskanie odpowiedzi... wielu odpowiedzi. - Trącił Łysawca czubkiem buta. - Kiedy się przebudzą? Lepiej nie igrać z twoją magią.

Ross się uśmiechnął.

- To nie moja magia, kapitanie. Tę broń zabrano z jednego z ich statków. A kiedy się obudzą, tego sam nie wiem.

- Nieważne, będziemy ich mieć na oku. - Pod kierunkiem Torgula więźniów opleciono siecią podobną do tej, w którą niegdyś schwytano Rossa i Loketha. Liście wodorostów momentalnie przylgnęły do ciał. Mokra powrozy, do chwili rozcięcia, tworzyły doskonałe więzy.

Gdy się z tym uporał, Torgul zarządził przeszukanie Kyn Add.

- To prawda - przyznał rację Rossowi. - Ten ogień mógł być sygnałem wzywających na pomoc ich braci. Myślę, że w tej sprawie Phutka nam sprzyjał, ale rozsądny człowiek nie powinien liczyć na wieczną przychylność bogów. Poza tym - rozejrzył się wokoło - oddaliśmy Phutee i Mrocznym naszych zmarłych. Co nam tu pozostało oprócz żalu i nienawiści? W ciągu jednego dnia straciliśmy klan, dumę i statki, a wszystko to z winy paru ludzi niewiadomego pochodzenia.

- Dołączysz do innego klanu? - zapytała Karara. Stała razem z Jazią na kamiennym występie, obciosanym na cokół pod kolumnę z dziwną, zadumaną głową, skierowaną w stronę morza. Tułaczka nadzorowała zdejmowanie głowy z kolumny.

Po pytaniu Polinezyjki kapitan omiół spojrzeniem pogrążoną w chaosie dolinę. Wciąż słyszeli ryki umierających salkarów. Gady, które wyszły na brzeg, nie wróciły już do wody. Leżały w piasku, niektóre martwe, inne z szyjami wyciągniętymi w stronę lądu. Stanica stała w płomieniach...

- Teraz jesteśmy ludźmi związanymi przysięgą krwi. Morska Panno. A tacy nie mają klanu. Czekają ich tylko łowy i zabijanie. Może z pomocą magii Phutki nasze łowy potrważą krótko i zakończą się sukcesem.

- Jeszcze trochę... Już... Dobrze... - Jazia cofnęła się o krok. Głowa z kolumny, która do niedawna wpatrywała się w morze, została teraz ostrożnie spuszczone na szeroki pas szkarłatno-złotej tkaniny, przyniesionej z okrętu Torgula. Używając jednej zdrowej ręki, kobieta zawięła rzeźbę tak, że na koniec spod zwojów widać było tylko owalne oczy. Ross dojrzał błysk w oczach. Może osadzono w nich klejnoty? Doznawał jednak osobliwego, budzącego dreszcz wrażenia, że to nie było lśnienie klejnotów; że oczy na niego spojrzwały, oceniły i pozostawiły w spokoju.

- Gotowe. - Jazia pomachała ręką, Torgul wystął przodem swoich ludzi. Owiniętą rzeźbę ułożyli na noszach z desek i zaczęli schodzić ze wzgórza.

Karara krzyknęła, Ross obejrzał się za siebie. Kolumna dotychczas podtrzymująca głowę rozpadała się na kawałki, a jej resztki posypały się poza kamienny cokół. Ross za-mrugnął oczami na to zdumiewające zjawisko, ale pod koniec trudnego dnia przestał się czemukolwiek dziwić. Dołączył do powracającej procesji.

### 13. MORSKIE WROTA LUDU FOANNA

Ross podniósł do ust wykonany z muszli kielich, ale umoczył tylko wargi w ognistym napoju. Szanował wprawdzie uświęcone tradycją gesty, pragnął jednak zachować jasny umysł i szybki język na wypadek jakiegoś sporu. Obok siedzieli Torgul, Afrukta i Ongal, trzech dowódcy pirackich korwet, Jazia reprezentująca tajemniczą moc Phutki, Vistur wraz z kilkoma godnymi zaufania oficerami, Karara z przyczajonym za nią Lokethem - wszyscy zebrali się na wojenną naradę. Ale przeciw komu?

Ziemianin na razie nie mógł osiągnąć najważniejszego: wydobycia Ashe'a z twierdzy Foanna. Wątpił, czy w pojedynkę potrafi zrealizować ten plan. Po ataku na Łysawców stał się tak cennym nabytkiem dla Tułaczy, że na pewno nie pozwolą, aby wyruszył bez nich na samotną eskapadę.

- Ci ludzie z gwiazd... - Ross odstawił kielich. Szukał gorączkowo wśród ograniczonego zasobu hawaikańskich słów. - Mają broń i moc, o jakich wam się nie śniło, przed którymi nie możecie się bronić. W Kyn Add dopisało nam szczęście. Salkary zaatakowały ich łódź i odcięły energię, która zasilala miotacze ognia. W innym wypadku nie mielibyśmy żadnych szans, choćby nas było wielu, a ich tylko kilku. Pragniecie zapolować na nich na ich własnym terytorium, na lądzie lub w górach, gdziekolwiek mają swoją bazę? To czyste szaleństwo. Podobne szansę ma pływak w walce z salkarem.

- A więc mamy siedzieć i czekać, aż nas załatwią? - wybuchnął Ongal. - Powiadam wam, lepiej już zginąć w boju, z mokrą klingą miecza!

- Jednak każdy z was chciałby przed taką śmiercią zabrać ze sobą przynajmniej jednego wroga - odciął się Ross. - Ale oni was pozabijają, zanim zdążycie zadać jeden cios.

- Z twoją bronią poszło ci dość gładko - stwierdził Afrukta.

- Już wam mówiłem, że to ich własna broń, którą im skradziono. Mam tylko jedną sztukę i nie wiem, jak długo będzie mi służyć, ani czy nie mają przeciwko niej jakiejś ochrony. Ci, których pojмалиśmy, zostali wcześniej pozbawieni mocy, bo zawiodło ich zasilanie, ale tylko szalenie rzucaliby się bezmyślnie na ich główną bazę!

- Salkary otworzyły nam drogę... - odezwał się Torgul.

- Tylko jak zapędzić całe stado w góry? - zauważył Vistur roztropnie.

Ross popatrzył uważnie na kapitana. Nie miał wątpliwości, że Torgul obmyśla chytrą koncepcję. Jego szacunek dla dowódcy Tułaczy systematycznie wzrastał, odkąd się spotkali. Korwetami korsarzy zawsze dowodzili najdzielniejsi ludzie, jakimi dysponowały klany. Jeśli kapitan korwety pragnął odnosić sukcesy, musiał się odznaczać rzutkim umysłem i dobrze znać na strategii.

Zastępy Hawaikańczyków potrzebowały klucza, który pozwoliłby im otworzyć bazę Łysawców, tak jak salkary wprowadziły ich do laguny. Tymczasem znali tylko garstkę faktów, wydartych w czasie przesłuchania więźniów.

Dziwna rzecz, ale wytrych do umysłów jeńców znalazły delfiny. Taką samą metodą jak ta, dzięki której Ziemianie nawiązali porozumienie z Lokethem, odczytywały i tłumaczyły myśli galaktycznych najeźdźców. Okazało się, że Łysawcy używają między sobą telepatii, tylko osobnikom niższych gatunków przekazują rozkazy słowami.

Pierwszy wstrząs wywołało w nich samo schwytnie przez grupę "dzikusów", ale telepatyczne sondy delfinów doprowadziły ich do granicy obłądzenia. Świadomość, że zwierzę jest im równe, była dla nich szokiem.

Tak czy inaczej rozszyfrowano myśli i wspomnienia kosmitów. Na zwołanej naradzie Tułacze i Ziemianie poznali zarysy głównego planu najeźdźców, zamierzających podbić cały świat. Jakie pobudki nimi kierowały, tego nawet delfiny nie zdołały wysondować. Mogło tak być, że ich więźniowie nie zostali powiadomieni przez swoich przełożonych o celach misji.

Plan kosmitów cechowała niemal obraźliwa prostota, jakby galaktyczna potęga nie miała powodu lękać się skutecznej obrony. Z wyjątkiem jednego szczegółu.

Palce Rossa ścisnęły pucharek. Czy Torgul doszedł już do tego samego co on przekonania, że kluczem może być lud Foanna? Jeśli tak, rodziła się nadzieja, że obie strony wspólnym działaniem osiągną swoje cele.

- Wygląda na to, że mają się na baczności przed ludem Foanna - podsunął Ross, oczekując sprzeciwu Torgula. Jednak to Jazia udzieliła wyjaśnień.

- Lud Foanna ma wielką moc. Gdy zechcą, kierują wichrem lub falą, człowiekiem lub zwierzęciem. Zbójcy z gwiazd powinni się bać ludu Foanna!

- A jednak teraz na nich uderzą - zaznaczył Ross, wciąż patrząc w oczy Torgulowi.

Kapitan przywołał na usta lekki uśmiech.

- Nie bezpośrednio, jak słyszałeś. Ich plan polega na podsycaniu sporów między nami. Śledzą rozwój wydarzeń z bezpiecznej odległości i czekają, aż wytracimy ludzi w trakcie potyczek. Pewnego dnia będziemy u kresu wyczerpania, a wtedy się ujawnią i wysuną pretensje. Dzisiaj chcą skłócić Łowców Wraków z ludem Foanna, bo wiedzą, jak ci ostatni są nieliczni. Usiłują także obudzić w nas gniew swoimi napaściami, a gniew ten skierować na Łowców lub Foanna. Tym sposobem... - z prawego kciuka i palca wskazującego utworzył szczypcę i zamknął je na uniesionym kciuku lewej ręki - ..mają zamiar złapać lud Foanna w potrzask, napuścić na nich Łowców i Tułaczy. Ponieważ uważają Foanna za najpoważniejszą przeszkodę, niszczą ich za naszym pośrednictwem, przy okazji uszczuplając również nasze siły. To sprytny plan, ale plan ludzi, którzy nie walczą własnym mieczem.

- To tchórze! Gorszi od tej hołoty z wybrzeża! - prychnął Ongal. Torgul znowu się uśmiechnął.

- Oni wiedzą, że tak zareagujemy, nie doceniając ich możliwości. Owszem, zgodnie z naszą tradycją to tchórze. Tylko że oni nie dbają o naszą opinię. Czy ktoś z nas myślał o salkarach, kiedy ich używaliśmy do sforsowania laguny? Nie, to były tylko zwierzęta, narzędzia w naszych rękach. To samo oni sądzą o nas, z jednym wyjątkiem: my już coś wiemy o ich zamysłach. Nie zgadzamy się pełnić roli posłusznych narzędzi. Jeśli odpowiedzi należy szukać u ludu Foanna... - Umilkł i wlepił wzrok w kielich, jakby wróżył z niego jakąś mroczną przyszłość.

- Jeśli odpowiedzi należy szukać u ludu Foanna, to co? - naciskał Ross.

- Zamiast z nimi walczyć, musimy ich ostrzec, przejednać, spróbować się z nimi sprzymierzyć. I to zaraz, póki czas!

- Tylko jak tego wszystkiego dokonać? - zapytał Ongal. - Foanna, których chciałbyś ostrzec, zjednać i namówić do przymierza, są przecież naszymi wrogami. Dopiero co płynęliśmy, by wdrzeć się przez ich wrota. Nie ma już szans na pokój. Przecież pletwiaste istoty dowiedziały się od tych morderców kobiet, że wokół cytadeli Foanna stanęła obozem armia Łowców, którym ci synowie Cienia zamierzają dać broń. Czy musimy pchać do beznadziejnej walki nasze trzy korwety, trzy ostatnie okręty, jakie posiadamy? Taką radę mógłby dać tylko obłąkaniec.

- Istnieje jedno rozwiązanie... Moje rozwiązanie. - Ross skorzystał z chwilowego

milczenia. - W cytadeli Foanna znajduje się mój pan, któremu przysięgałem służyć. Właśnie próbowaliśmy go uwolnić, gdy wciągnęliśmy nas na pokład waszego okrętu. On ma więcej ode mnie doświadczenia w postępowaniu z obcymi ludźmi. Jeżeli lud Foanny posiada tę mądrość, którą mu przypisujecie, już sobie zapewne zdał sprawę, że mój pan nie ma nic wspólnego z niewolnikami zabranymi lordowi Zahurowi. - Sam miał nadzieję, że Ashe zdołał ołśnić swoich dozorców wiedzą i umiejętnościami. Wyszkolony do nawiązywania pierwszego kontaktu z obcymi rasami, Gordon miał szansę uniknąć losu, jaki dzielili więźniowie wyłapywani przez Foanna. Jeśli tak się stało, Ashe mógł otworzyć im bramę do twierdzy. -Wiem również, że to, co strzeże morskich wrót, ma ci zmysły i odpędza nieproszonych gości... na mnie nie działa. Może zdołam wejść do środka i odnaleźć mojego rodaka, a przy okazji dogadać się z Foanna?

Uwięzieni Łysawcy dokładnie przekazali swoją wiedzę o sile wojsk próbujących zdobyć cytadelę Foanna. Gdy okręty Tułaczy przecinały fale pod osłoną nocy, po niebie rozlewały się łuny ognisk i pochodni zarówno po stronie obleganych, jak i oblegających. Tylko od morza nikt nie atakował fortecy. Cokolwiek broniło wrót, zachowało swoją siłę.

Ross stał w szerokim rozkroku, żeby nie stracić równowagi na rozkołysanym pokładzie. Nad jego propozycją wiele dyskutowano, dochodziło do sprzeczek, lecz ostatecznie, dzięki poparciu Torgula i Jazi, płynął, by podjąć niebezpieczną próbę. Chociaż dowiedział się od Tułaczy i Loketha wszystkiego, co mógł, o morskich wrotach, wiedział, że powodzenie misji zależy wyłącznie od jego postawy. Karara, delfiny i Hawaikańczycy byli zbyt wrażliwi, by zmierzyć się z barierą.

W mętym świetle pojawiła się sylwetka Torgula.

- Jesteśmy już blisko, nasza moc się zmniejsza. Jeśli wkrótce nie zmienimy kursu, zaczniemy dryfować.

-A więc pora na mnie. - Ross podszedł do drabinki sznurowej, ale ktoś tam już na niego czekał. Karara przysiadła na poręczy. Popatrzył na nią ze złością.

- Musisz tu zostać.

- Wiem. Tutaj nic nam nie grozi. Wprawdzie zabezpieczenie wrót nie ma na ciebie wpływu, Ross, ale nie myśl sobie, że dzięki temu pójdzie ci jak z płatka.

Poczuł się dotknięty. Karara najwyraźniej miała go za bufona.

- Znam się na swojej robocie.

Przeskoczył na rozhuśtaną drabinę i zszedł nad powierzchnię wody. Założył płetwy, poprawił obciążony pas i nasunął na twarz maskę skrzepaku. Obok niego wpadła z pluskiem do wody siatka z zapasowymi płetwami, pasem i maską, mogącymi pomóc Ashe'owi w ucieczce z fortecy.

Bijące od brzegu światła kładły się na wodzie szerokim wachlarzem. W miarę jak Ross płynął w stronę smaganego falami brzegu, do jego uszu dobiegał coraz wyraźniejszy hałas, świadczący o tym, że trwa właśnie oblężenie fortecy. Odległe ognie i oświetlające niebo fajerwerki wydawały się jednak dziwnie zamazane. Kiedy Ross, nurkując bez wysiłku pod wzburzonymi falami, wypływał co pewien czas na powierzchnię, dostrzegał smugi oparów unoszących się nad wodą między dwoma skalnymi filarami, które oznaczały morskie wrota.

Ross zadrzał, gdy przeraźliwy huk rozdarł niebo nad zatoką. Dopłynął do filaru i, trzymając się go jedną ręką, spróbował zachować równowagę. Z każdą chwilą gęstniała mgła nad spienionym morzem. Wypuszczała coraz to nowe macki, które pełzły nad falami, rozprzestrzeniając się wokół. Przestrzeń między wrotami a brzegiem zaścieniały białe tumany.

Znowu zagrzmięło gdzieś wysoko. Ziemiańnin odruchowo ukrył głowę w ramionach, ale zaraz uniósł wzrok, wypatrując oznak nadchodzącej nawałnicy. Wiatr pędził po wodzie kłęby



szarobiałej mgły. Z najwyższego punktu cytadeli wylewała się czarna ciemność. Ross sam nie wiedział, jak udaje mu się odróżnić inny odcień ciemności na tle mrocznego nieba. A może go tylko wyczuwał? Potrząsnął głową, wpatrzony we wskazujący w górę palec fortecy.

Mgła otulała Rossa, wypływała poza morskie wrota. Puścił słup i zanurkował. Po chwili przepływał przez bramę w stronę fortecy Foanna.

Gdzieś przed nim musiała być przystań, co wynikało z opisu Torgula. Ci, którzy służyli Foanna, wyruszyli czasami na morskie szlaki, opływali wybrzeża smukłymi, zwinnymi fregatami. Ostrożnie wynurzywszy głowę, Ross odkrył, że widoczność jest niemal zerowa. Gęste kłęby tworzyły nieprzeniknioną zasłonę, w której Ross zgubił kierunek. Znow dał nura pod wodę i, wiosłując płetwami, popłynął dalej.

Czyjego zagubienie wynikało z mgły, czy z jego własnej wyobraźni? Może jednak był podatny na wpływ zabezpieczającej wrota zapory? Odrzucił to przypuszczenie, gdy tylko umknął przed wilgotną pierzyną mgły. Skoro przepłynął bramę, nabrzeże musiało znajdować się... tam!

Po kilku chwilach miał dowód, że nie zawiódł go zmysł orientacji; otarł się ramieniem o twardą przeszkodę w wodzie. Instykt poszukiwacza podpowiedział mu, że to słup nabrzeża. Gdy powtórnie wypłynął na powierzchnię, zamiast huku błyskawic usłyszał śpiewne zawodzenie Foanna.

Melodia miała chyba źródło bezpośrednio nad jego głową, ale przy takiej mgle Ross się nie obawiał, że śpiewak go wypatrzy. Musiał stać na skraju nabrzeża. Tuż obok Ross zauważył mroczną sylwetkę jednego z kutrów. Czyżby obleżeni planowali wypad?

Nieoczekiwanie oślepiające światło przecięło ciemności wysoko nad głową Rossa, który przylgnął do słupa. Snop światła trafił w kuter i przeciął łódź na dwoje, niczym nóż tnący glinę. Śpiewak urwał w pół nuty. Niedaleko wszczęto alarm. Zewsząd słychać było zdumione okrzyki. Ross poczuł drgnięcie komunikatora.

Najwidoczniej do portowego basenu wtargnęła podwodna łódź Łysawców. Możliwe, że snop ognia, który teraz niszczył kuter, miał zostać następnie wycelowany w mury twierdzy.

Niskim, wyraźnym głosem śpiewak podjął swoją pieśń. Coś chlupnęło w pobliżu - to z nabrzeża wyrzucano do morza jakieś przedmioty. Ból szarpnął ciałem Ziemianina; maska stłumiła okrzyk cierpienia. Woda wokół pogrążonych w wodzie nóg i brzucha stała się tak zimna, że nieomal parzyła. Ross wspiął się w panice na jeden z bali podtrzymujących pomost nabrzeża. Ledwie znalazł bezpieczne schronienie, zaczął z całej siły rozcierać zmarznięte nogi.

Niebawem pełzną już w stronę brzegu. W tym czasie strumień energii upolował nową zdobycz. Ross przystanął na chwilę, by popatrzeć na drugi przepołowiony kuter. Jeśli kontruderzenie Foanna miało zdruzgotać napastnika, to na razie było nieskuteczne.

Ziemianin mozolnie szukał oparcia dla rąk i stóp. Przeszkadzała mu w tym torba z zapasowym sprzętem, ale zawierała sprzęt potrzebny do ułatwienia Ashe'owi ucieczki, więc nie zamierzał jej porzucać. Z dołu, od wody, ciągnęło takim chłodem, że Ross nie potrafił opanować drżenia. Dobrze wiedział, że dopóki jest mu tak zimno, nie ma co myśleć o powrocie do morza.

Woda nie tylko wysyłała zimno, ale i fosforyzowała. Nadpłynęły białe kształty, które nurkowały i skakały na falach. Zbierały się też pod pomostem nabrzeża, oplatając słupy. Wokół nich rzedły opary, jakby te nieregularne plamy absorbowwały mgłę. Ziemianin dostrzegł teraz, że dotarł do krawędzi lądu. Zatknął płetwy za pas i włożył na stopy buty ze skóry salkara, w które zaopatrzył go Torgul. Dygotał z zimna, bo był nagi, jeśli nie liczyć pasa, kąpielówek i skrzelopaku. Zarzucił sobie siatkę na plecy, czym prędzej zeskoczył na wilgotny piasek i

znieruchomiał, nasłuchując.

Ucichł zgiełk bitwy, który niósł się nad wodą aż do statków Tułaczy. Przystały walić pioruny, zamiast tego ulewny deszcz bębnił po deskach.

Gdy Ross zerknął w stronę morza, nie zauważył ani jednego świetlnego strumienia. Mgła się podnosiła i widział teraz tonące wolno kutry, widział ich dzioby nadal przywiązane do mola. Nikt tam się nie ruszał. Czy wszyscy uciekli z nabrzeża?

Kropka... Kreska... Kropka...

Ross nie puścił siatki, ale natychmiast przysiadł, by schować się pod pomostem. Przez chwilę, która zdawała się ciągnąć w nieskończoność, czekał w napięciu.

Kropka... Kreska... Kropka...

To nie było drapanie spowodowane bliskością urządzeń wroga, ale zakodowany sygnał, odebrany przez komunikator. Zupełnie czytelny sygnał.

Bez pośpiechu, powiedział sobie w duchu, najpierw się zastanów. Tylko dwie osoby znały ten szyfr. A jedna z nich nie miała powodu, by cokolwiek nadawać. Czy to może być pułapka? Niewykluczone. Potęga ludu Foanna wprawiała Rossa w mimowolny podziw, obcy dotąd sceptycyzmowi kosmicznego podróżnika. A nuż ktoś chciał go zwabić za pomocą urządzenia Ashe'a?

Ross przystąpił do działania. Wcisnął sieć wraz z zawartością do dołka wykopanego obok słupa znacznie powyżej poziomu morza. Ręczną broń obcych pozostawił przedtem Kararze, nie chcąc zanurzać jej w wodzie. Polegał wyłącznie na nożu i rękach, z których trening uczynił morderczy oręż.

Ruszył w stronę otwartej przestrzeni. Komunikator dotykał nagiej skóry w talii, gdzie działał najsprawniej, palce ścisnęły rękojeść noża. Pływające plamy nie dawały zbyt wiele światła, lecz Ross był pewien, że sygnał nadano z nabrzeża.

Dostrzegł jakieś poruszenie i dwa krótkie błyski. Skoncentrował się na komunikatorze. Musiał zdobyć pewność, absolutną pewność. Z tego kierunku napływały silniejsze fale. Czy dobrze zrobił, wychodząc z kryjówki? Może w ciemności zdoła wyrwać Ashe'a z łap strażników, a wtedy razem popłyną na wolność.

Ross wstukał sygnał wywoławczy. Kropka... Kropka... Kropka...

Natychmiast nadeszła niecierpliwa odpowiedź:

- Gdzie?

Kto prócz Ashe'a mógł coś takiego nadać? Ross nie wahał się dłużej.

- Bądź gotów, uciekamy.

- Nie! - napłynęła kategoryczna odpowiedź. - Tutaj są przyjaciele...

Czyżby sprawdziły się jego przypuszczenia, że Ashe nawiązał przyjacielskie stosunki z ludem Foanna? Ross musiał jednak zachować ostrożność, która od dawna była jego najlepszą zbroją i ochroną. Znał pewne pytanie, na jakie tylko Ashe mógł poprawnie odpowiedzieć, pytanie nawiązujące do czasów, kiedy po raz pierwszy wyruszyli wspólnie w przeszłość, ucharakteryzowani na handlarzy dzbankami z epoki brązu. Z rozmysłem wstukał to pytanie:

- Co zabiliśmy w Brytanii?

Oczekiwał w napięciu, ale komunikator milczał. Zamiast tego znajomy głos odezwał się w mroku.

- Białego wilka. - Słowa wypowiedziano w jego ojczystym angielskim języku.

- Ashe! - Ross wyskoczył z ukrycia i zaczął się wspinać w stronę majaczącej w ciemnościach postaci.

## 14. FOANNA

- Ross! - Ręce Ashe'a ścisnęły go mocno za ramiona. - A więc i ty przeszedłeś...

Ross zrozumiał. Gordon Ashe musiał się obawiać, że wskutek Nieszczęśliwego wypadku tylko on przekroczył bramę czasu.

- Jest tu też Karara i jej delfiny!

- Tutaj? Teraz? - Na tle basenu portowego Ashe wyglądał jak mówiący cień.

- Nie, czeka na pokładzie korwety Tułaczy. Wiesz, że Łysawcy są na Hawaice, Ashe? Wszystko to ich sprawka, cały ten zamęt, atak na fortecę. Właśnie wpłynęli do zatoki łodzią podwodną i pocięli kutry na kawałki. Parę dni temu pięciu Łysawców wymordowało mieszkańców stancy Tułaczy. Tylko pięciu!

- Gordo... - Głos, który się odezwał, w odróżnieniu od syczącej mowy Hawaikańczyków zwracał uwagę śpiewną, dźwięczną intonacją. - Czy to twój lojalny sługa? - Podsunął się do nich następny cień. Ross dostrzegł trzepoczący skraj płaszcza.

- To mój przyjaciel - sprostował Ashe dobitnie. - Ross, pognaj strażnika morskich wrót.

- A więc przybyłeś - ciągnął Foanna - razem z tymi, którzy gromadzą się, by ucztować przy stole Cienia? Twoi Tułacze nie znajdą tu wielu łupów w swoim guście...

- Nie... - Ross się zawahał. Jak tytułować Foanna? Przy Torgulu zachowywał się jak równorzędny partner, ale w tym wypadku nie wydawało się to stosowne. Czuł to instynktownie. W końcu postanowił po prostu wyznać całą prawdę. - Pojmaliśmy trzech Łysawców, zabójców. Od nich się dowiedzieliśmy, że chcą najpierw zniszczyć lud Foanna, ponieważ widzą w was - wskazał palcem na okryty płaszczem kształt - największe zagrożenie. Podobno to oni namówili Łowców do tego ataku, a...

- A więc Tułacze przybyli, ale nie dla grabieży? To chyba jacyś odmieńcy wśród swojego ludu. - Foanna mówił tonem lodowatym niczym woda w zatoce.

- Łupy nie interesują ludzi żądnych krwawej zemsty za zabitych krewnych! - odciął się Ross.

- Owszem, a Tułacze są wyznawcami równowagi krzywd - przyznał Foanna. - Czy wierzą także w równowagę pomocy? Od tej kwestii wiele zależy. Gordo, wygląda na to, że nie wypłyniemy statkami. Wracajmy na naradę.

Dłoń Ashe'a, spoczywająca na ramieniu Rossa, kierowała nim po ciemku. Chociaż mgła, która powlekała zatokę, wreszcie się rozproszyła, pozostały gęste ciemności. Ross zauważył, że nawet ognie i flary były teraz przyćmione i jakby mniej liczne. Szli wąskim przejściem między murami, które połyskiwały nikłą poświatą.

Trzech owiniętych w płaszcze Foanna maszerowało na czele swoim szczególnym, płynnym krokiem. Za nimi szli Ashe i Ross, a pochód zamykał tuzin okrytych kolczugami gwardzistów. Zaczęli się wspinać na pochylnię. Ross zerknął na towarzysza. Ziemi agent nosił szary płaszcz na modłę Foanna, który jednak nie zmieniał co chwila koloru, jak to się działo u tajemniczych tubylców. Gdy Gordon rozsunął poły, ukazała się elastyczna zbroja.

Rossa nurtowały pytania. Chciał położyć pozycję Ashe'a wśród Hawaikańczyków. Co tak zmieniło jego położenie, że, będąc początkowo więźniem na zamku Zahura, wszedł w bliską komitywę z najbardziej przerażającą inną rasą na tej planecie?!

Pochylnia kończyła się ślepią ścianą, a tuż przed nią jeszcze węższe przejście odbiegało pod ostrym kątem w lewo. Jeden z Foanna skinął nieznacznie na gwardzistów, którzy wykonali sprawny zwrot w tył i odmaszerowali. Teraz Foanna wyciągnęli różdżki.

W jednolitej powierzchni pokazał się otwór. Zmiana zaszła tak szybko, że Ross nie wychwycił żadnego ruchu.

Po przekroczeniu tak powstałych drzwi znaleźli się nagle w innym świecie. Zmysły Rossa, wyostrzone i czujne, poszukiwały wokół czegoś na poparcie jego głębokiego przeświadczenia, że twierdza stanowi dzieło bardziej zagadkowej cywilizacji niż te, które wznosiły na wybrzeżu zamki lub budowały korwety. Lud Foanna nie należał prawdopodobnie do tej samej rasy, a może nawet do tego samego gatunku, co reszta tubylczych plemion Hawaiki.

Ich szaty, z początku mieniące się szaro i ciemnoniebiesko, teraz spłwiałały, zbiełały, stały się cieńsze, a każdy z maszerującej trójki przybrał niewyraźny kształt opalizującej kolumny.

Ashe znów chwycił Rossa za ramię i poinformował go ledwo słyszalnym szeptem:

- One są mistrzyniami iluzji. Pamiętaj, nie wierz we wszystko, co zobaczą twoje oczy.

Mistrzyniami? A więc to były kobiety, a przynajmniej samice. Iluzja... No tak, zdążył się przekonać, że wzrok płata mu figle. Z trudem odróżniał szaty od ścian, jakby płynęły przed nim ledwie cienie cieni.

Kolejna ślepa ściana; tu też pojawił się otwór, z którego wionęła na Rossa tak silna fala obcości, że poczuł się niczym w objęciach sztormowej wichury. Kiedy jednak przystanął, niezdecydowany pomimo zachęcającego gestu Ashe'a, przekonał się, że nie ma tu atmosfery wrogości, jaką odczuwał w obecności Łysawców. Obcy - tak. Nieprzychylni jego rodzajowi - nie.

- Masz rację, młodszy bracie.

Ktoś wypowiedział na głos te słowa, czy też zabrzmiały wyłącznie w jego głowie?

Ross znalazł się w dziwnym miejscu. Pod stopami widział ciemny błękit - błękit ziemskiego nieba o zmierzchu. Tu i ówdzie migwały na nim świetlne punkciki, jaśniejsze i piękniejsze niż ziemskie gwiazdy. Ściany... Czy tu w ogóle były ściany? Jak nazwać te zmieniające położenie, rozkołysane niebieskie zasłony, przetykane srebrzystymi liniami, ułożonymi w symbole i słowa, które oszołomiony mózg Rossa zaczynał rozumieć?

Ciągły ruch, ani chwili wytchnienia. Wreszcie dotarli do miejsca, gdzie znieruchomiały falujące zasłony, a pod stopami nie mieli już nieba, ale miękką warstwę szarej, żywej trawy, z której ulatywały korzenne zapachy. Po raz pierwszy Ross ujrzał Foanna w pełnej okazałości.

Co się stało z ich płaszczami? Czy odrzuciły je podczas marszu ...czy lotu... w tym zadziwiającym pomieszczeniu? A może niematerialne okrycia rozpląły się po prostu? Patrząc w zdumieniu na stojące przed nim trzy postacie, Ross wiedział, że takimi nie widzieli ich nawet służący i gwardziści. Tylko czy to, co miał przed sobą, to rzeczywistość, czy też obraz sztucznie wywołany w jego wyobraźni?

- Rzeczywistość, młodszy bracie, rzeczywistość! - I znów odpowiedź, która zabrzmiała nie wiadomo gdzie.

Miały humanoidalne kształty i były bez wątpienia kobietami. Gdy znikły maskujące płaszcze, ukazały się srebrzyste kombinezony bez rękawów, opięte w talii pasami z niebieskich kamyków. Tylko włosy i oczy zdradzały niezemski rodowód. Włosy, które spływały poniżej ramion, także były srebrzyste. Skręcały się i falowały, jakby żyły własnym życiem. Za to oczy... Ross zajrzał w złote źrenice i przez kilka sekund stał jak skamieniały. W końcu, przerażony, z trudem odwrócił wzrok.

Śmiech? Nie, nie usłyszał śmiechu, ale odebrał wrażenie wesołości, zaprawionej odrobiną szacunku.

- Masz całkowitą słuszność, Gordoona. On też należy do twojego rodzaju. Nie jest mięsem czarownic. - Ross wyczuł w tym przekazie cień smutku i niechęci.

- Oto właśnie Foanna. - Głos Ashe'a złamał zakłęcie. - Pani Ynlan, pani Yngram, pani Ynvalda.

To miał być cały lud Foanna?

Ta, którą Ashe przedstawił jako Ynlan, a której oczy zwabiły i niemal uwięziły Rossa Murdocka, skinęła lekko alabastrową dłonią. Z tego gestu, podobnie jak ze wzmianki o mięsie czarownic, Ziemiańcin wyczytał gorzki przesycający to pomieszczenie i zarazem będącą elementem wielkiej tajemnicy.

- Lud Foanna to dzisiaj trzy osoby. Trzy osoby od wielu, wielu lat, człowieku z innego świata i czasu. Niebawem, jeśli wrogowie odniosą sukces, nie będzie ich w ogóle, ponieważ zginą!

- Ale... - Ross wciąż nie mógł dojść do siebie. Wiedział ze słów Loketha, że zgodnie z wyobrażeniami Łowców, Foanna byli nielicznym ludem, stara rasą na wymarcium. Mimo to niełatwo było uwierzyć, że pozostały zaledwie trzy kobiety.

W odpowiedzi na swoje nieme pytanie usłyszał wyraźny i stanowczy głos:

- To prawda, zostałyśmy tylko trzy, lecz nasza moc wciąż jest z nami. A czasami moc wraz z upływem lat krzepnie i staje się jeszcze silniejsza. Teraz wychodzi na to, że czas przestał nam służyć, umocnił naszych wrogów. A więc opowiedz nam swoją historię. Czemuż to Tułacze pragną zjednoczyć się z Foanna? Niczego nie ukrywaj, młodszy bracie!

Ross zdał wyczerpującą relację z tego, co zobaczył. Przekazał też informacje, które dwa delfiny wyciągnęły od więźniów pojmanych w Kyn Add. Kiedy skończył, Foanna zamarły w bezruchu, trzymając się za ręce. Chociaż stały o krok od Rossa, doznał uczucia, jakby wycofały się z tego świata i czasu. Ich nieobecność wydawała się do tego stopnia absolutna, że przełamał strach i zadał Ashe'owi jedno z wielu pytań, którego dręczyły.

- Kim one właściwie są? - Ross wiedział jednak, że powinien raczej zapytać, czym one są.

Gordon Ashe potrząsnął głową.

- Sam chciałbym wiedzieć. Może przedstawicielkami bardzo starej rasy, posiadającej wiedzę i środki odmienne od wszystkiego, z czym spotykaliśmy się przez stulecia? Każdy z nas słyszał o wiedźmach, współczesny człowiek jednak nie daje wiary legendom. Foanna są niczym ucieleśnienie legend. Jedno ci mogę obiecać: jeżeli wyzwolą całą posiadaną moc - zawahał się - wybuchnie taka wojna, jakiej ten świat, a może i żaden świat jeszcze nie widział.

- On ma rację - włączyły się znowu Foanna. - To prawda, a przynajmniej jedno oblicze prawdy. Tułacze słusznie uważają, że utrzymujemy na tym świecie pewną równowagę pomiędzy różnymi formami przemiany. Gdyby nasz ród był liczny jak niegdyś, ci najeźdźcy nawet by nas nie zaczepili. Ale zostałyśmy jedynie my trzy. Czy mamy prawo doprowadzić do katastrofy, która dotknie nie tylko naszych wrogów, ale także wielu niewinnych? Dość już krwi rozlano. Tych, którzy nam służą, nie będziemy więcej prosić, by ruszali do boju w celu, którego nie rozumieją. Same staniemy oko w oko z nieprzyjacielem. Zobaczymy, co potrafi. Życie podlega nieustannym zmianom, a kiedy forma zaczyna przeważać nad treścią, każda rasa może zginąć. Nie podejmiemy żadnej decyzji, póki nie sprawdzimy, jakie ręce przejmą przyszłe losy tej ziemi. Od tak stanowczego postawienia sprawy nie było odwołania.

- Gordoona, czeka nas dużo pracy. Zabierz ze sobą młodszego brata i zadbaj o jego potrzeby. Gdy wszystko zostanie przygotowane, nadejdziemy.

Jeszcze przed chwilą Ross stał na kobiercu z żywej trawy. Nagle... znalazł się w

normalnym pomieszczeniu z czterema ścianami, podłogą, sufitem i światłem płynącym od prętów umieszczonych w narożnikach. Aż sapnął.

- Mnie też zatkąło, gdy po raz pierwszy przez to przeszedłem - usłyszał głos Ashe'a. - Masz, napij się, zaraz przestanie ci się kręcić w głowie.

Ross ujrzał w dłoni przyjaciela pięknie rzeźbiony, różowy puchar w kształcie kwiatu. Zdołał jakoś unieść go do ust drżącą dłonią. Jednym haustem pochłoniął trzecią część zawartości. Smak napoju był cierpki i zarazem słodki, odświeżał usta i gardło, a w drodze do żołądka rozgrzewał całe ciało.

- Jak one to robią?

Ashe wzruszył ramionami.

- A jak robią sto rzeczy, które tu widziałem? Zostaliśmy teleportowani. Jakim cudem, nie mam większego pojęcia niż za pierwszym razem, kiedy mnie to spotkało. Z punktu widzenia postronnego obserwatora to nic innego tylko "magia" Foanna. - Usiadł na stołku i rozprostował długie nogi. - Inny świat, inne obyczaje... czasem dziwne i pomieszane. Nie widzę żadnego powodu, dla którego ich magia miałyby działać, a jednak działa. No dobrze, przyjrzałeś się naszej bramie? Można z niej jeszcze skorzystać?

Ross odstawił pusty kielich i usiadł naprzeciwko Ashe'a. Najzwięźlej, jak tylko mógł, streścił ich sytuację, wspominając pokrótce o wszystkim, co przydarzyło się jemu, Kararze i delfinom, odkąd wessała ich brama. Ashe nie zadawał pytań, lecz Ross znał ten wyraz twarzy: agent segregował i łączył w spójną treść fragmenty raportu młodszego kolegi. Gdy relacja dobiegła końca, wypowiedział tylko trzy słowa:

- Nie ma powrotu.

Tak wiele się wydarzyło w tak krótkim czasie, że Ross niemal zapomniał o zniszczeniu bramy - skoncentrował się na tym, co musiał dać z siebie nowym towarzyszą. Gdy teraz Ashe mu to uświadomił, wydało mu się to mało istotne wobec toczącej się walki.

- Ashe... Pamiętasz te pylony i puste, jałowe brzegi? Czy to oznacza, że Łysawcy zwyciężą?

- Skąd mogę wiedzieć? Nikt nigdy nie próbował zmienić biegu historii. Może to niewykonalne, ale gdybyśmy tak spróbowali? - Ashe wstał ze stołka i spacerował tam i z powrotem.

- Spróbowali czego, Gordoona?

Ross gwałtownie odwrócił głowę, Ashe przystanął. Obok nich stała jedna z Foanna. Jej włosy tańczyły wokół ramion, jakby powiew wiatru, wyczuwalny tylko przez nią, targał długie loki.

- Spróbowali zmienić bieg historii - wyjaśnił Ashe, przyjmując jej materializację ze spokojem kogoś, kto już nieraz był tego świadkiem.

- No tak, wy przecież podróżujecie w czasie. Teraz wam się wydaje, że ten nasz nieszczęsny świat może dokonać wyboru, którego pana powitać? Nie wiem, Gordoona, czy przyszłość można zmienić i czy mądrze jest próbować. Chociaż... No cóż, chyba powinniśmy obejrzeć naszych nieprzyjaciół, zanim wstąpimy na właściwą ścieżkę. Pora na nas. Młodszy bracie, jak planowałaś opuścić to miejsce po spełnieniu swojej misji?

- Chciałem wrócić przez morskie wrota. Na nabrzeżu schowałem zapasowy sprzęt do nurkowania.

- I powiadasz, że czekają na ciebie okręty Tułaczy?

- Tak.

- W takim razie skorzystamy z twojego sposobu, skoro zatoneły nasze kutry.

- Jest tylko jeden zapasowy skrzelopak. W dodatku gdzieś tam pływa podwodna łódź Łysawców.

- Doprawdy? Wobec tego udamy się tam inną drogą, chociaż to chwilowo osłabi naszą moc. - Przechyliła lekko głowę, jakby nasłuchiwała. - Świetnie! Nasi ludzie są już w przejściu, którym dojdą w bezpieczne miejsce. Choćby ci z zewnątrz nie wiadomo co znaleźli po zdobyciu fortecy, niewiele im to pomoże w zrealizowaniu planów. Sekrety Foanna są niedostępne dla oczu szperaczy, choćby nie wiem jak bardzo próbowali je zrozumieć! Istnieje wiedza, którą tylko pewne typy umysłu potrafią pomieścić i spożytkować, a dla innych pozostanie na wieki niezgłębiona. No, dobrze...

Wyciągnęła rękę i dotknęła czoła Rossa.

- Pomyśl o okręcie Tułaczy, młodszy bracie, zobacz go w wyobraźni! Zobacz go wyraźnie, dokładnie, tak, żebym i ja go zobaczyła.

Ukazała mu się korweta Torgula. Umiał ją opisać ze szczegółami, których, zdawałoby się, nie powinien pamiętać. Pokład pograżony w ciemności nocy, mętne światelko na maszcie. Pokład...

Ross wydał zduszony okrzyk. To już nie była wyobraźnia, widział to na jawie! Machnął ręką w odruchowym geście protestu i uderzył boleśnie o drewno. Stał na pokładzie korwety!

Usłyszał za plecami okrzyk zdziwienia. Ashe był razem z nim, a także trzy postacie w płaszczach. Foanna. To prawda, miały własną drogę i właśnie ją przemierzyły.

- Ross... - Zbliżył się do nich Vistur z niebotycznie zdumioną miną. - Foanna... - dodał szeptem. To samo powtarzali pozostali członkowie załogi, otaczając ich kręgiem.

- Gordon! - Karara przecisnęła się między dwoma Hawaikańczykami i przebiegła pokład. Złapała agenta za obie ręce, żeby się upewnić, że jest żywy i obecny ciałem. Potem spojrzała na Foanna.

Na twarzy Polinezyjki pojawił się wyraz niezdecydowania, strachu i ciekawości, do których doszedł rosnący podziw. Stojąca pośrodku Foanna wyciągnęła spod płaszcza różdżkę z iskrzącą gałką. Karara puściła ręce Ashe'a i ostrożnie postąpiła dwa kroki do przodu. Gałka wisiała tuż przed nią na wysokości piersi. Dziewczyna uniosła dłonie i przysunęła je blisko gałki, ale jej nie dotknęła. Iskry padały na jej ręce, ale ona jakby tego nie zauważała. Uniosła wyżej obie dłonie, złączone na kształt kielicha, jakby niosła niewidzialny skarb. Na koniec klasnęła cicho, wypuszczając to, co miała w rękach.

Tułacze westchnęli chórem. Karara okazywała absolutną pewność siebie; widocznie wiedziała, co robi i dlaczego. Ross usłyszał, jak Ashe wciąga głośno powietrze do płuc. Dziewczyna odwróciła się i stanęła obok Foanna.

- Wielkie Istoty przybywają w pokoju - oznajmiła. - Z ich woli żadna krzywda nie spotka tego okrętu ani nikogo, kto nim żegluje.

- Czego chcą od nas Wielkie Istoty? - Torgul przybliżył się, ale nadal zachowywał bezpieczny dystans.

- Porozmawiać w sprawie waszych więźniów.

- Proszę bardzo. - Kapitan pochylił głowę. - Wola Wielkich Istot jest naszą wolą. Niechaj będzie, jak chcą.

## **15. POWRÓT NA POLE WALKI**

Ross leżał wsłuchany w miarowy oddech dobiegający z drugiego końca kajuty. Po obudzeniu przeszedł bezpośrednio do pełnej świadomości, jak zawsze na służbie. Nawet nie drgnął. Ashe nadal spał.

Ashe, o którym myślał, że zna go na wylot, który zastępował rodzinę Rossowi Murdockowi, samotnikowi... Minęły lata... chyba cztery, odkąd tak naprawdę się zaprzyjaźnili.

Odwrócił głowę, ale nie mógł dostrzec szczupłej sylwetki i twarzy o spokojnym, kontrolowanym wyrazie. Ashe nadal wyglądał tak samo, ale... Ross doznawał uczucia straty, wywołującego w nim żal i gniew. Co zrobiły Gordonowi te trzy? Opętały go? Przyszły mu do głowy historie, które Ziemianie już wiele wieków temu uznali za czystą fantazję. Czy to możliwe, że jego własny świat też miał kiedyś swoich Foanna?

Ross zmarszczył czoło. Nie umiał rozgryźć ich "magii" i przypisać jej naukowej nazwy: hipnotyzm, teleportacja... to nie to. Foanna osiągały imponujące rezultaty. Przypomniał sobie nagle ostrzeżenie dane przez Foanna Tułaczom przed kilkoma godzinami. A więc ich zdolności były jednak ograniczone. Zużywały psychiczną i fizyczną energię, czyli mogły się zmęczyć i ulec pewnym barierom.

Po raz kolejny Ross zastanawiał się nad sprawą tych barier. Karara potrafiła nawiązać kontakt z tymi istotami i jeśli nawet nie odczytywała bezpośrednio ich myśli, porozumiewała się z nimi łatwiej nawet od Ashe'a. Talent, dzięki któremu dziewczynę połączyła więź z delfinami, przybliżył ją teraz do Foanna. Ashe i Karara umieli przeniknąć do ich kręgu, ale nie on, Ross Murdock. Gnębiło go to i powodowało poczucie odosobnienia, a także niższości.

- Nie pójdzie nam łatwo.

Ashe najwyraźniej nie spał.

- Co one mogą zrobić? - odpowiedział Ross pytaniem.

- Nie wiem. Jakoś mi się nie chce wierzyć, by zdołały teleportować wojsko do bazy Łysawców, czego oczekuje Torgul. Żołnierzom nie wyszłoby chyba na dobre, gdyby po dotarciu na miejsce zostali zdziesiątkowani przez nieznaną broń.

Słowa Ashe'a uspokoiły Rossa. Poznawał ten ton. Ashe analizował problem, chętny jak dawniej do przedyskutowania wszelkich trudności.

- Nie, frontalny atak to złe rozwiązanie. Zbyt mało wiemy o wrogu. Jedna rzecz mnie zastanawia: dlaczego Łysawcy tak nagle przyspieszyli tempo?

- Skąd przypuszczenie, że w ogóle przyspieszyli?

- No cóż, zgodnie z tym, co tu słyszałem, upłynęły trzy lub cztery tutejsze lata, odkąd po raz ostatni jakieś urządzenia nie z tej ziemi przeniknęły do tubylczej cywilizacji...

- Masz na myśli instalacje w rodzaju wabika zamontowanego na rafie w pobliżu zamku Zahura? - Ross przypomniał sobie opowieść Loketha.

- Te i podobne. Na przykład kto dokonał udoskonalenia silników napędzających okręty Tułaczy? Torgul twierdzi, że są przekazywane z floty do floty, ale nikt nie jest pewien, gdzie to się zaczęło. Łysawcy rozpoczęli swoje dzieło z rozwagą, teraz jednak szybko się uwijają. Wszystkich ataków na stacje dokonali niedawno. Pod byle pretekstem w ciągu jednej nocy rozwalili cytadelę Foanna. Skąd ten pośpiech po ostrożnym początku?

- Może doszli do wniosku, że pokonanie tubylców to bułka z masłem i że nie muszą się obawiać oporu? - podsunął Ross.

- Niewykluczone, że ich hardość zamieniła się w arogancję, kiedy nie napotkali godnych siebie przeciwników. Z drugiej strony możliwe, że coś ich pogania i grunt im się pali pod nogami. Gdybyśmy poznali zastosowanie tych pylonów, moglibyśmy odgadnąć ich motywy.

- Chcesz spróbować zmienić przyszłość?

- To też brzmi arogancko. Poza tym czy potrafimy, choćbyśmy nawet chcieli? Nikt nie próbował tego na Ziemi. Skutki mogą być nieobliczalne. Nie do nas należy wybór.



- Jednego nie mogę zrozumieć - powiedział Ross. - Dlaczego Foanna opuściły cytadelę i pozostawiły ją na pastwę zdobywców? Co z gwardzistami? Czy i oni po prostu sobie poszli? - Usiłował wykrzyć każdą niestosowność w postępowaniu przedstawicielek obcej rasy.

- Większość z nich uciekła podziemnymi tunelami. Reszta rozbiegła się na wszystkie strony na wieść o zniszczeniu kutrów - odparł Ashe. - Ale dlaczego Foanna porzuciły swoją cytadelę, nie wiem. Same powzięły decyzję.

I znów odgrodziła ich niewidzialna bariera. Ross nie zamierzał jednak tym razem dać się spławić, zdecydowany przywołać Ashe'a do rzeczywistości.

- Ich twierdza to chyba pułapka, najlepsza na całej planecie! - Ta myśl była czymś więcej niż tylko prowokacją mającą przykuć uwagę Ashe'a; to była prawda! Idealna pułapka na Łysawców. - Jeszcze nie rozumiesz? - Ross usiadł na koi i postawił stopy na podłodze. - Nie rozumiesz? Jeśli Łysawcy wiedzą cokolwiek o Foanna, a założę się, że wiedzą i chcą się dowiedzieć całej reszty, nie omieszkają odwiedzić cytadeli. Nie zadowolą ich raporty z drugiej i trzeciej ręki, zwłaszcza składane przez tych dzikusów. Łowców Wraków. Mają tu łódź podwodną. Idę o zakład, że jej załoga właśnie plądruje fortecę!

- Jeśli polują na łupy - w głosie Ashe'a zabrzmiało rozbawienie - niewiele znajdą. Foanna mają lepsze zamki niż oni klucze. Sam słyszałeś, co powiedziała Ynlan; wszystkie ich sekrety pozostaną niezgłębione.

- Ale to jest przynęta, świetna przynęta! - argumentował Ross.

- Masz rację! - Ku uciechu Murdocka Ashe okazał wreszcie entuzjazm. - Gdyby tak dać Łysawcom do zrozumienia, że to, czego szukają, może kosztować ich tylko odrobinę więcej wysiłku albo odpowiednich narzędzi...

- Nie tylko płotki mogłyby wpaść do sieci! - Ross podchwycił tok myśli Ashe'a. - Jasne, można by w nią nawet złapać grube ryby kierujące całą operacją! Tylko jak urządzić pułapkę? Czy mamy na to czas?

- Pułapkę muszą zastawić Foanna. My wejdziemy na scenę, gdy zaskoczy sprężyna. - Ashe znów się zamyślił. - W tej chwili trudno wymyślić cokolwiek innego z szansami na powodzenie. Tylko że nic z tego nie wyjdzie bez zgody Foanna.

- Czas ucieka - przypomniał Ross.

- W porządku, zaraz się dowiemy. - Ciemna sylwetka Ashe'a pojawiła się na tle słabo oświetlonej zejściówki, gdy rozsunął drzwi kajuty. - Jeśli Ynyalda wyrazi zgodę... - Wyszedł, a Ross deptał mu po piętach.

Kobietom z ludu Foanna przydzielono na ich prośbę pomieszczenie na pokładzie dziobowym korwety, gdzie z płócien żagli utworzono rodzaj namiotu. Żaden z wystraszonych Tułaczy nie śmiał podchodzić zbyt blisko. Ledwie Ashe sięgnął do skrzydła namiotu, powitał go śpiewny głos:

- Szukasz nas, Gordoona?

- W ważnej sprawie.

- Masz rację. Myśl, która was tutaj sprowadza, warta jest rozważenia. Wejdźcie, bracia!

Po odwinięciu skrzydła na bok zobaczyli przed sobą skłębione pasma mgły? Światła? Pastelowych dymów? Ross nie umiałby określić, co właściwie widzi; jeśli nawet miał przed sobą Foanna, nie potrafił ich wypatrzeć wśród falujących włosów i ulotnych, wielobarwnych szat.

- A zatem przypuszczasz, młodszy bracie, że nasz dawny dom i skarbiec stał się teraz pułapką, w którą wpadną ci, którzy widzą w nas zagrożenie?

Ross nie okazał zdziwienia, gdy okazało się, że poznały jego pomysł, zanim któryś z

nich cokolwiek na ten temat powiedział. Wszechwiedza stanowiła jedynie cząstkę ich nadnaturalnych zdolności.

- Tak.

- Skąd ci to przyszło do głowy? Zapewniam cię, że żaden mieszkaniec wybrzeża nie wtargnie do najważniejszych części zamku, podobnie jak nikt nie sforsuje morskiej bramy, chyba że za naszym przyzwoleniem.

- A jednak ja przepłynąłem przez morskie wrota, a do zatoki wpłynęła łódź podwodna - przypomniał Ross z niejaką przyjemnością. Musiał im uświadomić, że umocnienia Foanna nie są nie do zdobycia.

- Prawdę mówisz, młodszy bracie, ale ty masz w sobie coś wyjątkowego, co jest zarówno twoją wadą, jak i tarczą. Prawdą jest także, iż w ślad za tobą do zatoki wpłynęła łódź podwodna. Pewnie chroni ją pole ochronne. Być może przybysze z gwiazd mają własne zabezpieczenia. Nie zdołają jednak dotrzeć do samego jądra, jeżeli nie otworzymy im drzwi. Czy twoim zdaniem, młodszy bracie, spróbują je wyważyć?

- Owszem. Mając świadomość, że tam się czegoś dowiedzą, na pewno spróbują. Co więcej, nie odważą się nie spróbować. - Ross nie miał wątpliwości. Dotychczasowe przygody z Łysawcami nie wystarczyły mu do pełnego zrozumienia ich pobudek, jednak sposób, w jaki rozprawili się z zespołem rosyjskich stacji czasowych, świadczył o ich gotowości do natychmiastowej walki z każdą groźbą.

Więźniowie zatrzymani w Kyn Add widzieli w ludzie Foanna swojego wroga, choć przecież Przedwieczni nie przeszkadzali kosmitom, gdy ci ingerowali w życie planety. Nasuwał się wniosek, że po zdobyciu fortecy Łysawcy zechcą wydrzeć wszystkie jej tajemnice.

- Pułapka z dobrą przynętą...

Ross próbował odgadnąć, która z Foanna była autorką tych słów. Falowanie wyblakłych kolorów i bezosobowe głosy wprawiały go w dziwne zakłopotanie. Domyślał się, że to tylko kostium sceniczny, służący do umacniania prestiżu wśród innych ras, z którymi miały do czynienia. Trzy samotne kobiety musiały osobliwą garderobą podkreślać swój autorytet.

- Ach, młodszy bracie, ty nas naprawdę uczynasz rozumieć! - Rozległ się śmiech cichy, ale łatwo rozpoznawalny.

Ross nachmurzył się. Nie doświadczał wprawdzie znajomego wrażenia, które powstawało w czasie telepatycznego kontaktu z delfinami, niewątpliwie jednak Foanna czytały przynajmniej niektóre jego myśli.

- Tylko niektóre - odpowiedziało mu jakby echo we mgle. - Nie wszystkie, jak w przypadku twojego starszego brata lub dziewczyny o umyśle dostrojonym do naszego. Ty jednak odślaniasz nam tylko strzępy myśli i wyłącznie intuicja pozwala nam złożyć z nich spójny wzór. Tymczasem trzeba obmyślić plan działania. A zatem znasz wroga i jesteś pewien, że zechce odszukać to, czego nie może znaleźć. I chcesz zastawić pułapkę. Ale oni przewyższają was uzbrojeniem, czy nie tak, młodszy bracie? Nikt nie kwestionuje waleczności Tułaczy, czy jednak mogą użyć mieczy przeciwko płomieniom i rąk w starciu z zabójcą, który walczy na odległość? Co więc pozostaje, Gordoony? Co przemawia na naszą korzyść?

- Jest jeszcze wasza broń - odparł Ashe.

- Owszem, nie jesteśmy bezbronni, lecz ta broń zbyt długo działała według jednego wzorca. Została dostrojona do możliwości innej rasy. Czy nasze umocnienia powstrzymały cię, Gordoony, kiedy usiłowałeś udowodnić, że jesteś tym, za kogo się podajesz? Czy zdołały

odepchnąć młodszego brata, kiedy pokonywał morskie wrota? Czy w takiej sytuacji możemy ufać, że zamkniemy drogę tym obcym istotom z odmiennymi mózgami? Nasze domysły muszą zostać poddane próbie, a wtedy być może przyjdzie nam poznać gorycz porażki. Kto wie, czy ryzykując wszystkim, wszystkiego nie stracimy?

- Trzeba i to brać pod uwagę - zgodził się Ashe.

- Powiadasz, że potwierdza to widok, jaki ujrzeliście podczas zagłądania w naszą przyszłość? Położyć wszystko na szali ze świadomością możliwej klęski, skazując przypuszczalnie na zagładę nie tylko siebie, ale i resztę tubylców... to poważny problem, Gordoan. Jednak pomysł z pułapką jest niezwykle kuszący. Rozważmy go, ale najpierw zapytajcie Tułaczy, czy zechcą wziąć udział w czymś, co może się okazać rozpaczliwym aktem szaleństwa.

Torgul przemierzał pokład rufowy, z dala od namiotu, gdzie przebywały Foanna, ale co chwila patrzył w tamtą stronę, podczas gdy Ross wyjaśniał mu dobre strony ataku.

- Uważasz, że ci zabójcy kobiet nie przestraszą się magii Foanna, tylko uprą się, by jej poszukać? I że wtedy będzie okazja schwytania ich przywódców?

- Sam słyszałeś, co więźniowie mówili, a właściwie myśleli. Tak, obcy zechcą odnaleźć ukrytą wiedzę, dzięki czemu będziemy mieć szansę, by ich wziąć do niewoli...

- Ale jak? - zapytał Torgul. - Nie jestem Ongalem, który dowodzi, że lepiej zginąć, wywierając krwawą zemstę na nieprzyjaciółach, niż brać ich żywcem do niewoli. Tylko czy potrafimy sprostać ich potędze?

- Proszę bardzo, sam zapytaj! - Ross skinął głową w stronę namiotu.

Zanim skończył mówić, na pokład wynurzyły się trzy owinięte w płaszcze Foanna i ruszyły przez śródokręcie. Torgul, jego oficerowie oraz dwaj agenci ruszyli im na spotkanie.

- Już to przemyślałyśmy. - Melodyjny zaśpiew, używany przez Foanna w każdej rozmowie, niósł się niczym pieśń na porannym wietrze. - Miałyśmy zamiar się wycofać i przeczekać cały ten zamęt, ponieważ jest nas mało, a to, co w nas najcenniejsze, warto jest chronić. Z drugiej strony, jaka korzyść wypływa z ochrony czegoś, czego nie można nikomu przekazać? Jeżeli naprawdę zobaczyłeś prawdę, starszy bracie - zakapturzone głowy zwróciły się w stronę Ashe'a - być może nie czeka nas żadna przyszłość. Tak czy inaczej, nas także krępują ograniczenia, Tułaczu. - Teraz mówiły bezpośrednio do kapitana. - Nie umiemy przenieść twoich ludzi do cytadeli wysiłkiem woli, na to potrzeba pewnych środków, do których dostęp został teraz zamknięty. Nawet my trzy musimy wtargnąć do środka tradycyjnym sposobem, a potem... Potem, być może, zacisną się oka naszej sieci!

- Aby przepłynąć korwetą przez wrota... - zaczął Torgul.

- Żadnych okrętów, kapitanie. Garstka wojowników pod wodą może pokonać wrota, ale na pewno nie statek.

- Ile mamy skrzelopaków? - zapytał Ashe. Ross policzył w pośpiechu.

- Jeden schowałem na brzegu. Jest jeszcze mój, Karary i Loketha... i jeszcze dwa...

- Aby minąć wrota - wtrąciła jedna z Foanna - my nie potrzebujemy waszego podwodnego sprzętu.

- Ty - zwrócił się Ross do Ashe'a - i ja ze skrzelopakiem Karary...

- On należy do mnie!

Ziemianie spojrzeli za siebie. Dziewczyna z Polinezji stanęła obok Foanna. Uśmiechała się lekko.

- To jest także moja wyprawa - powiedziała z przekonaniem. - Podobnie jak Tino-rau i Tauy. Czy nie mam racji, o Córki Alii tego świata?

- Masz, Morska Panno. Istnieje rozmaita broń. Nie każda pasuje do dłoni wojownika, nie każdą można wymachiwać z siłą męskiego ramienia. Tak, to również twoja wyprawa, siostrze.

Ross zdusił w sobie słowa sprzeciwu, akceptując niepodważalność postanowienia Foanna. Wyglądało na to, że skład grupy uderzeniowej miał kształtować się głównie według zachcianek trzech Foanna, a nie na podstawie doświadczenia osób wyszkolonych specjalnie do takich zadań. Ashe najwyraźniej skłonny był oddać im przywództwo.

Osobliwy oddział wskoczył do wody, gdy brzask malował niebo na różowo. Loketh, nieodłączny ostatnio towarzysz Ziemiań, tak zawzięcie dopominał się swojego udziału w wyprawie, że Foanna przychyliły się do jego prośb. Obok Rossa, Ashe'a i Loketha płynęły delfiny wraz z Kararą, a także Baleku, młody podoficer na okręcie Ongala, uznawany za najlepszego pływaka we flocie. Towarzyszyły im trzy smukłe sylwetki, sunące gładko pod wodą; w tym nowym środowisku, zupełnie tak jak w namiocie, ich kształty myliły wzrok. Przed nimi harcowały delfiny. Tino-rau i Taua szalały z dzikiej radości wokół Foanna, a kiedy wszyscy już znaleźli się w wodzie, pomknęły w stronę brzegu.

Ross płynął bez wysiłku, obok niego Ashe, na lewo Loketh, Baleku nieco z tyłu, a Karara na przodzie, jakby w daremnej pogoni za delfinami. Foanna płynęły w pewnym oddaleniu po lewej stronie Rossa. Naprawdę był to dziwny oddział szturmowy, zwłaszcza wobec niebezpieczeństw mogących czyhać u celu.

Nie wiedzieli, czy łódź podwodna w zatoce emitowała zabójcze promieniowanie, podobnie jak na Kyn Add. Jednak w takim wypadku ostrzegłyby ich delfiny.

Tego ranka morze było spokojne. Nad wodą nie snuła się mgła zasłaniająca cypel, gdzie stała twierdza Foanna. W świetle wschodzącego słońca słupy morskich wrót odbijały się wyraźnie na tle nieba. Ten sam bodziec, który zawsze pobudzał Rossa podczas misji, i teraz popychał go do działania, na przekór budzącemu wątpliwości przewodnictwu Foanna.

Kiedy mijali zanurzone w wodzie cokoły filarów bramy, nic nie zapowiadało grożącego niebezpieczeństwa. Ross polegał na swoim komunikatorze, a czułe urządzenie nie przekazało mu jak dotąd żadnego ostrzegawczego sygnału. Woda dziś była nieco cieplejsza niż podczas nocnego ataku na twierdzę. Tu i ówdzie pływały martwe morskie organizmy, skubane przez myśliwych z głębin.

Pozostawili filary daleko w tyle i wtedy Ross zdał sobie sprawę, że Loketh zmienia swoje miejsce w szeregu i wrywa do przodu. Za nim podążył Baleku. Dogonili Kararę i pomknęli dalej.

Ross zerknął na Ashe'a, potem na Foanna, ale nie zauważył niczego, co tłumaczyłoby zachowanie Hawaikańczyków. Po chwili jednak komunikator przekazał wiadomość od Ashe'a:

- Niebezpieczeństwo... Płyniemy za Foanna... W lewo...

Karara zmieniała właśnie kurs, by obrać wskazany kierunek. Tymczasem Loketh i Baleku wciąż zdążali ku przystani, gdzie przy nabrzeżu cumowały niegdyś zatopione kutry. Ashe minął Rossa, który niechętnie posłuchał rozkazu.

U podstawy klifu biegł płasko kamienny występ, pod nim ział mroczny otwór pieczary. Foanna płynęły bez wahania ku grocie, a w ślad za nimi Ross, Ashe i Karara. Kilka chwil później wyszli z wody. Wydrążone w skale stopnie pięły się w górę, w głąb ciemnej czeluści. Tino-rau i Taua wystawiły nosy nad powierzchnię i węszyły ostrożnie, nadając swoje sygnały. Karara pospieszyła z tłumaczeniem.

- Loketh i Baleku... - zaczął Ross, gdy nagle poczuł telepatyczne uderzenie potwornej złości. Spojrzał na Foanna, zaskoczony i trochę wystraszony.

- Nie przyjdą... teraz. - Zakończona gałąką różdżka wskazała na niknące w ciemności stopnie. - Nie przyjdzie nikt z ich plemienia, chyba że zwyciężymy.

- Co się stało? - zapytał Ross.

- Mieliście rację, całkowitą rację, ludzie z innego czasu! Niełatwo będzie przegnać tych natrętów. Zwrócili przeciwko nam jedną z naszych własnych broni. Loketh, Baleku i wszyscy ich współplemieńcy są niczym narzędzia w ręku władcy. Należą do wroga.

- A więc klęska już na samym początku? - zmartwiła się Karara.

Zalała ich kolejna fala nieprzejednanej nienawiści, zupełnie jakby była namacalną siłą.

- Klęska? Ależ skąd! Myśmy nawet nie zaczęły walczyć! Mieliście rację, stajemy w obliczu zła, z jakim trzeba się zmierzyć, choćbyśmy miały wszystko przy tym stracić! Teraz musimy zrobić to, czego nie podjął się nikt z naszej rasy od wielu, wielu pokoleń: musimy odryglować trzy zamki, otworzyć Wielkie Drzwi i poszukać Kustosza Tajemnej Wiedzy!

Różdżka błysnęła jasnym strumieniem światła. Foanna podążyły za świetlistą smugą, a troje Ziemian ruszyło ich śladami w nieznanne...

## 16. OTWARCIE WIELKICH DRZWI

Nawet nie zaduch od dawna zamkniętego przejścia denerwował Rossa i kazał Kararze chwycić dłonie mężczyzn, którzy szli po jej bokach; raczej przytłaczające brzemie niezliczonych lat. Ten miniony czas pętał im nogi, gdy maszerowali z wysiłkiem za Foanna. Dławiąca świadomość prastarej martwoty, odległej, straconej przeszłości, zatykała Ziemianom dech w piersiach.

Urywany oddech Karary przeszedł w szloch. Jednak dotrzymywała kroku Rossowi i Ashe'owi i uparcie brnęła naprzód. Ross nie ogarniał zmysłami tego miejsca. Mały fragment jego mózgu wciąż produkował pytania bez odpowiedzi. Pośród nich najczęściej powracało jedno: dlaczego przeszłość tak go tu przygniatała? Nieraz już podróżował w czasie, ale nigdy nie osaczyły go w ten sposób martwe i umierające lata.

- Cofamy się... - dobiegł Rossa ochryply szept Ashe'a.

- Brama czasu! - Uchwycił się kurczowo tego wyjaśnienia. Bramy czasu nie były mu obce, ale żeby Foanna używały jednej z nich...

- Innego typu - sprecyzował Ashe.

Słowa te jakby złamały zaklęcie, które pochłaniało Rossa niczym lotne piaski. Rozpoczął rozpaczliwą walkę, by nie dać się wciągnąć w magię tego miejsca. Jednak nie potrafił przebić wzrokiem otaczającej ich pustki i rozwiązać swoich wątpliwości. Stromy tunel oddalał ich od morza, ale dokąd naprawdę szli, nie sposób było powiedzieć. Dostrzegał migotanie Foanna, a ilekroć odwracał głowę, widział cienie swoich towarzyszy, dalej zaś nieprzenikniony mrok.

- To droga bogów, dawnych bogów, którzy nie mieli nigdy nic wspólnego z ludźmi. Niedobrze jest przemierzać szlaki bogów! - wyszeptwała Karara.

Jej strach udzielił się także Rossowi. Stawił czoło temu uczuciu, podobnie jak całe życie przezwyciężał wszelkie lęki. Nadal jednak czuł presję, teraz już nie minionych wieków, ale mocy wykraczającej poza jego zdolność pojmowania.

- To nie są nasi bogowie! - W głosie Rossa zabrzmiała nuta wyzwania, jakby w ten sposób próbował rozproszyć własne rozterki. - Nie ma mocy tam, gdzie nie ma wiary! - Z jakiego na w pół zapomnianego tekstu zaczerpnął te słowa? - Nie ma istnienia, gdzie nie ma wiary! - dodał. Zdziwił się, słysząc śmiech Ashe'a, w którym dzwięczała nuta hysterii.

- Żadnej wiary, żadnej mocy! - powtórzył starszy agent. - Wyłowiliście właściwą rybę, Ross! Nasi bogowie na pewno tu nie mieszkają, Karara, a ci, którzy tu przebywają, nie mają nad nami władzy. Tego się trzymaj, dziewczyno, tego się trzymaj!

Karara niespodziewanie zaczęła nucić:

*O bogowie morza, nieba i głusz leśnych,  
Gór wysokich i dolin,  
O boskie zgromadzenie,  
O starsi bracia obecnych bogów,  
O bogowie dawnych dni,  
O wy, co szepczecie i czuwacie w nocy,  
Owy z błyszczącymi oczyma,  
Zbudźcie się, ruszcie i zstąpcie,  
Wkroczcie na tę drogę, wkroczcie na tę drogę!*

Cichy najpierw głos nabierał stopniowo mocy; przeszła z rodzimego języka na angielski, jakby pragnęła podzielić się z towarzyszami swoim apelem. Pieśń wlatywała triumfalnie. Ross zauważył, że sam powtarza bezwiednie słowa: "Wkroczcie na tę drogę!"

Nie zniknął przygniatający ciężar przeszłości i tego, co w tej przeszłości tkwiło, a teraz wyciągnęło macki, by nimi zawładnąć. Umknęli jednak tym mackom. Wreszcie zaczęli widzieć coś wokół siebie. Mrok zaczął się rozpraszać, a oni ujrzeli otaczające ściany. Ross wyciągnął wolną rękę i potarł opuszkami palców szorstki kamień.

Po niedługim czasie ściany nagle się rozstały i znaleźli się w obszernym pomieszczeniu, którego granic nie było widać. To, co tutaj bytowało, promieniowało ogromną siłą. Zupełnie jakby potężny ciężar wisiał im nad głowami, by spaść i ich zmiażdżyć.

- Zbudźcie się, ruszcie i zstąpcie... - Błaganie Karary znów zniżyło się do szeptu; nuciła ochryple, jakby zaschło jej w ustach, a słowa, modulowane spierzchniętym językiem, wylatywały ze ściśniętego gardła.

Na posadzce świetliste wstęgi tworzyły ogniste wzory - zawile ornamenty i desenie. Ross oderwał spojrzenie od tych wzorów. Choć nic go nie ostrzegło, wiedział podświadomie, że niebezpiecznie jest się w nie wpatrywać. Paznokcie Karary wpiły mu się boleśnie w ciało. Ross zadowolony był z tego bólu, który pozwalał mu utrzymać kontakt z rzeczywistością i zachować poczucie własnej odrębności, a także uniknąć roztopienia się w mocy znacznie potężniejszej, ale i całkowicie obcej.

Linie wzorów pokrywały szczelnie kamienne płyty. Trzy Foanna, kołysząc się jakby od niewyczuwalnego wiatru, zaczęły tanecznym krokiem stąpać po tych ornamentach. Ziemianie stali blisko siebie. Wzajemny kontakt dodawał im sił.

Foanna płaśły wokół nich, teraz bez płaszczy - srebrzyste sylwetki na przemian to się zbliżały, to oddalały, podążając wzdłuż wymyślnych arabesek, po okręgu lub spirali docierając z obwodu do wnętrza. Żadne światło nie rozpraszało mroku, lśniły wyłącznie świetliste wzory na posadzce i srebrzyste postacie Foanna płynących tam i z powrotem.

Trzy tancerki niespodziewanie znieruchomiały i stanęły objęte w miejscu wolnym od wzorów. Ross zdumiony odbierał z ich umysłów zakłopotanie, zwątpienie, a nawet rozpacz. Powróciły wreszcie do Ziemi i stanęły z nimi twarzą w twarz, trzymając się za ręce.

- Za mało nas... Za mało... - rzekła stojąca pośrodku. - Nie możemy otworzyć Wielkich Drzwi.

- Ilu potrzebujecie? - Tym razem głos Karary brzmiał spokojnie. Przełamała obawy i odzyskała spokój ducha.

Dlaczego to zauważyłem? - zastanowił się Ross przelotnie. Czyżbym sam odczuł podobną ulgę?

Dziewczyna z Polinezji puściła ręce agentów i postąpiła krok w stronę Foanna.

- Może nas być czworo - powiedziała.

- Albo pięcioro. - Ashe stanął obok kobiet. - Jeśli się wam na coś przydamy.

Czy Gordon Ashe postradał zmysły? A może to wina sił wypełniających to miejsce? Mówił jednak trzeźwym, poważnym i najzupełniej zwyczajnym głosem. Młodszy agent zwilżył wargi; teraz jemu z kolei dokuczały zeschnięte usta. To nie była i nie mogła być jego rozgrywka. Jakby wbrew sobie dodał:

- Lub sześcioro...

Odpowiedź Foanna zawierała ostrzeżenie:

- Żeby nam pomóc, musicie odrzucić wszelkie tarcze, pozwolić waszym jaźniom zjednoczyć się ze wspólną siłą. Jeśli tak zrobicie, być może nigdy już nie będziecie tacy jak

dawniej. Zostaniecie odmienieni.

-Odmienieni...

Słowo to obudziło echa - nie wiadomo, czy w tym pomieszczeniu, czy też w wyobraźni Rossa. Nigdy dotąd nie podjął tak wielkiego ryzyka. Jego szansę zawsze zależały od działania, problemom przeciwstawiał siłę i spryt. Dzisiaj miał otworzyć drzwi wiodące ku siłom, z którymi on ani żaden z ludzi nie powinien się stykać, miał wystawić się na niebezpieczeństwo nie istniejące tam, gdzie broń i krzepkie ramię rozstrzygały między zwycięstwem a przegraną.

A przecież w gruncie rzeczy nie była to jego walka. Czy Ziemianie z przyszłości oddalanej o dziesięć tysięcy lat przejmowali się tym, co kiedyś zaszło na Hawaice? Musiał chyba oszaleć. Wszyscy oszaleli, dając się w to wciągnąć. Łysawcy i ich galaktyczne imperium - jeśli kiedykolwiek istniało, bo na ten temat Ziemianie mogli tylko snuć domysły - wyginęli na długo przedtem, nim jego własna rasa wyruszyła w kosmos.

- Jeśli z naszą pomocą osiągniecie swój cel, to czy zdołacie pokonać najeźdźców? - zapytał Ashe.

- Trudne pytanie - Foanna przerwała milczenie. - Wiemy tylko, że złożono tu wielką moc. Jest umieszczona poza kilkoma bramami w zamierzczłej przeszłości i możemy po nią sięgnąć tylko w razie najwyższej konieczności. Wiemy jednak również, że Zło Cienia rozrasta się z tego miejsca, a gdzie mrok zapada, ludzie przestają być ludźmi; choć zachowują ludzką postać, stają się ślepo posłusznymi, bezmyślnymi istotami. Na razie cień Cienia jest mały, ale pragnie urosnąć; taka jest bowiem natura tych, co go ożywili. Natknęli się przypadkiem na znajomą nam sferę i skazili ją. Ich moc czerpie soki z umiłowania władzy. Skoro już uczynili ją sobie poddaną, nie oprą się pokusie jej wykorzystania, bo jest to łatwe, a efekty powiększają chwałę... Mówiliście, że wy razem z innymi, którzy tak samo przemierzają ścieżki czasu, boicie się zmieniać przyszłość. A przecież podjęliśmy już kroki, by tę przyszłość zmienić. Jeśli nie dokończymy dzieła, źle to nam wróży.

- Nie macie innej broni? - zapytał Ashe.

- Tylko ta jest dość silna, by powstrzymać to, co zostało niebacznie uwolnione z pęt.

Ogniste linie płonęły na posadzce jasnym blaskiem. Kiedy Ross zamykał oczy, część wzorów nadal jarzyła mu się pod powiekami.

- Nie wiemy jak. - Rozwaga nakazała mu po raz ostatni wyrazić słowa sprzeciwu. - Nie umiemy tak się poruszać.

- Osobno nie, ale razem tak.

Srebrzyste postacie znów się zakołysały, rozwiewając mgłę włosów. Karara wyciągnęła ręce, a wtedy uniosły się smukłe palce jednej z Foanna i oplotły jej mocną, ziemską dłoń. Ashe zrobił to samo.

Rossowi wydawało się, że krzyknął, chociaż nie miał pewności. Karara zaczęła przechylać głowę w tym samym rytmie co partnerka; czarne włosy powiewały nad ramionami, rywalizując ze srebrnymi puklami Foanna. Ashe świadomie dostosowywał krok do tańczącej kobiety, która prowadziła go wzdłuż świecącej linii.

W tej chwili Ross uzmysłowił sobie, że już za późno na odwrót, że nie ma dokąd uciekać. Z wysiłkiem i wbrew sobie wyciągnął ręce, przerażony własną uległością. Nie mógł jednak odmówić pomocy. Czuł chłodny dotyk Foanna, nieoczekiwanie cielesny i materialny. Kiedy już uchwycił z westchnieniem jej obie ręce, zniknął gdzieś strach. Zamiast tego poczuł przyływ energii, możliwej do wykorzystania jako broń albo narzędzie w każdym przedsięwzięciu. Stopy najpierw tam... potem tu... Czyżby te wskazówki przenikały do niego z palców Foanna, a potem układ nerwowy przesyłał je do mózgu? Wiedział, gdzie należy



postawić każdy następny krok, gdy tak przeskakiwali wzdłuż linii ornamentów, swoimi ruchami dodając nowe nici do wzoru.

Cztery kroki do przodu i jeden w tył, do środka i na zewnątrz. Czy Ross rzeczywiście słyszał słodkie zawrodożenie, przypominające śpiewną mowę Foanna, czy tylko krew głośno pulsowała mu w żyłach? Do środka i na zewnątrz... Co się działo z innymi, nie wiedział. Dostrzegał wyłącznie swoją ścieżkę, dłoń zamkniętą w jego dłoni, srebrzysty cień u boku, z którym był teraz tak zespolony, jakby ich dwoje oplotła sieć Tułaczy.

Płomienne linie pod stopami dymiły krętymi pasemkami, falując jak włosy Foanna. Dym otulał ciało Rossa, wił się wokoło. Tańczyli w dymnym oprzędzie, z każdą chwilą gęstszym, aż Ross stracił z oczu towarzyszącą mu Foanna i o jej obecności przypominał mu tylko uścisk dłoni.

Pewna część Rossa trzymała się rozpaczliwie świadomości tego uścisku, stanowiącego niejako tarczę przed tym, co miało nadejść, więź między realnym światem a miejscem, ku któremu zdążał.

Jakimi słowami opisać to zjawisko? - zastanawiał się resztką umysłu, która uparcie pozostawała Rossem Murdockiem, agentem czasu z Ziemi. Odnosił wrażenie, że patrzy nie swoimi oczami, słyszy nie swoimi uszami; że używa innych zmysłów, lekceważonych przez jego rodaków.

Ta przestrzeń, po której krążyli, coś w sobie zawierała. Ale co? Czystą energię? Umysł Ziemianina próbował przypisać nazwę temu, co nazwy nie miało. W przebiegu wspomnień i świadomości zdołał przez ułamek sekundy coś zobaczyć. Czy to był tron, a na nim błyszcząca postać?

Padły niedosłyszalne pytania, przypuszczalnie także odpowiedzi, których nigdy nie zdoła zrozumieć. A może to tylko wybryk wyobraźni?

Przykucnął na zimnej posadzce ze zwieszoną głową, wyczerpany z sił i poczucia własnej wartości, które miał jeszcze przed rozpoczęciem tańców między symbolami. Wzory ciągle pełzały dookoła. Kiedy spoglądał na nie w skupieniu, zaczynała go boleć głowa. Był już bliski zrozumienia ich, ale ten wysiłek wyczerpał go zupełnie.

- Gordon?... - Nikt nie trzymał go za rękę. Był sam, sam pośród gorejących arabesek. Poczł bolesną, ostateczną samotność. Uniósł głowę i rozejrzał się błędnym wzrokiem w poszukiwaniu swoich towarzyszy. - Gordon! - Na swój błagamy okrzyk uzyskał wreszcie odpowiedź:

- Ross?

Ostatkiem sił zaczął na czworakach pełznąć w stronę, skąd dochodził głos, zatrzymując się raz po raz, by przysłonić dłonią oczy przed blaskiem i spojrzeć przez szczeliny między palcami w poszukiwaniu jakiegoś śladu Ashe'a.

Niespodziewanie zobaczył go, jak siedzi spokojnie z podniesioną głową, jakby czegoś nasłuchiwał. Policzki miał zapadnięte, a wzrok, tępy i przygasły, zdradzał ostateczne wycieńczenie. A jednak jego twarz miała pogodny wyraz. Ross podczołgał się bliżej i dotknął ramienia Ashe'a, by sprawdzić, czy to nie iluzja. Ashe uniósł rękę i zacisnął dłoń na palcach Rossa podobnie żelaznym uściskiem, jaki poprzednio łączył go z Foanna.

- Udało nam się... Udało nam się wspólnymi siłami... - powiedział Ashe. - Ale gdzie?... Dlaczego?...

Ross wiedział, że nie jemu zadano te pytania. W tej chwili nie dbał o to, gdzie byli i co zrobili. Liczyło się tylko to, że nie był już samotny, że znalazł Ashe'a.

Nadal nie puszczając Rossa, Ashe odwrócił głowę i zawołał w pustkę ozdobioną

błyszczącymi symbolami:

-Karara?

Podeszła do nich, ale nie jak Ross na czworakach, podupała na duchu i słaniająca się ze zmęczenia, tylko wyprostowana i pełna energii. Ciemne włosy falowały i spływały po jej ramionach - tylko czy nadal były ciemne? Wzdłuż kędziorów przeblyskiwały cętki światła, przydając włosom srebrzystego lśnienia, co upodabniało je do loków Foanna. I czy to wzrok płatał Rossowi figle, czy też Karara miała teraz jaśniejszą skórę?

Dziewczyna z uśmiechem wyciągnęła ręce, aby każdy z nich mógł ująć jej dłoń. Gdy Ross to zrobił, znów poczuł przypływ energii, jakiego doznał, puszczając się z Foanna w dziki taniec.

- Chodźcie, czeka nas mnóstwo pracy!

Ross nie mógł się mylić: w jej głosie pobrzmiwały śpiewne tony, właściwe dla Foanna. Widocznie przekroczyła jakąś granicę, co upodobiło ją do trzech obcych istot; była tylko bardziej ogorzalą i prawdopodobnie nie tak potężna. Czy to właśnie miały na myśli, kiedy ostrzegały ich przed zmianą, która mogła dotknąć każdego, kto zechce uczestniczyć wraz z nimi w rytualnym tańcu?

Ross przeniósł spojrzenie z dziewczyny na Ashe'a i wpatrzył się w niego przenikliwie. Nie, nie dostrzegał w Gordonie żadnej wyraźnej zmiany. On sam czuł się jak dawniej.

-No, chodźcie! - Karara, impulsywnie jak zawsze, postawiła ich na nogi i pociągała za sobą. Chyba wiedziała, dokąd iść, a więc obaj mężczyźni zdali się na jej przewodnictwo.

Nareszcie opuścili obcą, dziwną przestrzeń, by znaleźć się w otoczeniu normalnych skalnych ścian tunelu biegnącego w górę tak stromo, że musieli czepiać się wgłębien wyżłobionych w kamieniu.

- Gdzie idziemy? - zapytał Ross.

- Dokonać oczyszczenia - odpowiedziała Karara tajemniczo i przyspieszyła, ledwie muskając rękami kamienne ściany. - Pospieszcie się!

Zakończyli wspinaczkę i weszli do następnego korytarza, gdzie przez popękany mur wpadały osłepiające promienie słońca. Podobne przejście prowadziło do zamku Zahura.

Ross wyjrzał na dziedziniec przez pierwszą szczelinę. Nie zobaczył jednak zwykłej zamkowej krzątaniny, wszędzie panowała cisza, chociaż plac bynajmniej nie był opustoszały. Stali na nim uzbrojeni ludzie w hełmach. Ross rozpoznał uniformy żołnierzy Łowców Wraków; dwóch miało na sobie szare stroje służących Foanna. Stali w szeregach, nieruchomo, w grobowym milczeniu, jakby zostali zaczarowani i ustawieni do gry, w której pełnili rolę niemych, bezwolnych figur.

Ich bezruch budził lęk. Czyżby umarli, a mimo to ciągle stali?

- Idziecie czy nie? - Karara zniżyła głos do szeptu. Pociągnęła za sobą agentów.

- Co tu się... - zaczął Ross.

Ashe potrząsnął głową. Te szeregi zbrojnych, wydające się szykować do wymarszu, nie miały w sobie życia. Ci żołnierze nie mogli być żywi w ziemskim znaczeniu tego słowa!

Ross odsunął oko od szczeliny, gotów podążyć za Karara. Nie umiał jednak wymazać z pamięci obrazu martwych szeregów i zapomnieć przerażającej pustki, która czyniła te upiorne twarze bardziej nieludzkimi, bardziej obcymi niż oblicza Foanna.

## 17. MROCZNI W STARCIU Z CIENIEM

Korytarz zakończył się wąskim pomieszczeniem. Zagradzającej im drogę ściany nie wyciosano ze zwyczajnego kamienia: była to jednolita płyta, wyglądająca, jakby wykonano ją ze szkła z błękitnymi pręgami i bruzdami.

Tuż przed nią stały Foanna, znowu okryte płaszczami. Każda wysuwała przed siebie różdżkę. Wykonywały powolne, precyzyjne ruchy, przesuując różdżki śladem bruzd na płycie. Musiała to być bardzo ważna, wymagająca skupienia czynność. W górę, w dół, naokoło... Jak stopy płaśły przedtem w tańcu, tak teraz podrygiwały różdżki, nie pomijając żadnej linii.

- Już!

Stojąc w równej od siebie odległości, skierowały różdżki w jeden punkt na ziemi. Następnie uniosły je pionowo w górę i gwałtownie opuściły, czemu towarzyszył głośny huk.

Błękitne linie na płycie, wzdłuż których tak starannie prowadziły różdżki, pociemniały i zaczęły kruszeć. Szklana płyta zadrżała i pękła, rozlatując się na tysiące kawałków. I nagle wąskie pomieszczenie przeistoczyło się w galerię biegnącą nad obszerną komnatą.

Poniżej balkonu, na całej długości sali, porozwieszano na ścianach szeregi owalnych lustrzanych dysków. Ustawione pod różnymi kątami, odbijały światło - świetliste snopy skierowane przez maszynę, której metalowa obudowa i wystające anteny dziwnie nie pasowały do tego miejsca.

Trzy różdżki Foanna jeszcze raz wzniosły się w powietrze. Tym razem z gałek skierowanych na salę nie sypnęły się iskry, ale wypłynęły silne strumienie światła; niebieskie światło ciemniało, kierując się w dół, aż nabierało niemal materialnego wyglądu ostrych włócznie.

Kiedy strumienie trafiały w najbliższe lustro, te natychmiast pokrywały się siatką pęknięć i rozpryskiwały. Potłuczone odłamki padały z brzękiem na galerię. Na końcu sali, tam gdzie stała aparatura, coś zaczęło się dziać. Po chwili z kątów wybiegły postacie Łysawców. Ross krzyknął ostrzegawczo, bo zobaczył, że kosmici wznoszą swoje tuby i celują nimi w balkon, na którym stały Foanna.

Ogień pomknął z hukiem i z szybkością błyskawic i smagnął galerię. Kiedy włócznie światła napotkały lance ciemności, silny blask oślepił Rossa, a grzmot zdawał się rozdzierać świat na dwoje.

Ziemianin otworzył oczy, lecz zamiast ciemności ujrzał ostre światło. Oszołomiony przyłgnął do twardego podłoża, na którym leżał twarzą w dół. Jednak nie sposób było uciec przed oślepiającym blaskiem i przeraźliwym łoskotem. Nagle poczuł, jak posadzka dygoce pod nim, jakby miała rozpaść się na kawałki. Nie miał już ochoty ruszać się z miejsca. Mógł tylko leżeć i czekać. Nie wiedział, co dokładnie się dzieje. Gdzieś obok wrogie siły toczyły zażarty bój; jedna drugiej pragnęła odebrać moc, dążąc do panowania. Gra promieni przywodziła na myśl krzyżujące się, świszczące szable. Ross przystoził ramieniem oczy, by umknąć przed nieznośnym widokiem zadawanych i parowanych ciosów. Dygotał cały w takt huraganowych wyładowań energii. Leżał ogłupiały, skołatany, niczym człowiek przygnieciony ciężkim głazem.

Skończyło się to jednym straszliwym grzmotem i eksplozją pyłu. Nie wiadomo, czy trwało dni, czy godziny? Czas biegł w oderwaniu od tych wydarzeń. Teraz Ross leżał w ciszy, za którą tęskniło jego ciało. Niebawem poczuł powiew wiatru na twarzy, wiatru pachnącego

morską solą.

Otworzył oczy i ujrzał nad sobą skrawek zachmurzonego nieba. Dźwignął się na drżących łokciach. Nie otaczały go już potężne ściany, tylko poszarpane resztki murów, jak pokruszone zęby w szczęce kościotrupa. Otwarte niebo, ciemne obłoki, siąpiący deszcz.

- Gordon? Karara? - Ross mógł wydobyć z gardła tylko zdławiony szept. Zwilżył wargi i spróbował jeszcze raz: - Gordon!

Chyba dobiegł go jęk. Ross podczołgał się ku niszy między dwoma zwalonymi kamiennymi blokami. Zobaczył płaszcz jednej z Foanna, rozłożony na ocalałym kawałku posadzki. Obok, we wnęce, dostrzegł Ashe'a; postać w płaszczu wtulała się w jego ramię. Gordon na pół podtrzymywał, na pół obejmował Foanna.

- Ynvalda! - odezwał się Ashe stanowczo. Foanna poruszyła się i uniosła rękę w szerokim rękawie.

Ross kucnął obok nich.

- Ashe... Ross... - usłyszał znajomy głos.

Odwrócił głowę. Karara podeszła bliżej, uważnie stawiając kroki. Ręce wyciągała przed siebie, oczy miała szeroko otwarte, niewiążące. Ross wstał z trudem i ruszył jej na spotkanie. Niegdyś twarde podłoże teraz wydawało się pod nim kołysać i przechylać; musiał stawiać nogi z najwyższą ostrożnością. W końcu zacisnął palce na ramionach dziewczyny i przyciągnął ją do siebie, by mogli się wzajemnie podeprzeć.

- Jak Gordon?

- Jest tu z nami. A co z tobą?

- Chyba wszystko w porządku - powiedziała słabym głosem. - Foanna... Ynlan... Ynvalda... - Wsparta na jego ramieniu, spróbowała się rozejrzeć.

Miejsce, które kiedyś było wąskim pomieszczeniem, potem galerią, w tej chwili wyglądało jak grzęda nad bezdenną przepaścią. Zniknęła sala z owalnymi lustrami; pograżyła się w otchłani, której głębokość pozostawała zagadką. Pod nimi kłębiła się gęsta para, jakby gdzieś na dole, nad ogniem, wisiał olbrzymi kocioł wrzątku.

Karara krzyknęła, więc Ross czym prędzej odsunął ją od krawędzi. Zdażył już pozbierać myśli; teraz wypatrywał jakiejś możliwości zejścia z tego niepewnego tarasu. Nie było widać śladu po pozostałych Foanna. Czyżby zostały wessane przez piekło, które same stworzyły, kierując energię na aparaturę Łysawców?

- Ross, popatrz! - krzyknęła Karara, wznosząc do góry ramię. Agent zadarł głowę.

Ku posepnym, zwiastującym burzę chmurom wzleciał sferyczny obiekt, niby bańka usiłująca wypłynąć na powierzchnię wody, zanim pęknie. Z ruin cytadeli wystartował statek Łysawców! A zatem kilku nieprzyjaciół przetrwało próbę sił.

Obiekt był niewielki, w ocenie Rossa wyglądał na patrolowiec używany do lotów w atmosferze. Wzniósł się i szybko pomknął w głąb ładu, uciekając przed nadchodzącą burzą. Po paru sekundach znikł im z oczu. Tam, w górach, najeźdźcy mieli podobno swoją bazę. Wycofywali się? A może lecieli po posiłki?

- Łysawcy? - zapytała Karara.

- Owszem.

Przejechała dłonią po twarzy, rozmazując na policzkach kurz i brud. Dalej padał deszcz, więc Ross zaprowadził ją do niszy dającej schronienie Ashe'owi i Ynvaldzie. Zakapturzona postać siedziała na ziemi, nadal ściskając w garści różdżkę, teraz na wpół spaloną.

Gordon przyjrzał im się uważnie, jakby po raz pierwszy uświadomił sobie ich obecność.

- Przed chwilą statek Łysawców odleciał w głąb ładu - poinformował go Ross. - Nie widzieliśmy Foanna.

- Odeszły, by zrobić, co trzeba - oświadczyła towarzyszką Ashe'a. - A więc niektórzy wrogowie uciekli. Cóż, dostali nauczkę, by nie grzebać w cudzych urządzeniach. Ach, jakże wiele przepadło i już nie powróci! Nigdy nie powróci...

Bawiła się uszkodzoną różdżką, oglądała ją ze wszystkich stron, na koniec wyrzuciła. Pręcik pofrunął łukiem prosto do kotła pełnego pary, gdzie dawniej znajdowała się sala. Chłodny, wilgotny podmuch owiał lekko ubranych Ziemian.

Ashe pomógł wstać Foanna. Obróciła się powoli dokoła, omiatając smutnym wzrokiem ruiny.

- Pokruszone kamienie nie mają już wartości - stwierdziła ponuro. - Weźcie się za ręce, bracia i siostry, pora stąd odejść.

Karara chwyciła prawą dłoń Rossa, Ashe ujął jego lewą rękę, po czym obaj spleli dłonie z Ynvalda. Nagle znaleźli się w zupełnie innym miejscu - na dziedzińcu, gdzie w strugach ulewnego deszczu leżały bezwładne ciała. Wśród tych ciał wędrowały pozostałe Foanna; pochylały się i badały leżących. Mniej więcej w jednym przypadku na trzy przeprowadzały krótką konsultację, a następnie dotykały różdżką rozmaitych części ciała ofiary. Kiedy kończyły, człowiek zaczynał dawać oznaki życia.

- Ross! - Spoza zburzonej ściany wypełznął Hawaikańczyk Baleku, już bez zbroi gwardzistów. Nie miał też skrzelopaka, płetw ani pasa nurka. Przez jego policzek biegła długa, krwawiąca rana, lewe ramię przyciskał do ciała i podtrzymywał zdrową ręką.

- Baleku!

Tułacz stanął niezgrabnie na chwiejnych nogach. Ross przytrzymał go, ratując przed upadkiem.

- Co z Lokethem? - zapytał Ziemianin.

- Zabrali go mordercy kobiet - zdołał wykrztusić Tułacz, kiedy Ross powoli prowadził go do miejsca, gdzie Foanna zbierały tych, których dało się ożywić. - Chcieli się dowiedzieć... - Baleku z wielkim trudem wypowiadał słowa. - Chcieli wiedzieć... skąd przyплыliśmy... skąd wzięliśmy sprzęt...

- A więc teraz, jeśli Loketh im wszystko wyśpiewa, będą już o nas wiedzieli. - Ashe pomagał Rossowi unieruchomić w łódkach złamane ramię Tułacza. - Ilu ich było, Baleku?

Tułacz wolno pokręcił głową.

- Nic nie wiem na pewno. To było... jak sen. Przepląwałem przez morskie wrota, a potem znalazłem się nagle gdzie indziej. Wszędzie dokoła mnie czekali ludzie z gwiazd. Pokazali mi nasze pasy i sprzęt, ciekawi, kto je nam dał. Loketh leżał jakby pogrążony w głębokim śnie; nie obudzili go, gdy ze mną rozmawiali. Nagle coś strasznie huknęło i zatrzęsa się ziemia, błyskawica przeleciała w powietrzu. Dwaj mordercy kobiet wybiegli zaraz na zewnątrz, a wszyscy inni ganiali w kółko. Podnieśli Loketha i zabrali go ze sobą, a razem z nim cały sprzęt do nurkowania. Zostałem sam, tyle że nie dałem rady się ruszyć, jakby schwytali mnie w niewidzialną sieć... Coraz częściej błyskało. Nagle w progu stanął jeden z zabójców kobiet. Gdy tylko uniósł rękę, zaraz mogłem ruszać nogami, ale musiałem za nim iść. Minęliśmy salę i wyszliśmy na dziedzińiec pełen ludzi, którzy ani drgnęli, chociaż padały na nich kamienie z murów i trzęsła się ziemia. .. - Baleku mówił coraz szybciej, słowa zlewały się. - Ten, który ciągnął mnie za sobą siłą woli, wrzasnął i przycisnął ręce do głowy. Biegał tam i z powrotem, potrącał stojących ludzi, raz nawet wpadł na ścianę, jakby stracił wzrok. Potem znikł i znów byłem sam. Spadało coraz więcej kamieni, a jeden uderzył mnie w ramię. Wtedy

upadłem i leżałem, dopóki nie nadeszliście.

- Spośród tak wielu, tylko kilku... tylko kilku... - Jedna z Foanna stanęła obok; deszcz spływał po jej płaszczu strumieniami. - Dla nich nie było już ratunku. - Wskazała na rzędy tych, których nie udało się ożywić. - Zginęli beznadziejną śmiercią. Równie dobrze mogliby natrzeć na zbrojne zastępy z rękami związanymi na plecach! Dokonałyśmy wielkiego zła.

Ashe potrząsnął głową.

- Owszem, dokonano się zło, lecz ty go nie szukałaś, Ynlan. Ci, którzy tak beznadziejnie zginęli, to niewiele w porównaniu z rzeszą przyszłych męczenników. Nie zapominaj o rzezi w Kyn Add i w innych stanicach, gdzie z nieznanymi przyczynami zabijano kobiety i dzieci.

- O Wielka Pani... - Baleku usiłował niezdarnie podnieść się do pozycji siedzącej, więc Ross pospieszył mu z pomocą i objął go ramieniem. - Ta, dla której zrobiłem czarę narzeczeństwa, padła ich łupem w Kyn Add, a wraz z nią wiele innych kobiet. Jeśli mordercy nie zostaną wybici do nogi, zniszczą resztę stanic. Druhowie Cienia posługują się magią, która przyciąga ludzi na pewną zgubę. O Wielka, ty władasz mocą; każdy wie, że wiatry i fale spieszą na twoje wezwanie. Użyj teraz tej mocy! Lepiej już polec w walce ze znanym wrogiem niż dać się opętać przez zaklęcie, jakim ci zabójcy gnębili tu ludzi!

- Tej jednej broni z pewnością już nie użyją. - Ynvalda powstała z kamiennego bloku, na którym dotąd siedziała. - A była jedną z najgroźniejszych. Unieszkodliwienie jej kosztowało nas mnóstwo energii. Główna baza ludzi z gwiazd nie leży na wybrzeżu, tylko w głębi lądu. Zostaną ostrzeżeni przez tych, którzy stąd uciekli. Wiatry i fale służyły nam zawsze w przeszłości, ale niewykluczone, że tym razem natrafiłyśmy na kogoś, kto przewyższa nas mocą. Tylko za to... - wskazała szerokim gestem ruiny cytadeli i zabitych - ..za to upomnimy się o zapłatę, której wysokość same określimy!

Nie wiadomo, czy Foanna naprawdę miały władzę nad pogodą, w każdym razie ich także nie oszczędzała ulewa. Oszołomionych, rannych tubylców sprowadzono z dziedzińca do podziemnych korytarzy.

Z wyjątkiem tych uratowanych nie został nikt z oddziałów Łowców wcześniej oblegających twierdzę. Niebawem zaczęli jednak powracać ci, którzy od pokoleń służyli Foanna. Otworzono morskie wrota i korwety Tułaczy zakotwiczyły w zatoczce poniżej zburzonych murów.

Wątle to były siły, na dodatek źle wyposażone do walki z Łysawcami. Wśród gruzów odnaleziono pięć ciał gwiazdnych ludzi, ale ich statek jednak odleciał, by ostrzec bazę. Zdaniem Rossa, przewaga nadal leżała po stronie najeźdźców. Hawaikańczycy natomiast nie chcieli przyjąć do wiadomości, że nie mają dużych szans na zwycięstwo. Ledwie zelżał napór burzy, zaraz korweta Ongala obrała kurs na pomoc, ku innym stanicom Tułaczy. Z tym samym posłannictwem Afrukta wypłynął na południe. Część Łowców uwolniono, żeby zanieśli swoim panom słowa przestrogi. Ziemianie zachodzili w głowę, jak duże siły można zebrać takimi sposobami i czy będą one umiały skutecznie walczyć.

Karara zniknęła razem z Foanna, by przeszukać komory wydrążone w skale pod cytadelą. Ashe i Ross zostali z Torgulem i jego oficerami, próbując uporządkować chaotyczne informacje.

- Musimy dokładnie wiedzieć, gdzie obcy mają swoją siedzibę - oznajmił Torgul, choć dla wszystkich było to oczywiste. - Przypuszczalnie w górach, dokąd latają podniebnymi okrętami. - Rozłożył mapę. - W taki sposób biegną łańcuchy gór na tej wyspie. Maszerujące tędy wojsko zostałoby dostrzeżone z wysoka. Poza tym gór jest mnóstwo. Której szukamy? Upłynie wiele dziesiątków dni, zanim znajdziemy to miejsce, podczas gdy oni zawsze będą

wiedzieli, gdzie jesteśmy. Będą nas cały czas obserwowali i przygotowują się na nasze nadejście...

Ross spojrział z uznaniem na Torgula, który miał dar szybkiego docierania do sedna sprawy.

- Masz jakiś pomysł, kapitanie? - zapytał Ashe.

- Tutaj płynie taka jedna rzeka - rzekł Torgul w zamyśleniu. - Być może z przyzwyczajenia biorę pod uwagę wodę, bo jestem kapitanem statku. Tak czy owak, nasze korwety mogłyby dopłynąć aż tutaj. - Wskazał palcem. - Ciągną się tu jednak ziemie Glicmasa, a to dzisiaj najpotężniejszy Łowca Wraków. Często z nami walczy. Wątpię, czy zdołamy go namówić...

- Glicmas? - przerwał Ross. Gdy spojrzeli pytająco, powtórzył im opowieść Loketha o władcy Łowców, który usłyszał "głos z góry" i tą drogą zdobył urządzenie do ściągania okrętów na rafy, dzięki czemu został zarządcą prowincji.

- A więc to tak! - wykrzyknął Torgul. - Cień z gór rozsiewa wokół zło! W tych okolicznościach nie powinniśmy chyba przekonywać Glicmasa, by pomagał nam w napaści na tych, którzy wywyższyli go ponad jego współplemieńców. Należy się raczej spodziewać, że wystąpi przeciwko nam.

- Jeśli nie popłyniemy statkami w górę rzeki - Ashe studiował mapę - mały oddział lub oddziały mogłyby pomaszerować lądem i gdzieś tutaj, na wyżynie, dotrzeć do strumienia.

Torgul popatrzył na mapę z posępną twarzą.

- Nie wydaje mi się. Ludzie Glicmasa wysledzą każdy oddział, zwłaszcza na otwartej przestrzeni. On nie zechce dzielić się sekretami z innymi.

- A co ty na to, gdyby to był oddział Foanna? Kapitan podniósł oczy na Ashe'a.

- Bałby się im przeszkadzać, to nie ulega wątpliwości. Jeszcze nie dorósł do tego, by chwycić za miecz przeciwko nim. Tylko czy Foanna pójdą?

- Jeżeli nie Foanna, to ludzie przebrani w ich szaty - oświadczył Ashe dobitnie.

- Ludzie przebrani w ich szaty? - powtórzył jak echo Torgul z niepewną miną. - Żaden człowiek nie włoży szaty Foanna, z miejsca padłby trupem pod wpływem ich mocy. Niech Foanna poprowadzą nas osobiście. Chętnie za nimi podążymy, bo będą nas wspierać swoją magią.

- Jest jeszcze coś - dodał Ross. - Łysawcy mają skrzelopaki odebrane Baleku i Lokethowi, poza tym uwięzili Loketha. Zechcą poznać nas bliżej. Mieliśmy nadzieję, że cytadela posłuży za przynętę i tak się stało. Tylko nieszczęśliwy przypadek pozwolił im ujść z zasadzki. Jestem przeświadczony, że skoro Łysawcy dowiedzą się o naszym marszu, zaniechają frontalnego ataku, żeby wziąć nas żywcem. Podejmą takie ryzyko.

Ashe skinął twierdząco.

- Zgadza się. Jesteśmy niewiadomą, która nie daje im spokoju. Jedno jest pewne: przyszłość tego świata i jego mieszkańców zależy od naszego słusznego wyboru. Mam nadzieję, że taki wybór zostanie dokonany.

Torgul uśmiechnął się blado.

- Żyjemy w niepewnych czasach, skoro Mroczni potrzebują naszych mieczy do walki z Cieniem!

## 18. NIEPEWNY ŚWIAT

Dzień był ponury, a niebo szare. Odkąd zaczęli z mozołem przetrząsać tę górzystą okolicę, zasłaniały je chmury. Ross nie mógł uwierzyć, że Foanna rzeczywiście potrafią kierować wiatrem i falą, burzą i słońcem, o czym tubylcy byli absolutnie przekonani, jednak do tej pory sprzyjała im posepna pogoda. Dotarli właśnie do miejsca ostatniego odpoczynku przed zagłębieniem się we wrogie terytorium. Ross snuł własne plany co do dalszych działań. Nie zwierzał się z nich nawet Ashe'owi i Kararze, chociaż wtajemniczył z konieczności osobę stojącą teraz u jego boku.

- A więc nadal jesteś zdecydowany, młodszy bracie? Nie odwrócił głowy, by popatrzeć na postać w płaszczu.

- Nadal! - odpowiedział stanowczo Ross.

Ziemianin cofnął się z punktu widokowego, skąd obserwował głęboką dolinę, gdzie spoczywał gwiazdny statek Łysawców. Powstał z klęczek i spojrzął na Ynlan. Wiatr szarpał jego szary płaszcz, odsłaniając łuskowatą zbroję Tułaczy.

- Możesz to dla mnie zrobić? - zapytał towarzyszkę. W ciągu ostatnich dni Foanna przyznawały, że osobliwa bitwa w cytadeli znacznie nadwątlila i uszczupliła ich "magię". Zeszłej nocy oddział natrafił na pole siłowe, ale zbiorowa teleportacja nie wchodziła w rachubę.

- Tak, dla ciebie jednego. Potem moja różdżka będzie przez pewien czas wyczerpana. Ale co zdasz w pojedynkę w twierdzy najeźdźców? Pokonają cię.

- Niewielu ich tam zostało. To mały statek. Stracili pięciu swoich w cytadeli, trzech Tułaczy wzięli do niewoli. Nigdzie nie widać patrolowca, który na pewno mają, a zatem ktoś nim poleciał. Nie będę musiał się zmierzyć z całą armią. Wszystko, co im służy za broń, prawdopodobnie zasilają urządzenia na pokładzie, które można by uszkodzić. Nawet gdyby statek wystartował... - Tak naprawdę nie wiedział, co by wtedy zrobił. Misja jego polegała przede wszystkim na improwizacji w nieoczekiwanych sytuacjach.

- Planujesz odesłać statek?

- Nie wiem, czy to możliwe. Mógłbym chyba tylko odwrócić ich uwagę i wyłączyć pole siłowe, żeby umożliwić reszcie atak.

Ross zdawał sobie sprawę z konieczności podjęcia tej misji; aby pozostać dawnym Rossem Murdockiem, musiał znowu stać się aktorem, a nie widzem.

Foanna nie próbowała go zniechęcać.

- Tylko jak? - Zafalował długi rękaw, kiedy wskazała na dolinę. Pomimo zaciągniętego chmurami nieba, w kotlinie było jasno, zbyt jasno, zwłaszcza na pustej przestrzeni wokół statku. Pojawienie się tam mogło Rossa kosztować życie.

Przyszedł mu nagle do głowy inny, bardziej obiecujący pomysł. Foanna przeniosła ich kiedyś na pokład korwety Torgula, ale przedtem poprosiła go, żeby wyobraził sobie dokładnie jej wygląd. A tymczasem wszystko wskazywało na to, że statek Łysawców jest bliźniaczo podobny do tego, na którym swego czasu odbył baśniową podróż szlakami upadłego galaktycznego imperium. Przecież dobrze znał ten typ statków!

- Czy mogłabyś przenieść mnie na jego pokład?

- Owszem, gdybyś przechowywał w pamięci obraz wnętrza. Tylko skąd miałbyś znać takie statki?

- Kiedyś jednym z nich leciałem. Skoro to ten sam model, przypomnę sobie, jak



wygląda w środku!

- Ale jeśli okaże się inny, twoja próba może zakończyć się śmiercią.

Godził się na to ryzyko, bo na zewnątrz ten statek był dokładną kopią tamtego gwiazdolotu. Zanim Ross wyprawił się w podróż opuszczonym okrętem obcych, przebadał także frachtowiec rozbity na jego własnej planecie tysiące lat przedtem, nim ewoluowała rasa Ziemiaków. W obu tamtych pojazdach jeden fragment był identyczny - z wyjątkiem rozmiarów; on to miał teraz posłużyć celom Rossa.

- Wyślij mnie... tutaj!

Ross z zamkniętymi oczami odtworzył w pamięci obraz kabiny sterowniczej i sprężystych, plastikowych foteli, kołyszących się przed rzędami guzików i dźwigni. Wspomnił wszystkie te urządzenia, które badał, dopóki nie stały mu się równie bliskie, co gdzieś położonej na niższym poziomie kabiny, gdzie spał. Żywe, bardzo żywe wspomnienie. Poczł dotyk chłodnych palców Foanna na czole, po czym otworzył oczy.

Zniknął wiatr, zniknęło ołowiane niebo. Stał tuż za elastycznymi szelkami fotela, patrząc na ekran i szeregi lampek kontrolnych. Kiedyś często stał tak w opuszczonym pojeździe obcych. Udało mu się! Znajdował się w kabine sterowniczej gwiazdolotu - uruchomionego, czego dowodziły migające światełka na pulpicie i cichy warkot.

Ross nasunął na głowę kaptur szarego płaszcza. Od wielu dni usiłował przywyknąć do nowego ubioru, ale jego obszerne fałdy wciąż stanowiły bardziej zawadę niż pomoc. Odwrócił się powoli. Nie było tu Łysawców, ale właz szybu prowadzącego na niższy poziom stał otworem. Dochodziły z niego ciche dźwięki, budzące echa wzdłuż drabinki łączącej kondygnacje. Na statku przebywali jego pasażerowie.

Nie po raz pierwszy, odkąd rozpoczął tę przygodę, Ross zapragnął bardziej szczegółowych informacji. Tymczasem nie wiedział, które guziki i dźwignie sterują którymi urządzeniami. Kiedyś bawił się przełącznikami w identycznej kabine, uruchamiając od dawna uśpioną aparaturę, co przyciągnęło uwagę Łysawców do ich rozbitego statku i pładrujących go Ziemiaków. Tylko łut szczęścia sprawił, że zemsta kosmitów dosięgła rosyjskich badaczy, a nie jego ludzi.

Wolał nie ruszać niczego na pulpicie pilota, jednak rząd wskaźników z jednej strony pokazywał stan urządzeń statku. One kusily Rossa najbardziej, nie śmiał jednak przestawiać niczego w ciemno. Kiedyś dostał już nauczkę.

Ze znanego mu pudełka przy siedzeniu pilota wyciągnął zbiór dysków i przejrzał je pospiesznie w poszukiwaniu tych z określonym symbolem na wierzchu. Taki był tylko jeden. Umieściwszy pozostałe z powrotem w pojemniku, Ross wcisnął guzik na pulpicie sterowniczym. Trafił w dziesiątkę! Wysunęła się kieszeń, ujawniając ułożony w niej dysk. Ross wyciągnął go z oprawki, a na jego miejsce włożył ten, który przed chwilą znalazł w pojemniku. Teraz, jeśli dokonał prawidłowego wyboru, załoga odlatująca tym statkiem, pofrunie ku odległej, prymitywnej planecie, a nie do głównej bazy. Prawdopodobnie brak paliwa unieruchomi statek gdzieś w kosmosie bez nadziei na powrót do macierzystego portu. Skoro nie umiał spowodować awarii, była to najlepsza metoda na uzyskanie pewności, że wróg opuszczający Hawaikę nieprędko powróci z posiłkami.

Ross schował dysk z aktualną mapą podróży do kieszeni przy pasie, zamierzając zniszczyć go przy najbliższej okazji. Cicho jak kot przemknął do włazu, by zerknąć w dół i posłuchać.

Ściany jaśniały rozproszonym światłem. Ziemiaków zdawał sobie sprawę, że ma pod sobą przynajmniej cztery poziomy. Dwa najniższe powinny stanowić magazyn z zapasami.

Wyżej były maszynownia i laboratoria oraz przylegające do sterowni kwatery mieszkalne.

Cała konstrukcja statku dygotała pod wpływem wibracji włączonych silników. Jeden z nich zasiliał pewnie otaczające kotłnię pole siłowe, a może nawet broń, którą najeźdźcy mogli razić przeciwnika.

Ross obrócił się na pięcie; szary płaszcz zatrzepotał. Dobrze znał działanie pewnej dźwigni. Położył na niej rękę i przesunął manetkę prawie do końca skali. Potem przylgnął do ściany. Ktokolwiek wyjdzie z szybu, aby zbadać przyczynę usterki, będzie patrzył w drugą stronę. Ross skulił się i odrzucił fałdy płaszcza do tyłu, aby uzyskać większą swobodę ruchów. Czekał bez ruchu jak drapieżnik polujący w dżungli.

Usłyszał dobiegający z dołu okrzyk, potem stukot butów na szczeblach drabinki. Ross odstąpił zęby, jakby chciał warknąć. Miał nadzieję, że mu się powiedzie. Kosmici byli niezwykle wyczuleni na najmniejsze zmiany w cyrkulacji powietrza.

Biała głowa, ani śladu włosów, chude ramiona, trochę zgarbione w uniformie Łysawców koloru lawendy... Głowa odwróciła się, oczy spoczęły na właściwym przełączniku. Obcy wydał zduszony okrzyki...

Łysawiec nie zdążył się odwrócić do końca i zerknąć za siebie. Ross dał susa i grzmotnął go kantem dłoni. Łysa głowa zwisała bezwładnie. Ziemianin chwycił kosmitę pod pachy i wciągnął na pokład kabiny kontrolnej. Kiedy zamierzał związać jeńca, zauważył, że Łysawiec nie żyje. Cios obliczony na ogłuszenie okazał się zbyt silny. Ziemianin usadowił ciało na chwiejnym siedzeniu nawigatora i przypiął je pasami ochronnymi. A więc jeden z głowy, tylko ilu jeszcze zostało?

Niewiele miał czasu na zastanowienie, bo zanim zdążył znowu dojść do szybu, z dołu doleciało wołanie, ostre i pytające. Ziemianin przeszukał ofiarę, ale Łysawiec nie miał żadnej broni.

Znów wołanie, a potem cisza tak zupełna, że było to podejrzane. Czyżby tak szybko zdali sobie sprawę z niebezpieczeństwa? Chyba że... chyba że Łysawców łączyły telepatyczne więzi. Gdyby tak było, wiedzieliby już o śmierci towarzysza. Ale nie mogli znać powodów, dla których umarł. Ross był skłonny uwierzyć w ponadnaturalne zdolności Łysawców, jednak nawet oni nie mieli możliwości poznania prawdy. Prawdopodobnie podejrzewali zagrożenie, choć nie znali jego natury. Prędzej czy później jeden z nich musiał przyjść, by przesunąć dźwignię na dawne miejsce. Zapowiadał się pojedynek, w którym zwycięstwo przypadnie temu, kto okaże większą cierpliwość.

Ross przykucnął obok wylotu szybu, wyciągając słuch, by wychwycić jakąś wskazówkę co do sytuacji na dole. Czy natężenie wibracji uległo zmianie? Przyłożył dłoń do podłoża i spróbował się zorientować. Nie miał jednak pewności. Wiedział tylko, że zaszła jakaś trudna do uchwycenia zmiana.

Kosmici nie mogli przecież zwlekać zbyt długo z ponownym uruchomieniem regulatora dopływu powietrza. A może się mylił? Znowu dawały mu się we znaki luki w wiadomościach. Może Łysawcy nie zużywali tyle tlenu co Ziemianie? Cóż, skoro tak, sam jako pierwszy ucierpi w tym starciu. Z tego pomieszczenia mógł odciąć nie tylko dopływ powietrza, ta sztuczka po prostu pierwsza przyszła mu do głowy. Zawahał się. Obosieczna broń cięła w dwóch kierunkach. Musiał jednak wymusić na nich kolejne posunięcie. Wcisnął następny przełącznik. Kabina pilota wraz z całą resztą statku pograżyła się w ciemności.

Tym razem na dole panowało milczenie. Ross starał się przypomnieć sobie rozkład wewnętrznych pomieszczeń statków, które kiedyś zbadał. Dwa poziomy niżej pracowały silniki. Czy zdoła tam zejść niezauważony? Nie przekona się o tym, dopóki nie spróbuje!

Opatulił się płaszczem Foanna i zszedł kilka szczebli w dół, kiedy ściany ponownie zajaśniały. Zasilanie awaryjne? Ross wszedł do jednego ze świecących bocznych korytarzy. Rozsuwane drzwi były pozamykane. Nie dochodził zza nich najmniejszy odgłos. Wibracja ścian odzyskała swój miarowy rytm.

Ziemianin uświadomił sobie, że popełnił błąd. Z tej pułapki trudniej było się wydostać niż z kabiny kontrolnej. Jedyne wyjście prowadziło do szybu, gdzie mógł wejść na drabinę, prawdopodobnie obserwowaną z dołu przez wroga. Wystarczyłoby im użyć miotacza promieni lub paralizatora, takiego jak ten, który przed paroma dniami oddał Ashe'owi.

Ross podkraść się do krawędzi szybu. Cichy odgłos kroków, stłumiony brzęk szczebli drabinki. Ktoś się wspinał do góry. Czyżby został telepatycznie namierzony? Może ślad jego myśli pozwolił im zlokalizować intruza? Łysawcy czuli respekt przed Foanna i być może pragnęli pochwycić jedną żywcem. Otulił się szczelnie płaszczem, tak jak to robiły Foanna.

Tymczasem ten, kto wspinał się z mozołem po szczeblach, nie był Łysawcem. Pociągła hawaikańska twarz, zupełnie nieruchome, błędne oczy, chude ramiona... to przybywał Loketh, działający pod wpływem tego samego straszego zaklęcia, które spętało wojowników w cytadeli. Czyżby kosmici posługiwali się jeńcem jak żywą tarczą, wspinając się za nim ukradkiem?

Loketh odwrócił głowę i spojrzał na Rossa pustymi oczami, w których głębi rozbłysła jednak iskierka poznania. Tubylec wyciągnął rękę w błagalnym geście i padł na kolana.

- O Wielka! O Wielka! - Rozpłaszczył się niemal na ziemi, ciężko dysząc. Nagle jego ciało zwiotczało, twarz dotknęła podłogi, chroma noga podkurczyła się, jakby Hawaikańczyk daremnie usiłował zerwać się do ucieczki.

- Foanna! - Wydawało się, że to słowo wypływa ze ścian. - Foanna... Mądrzy nawet w mroku umieją sprawdzić, co się przed nimi skrywa. - Mowa Hawaikańczyka była nienaturalna, dziwnie akcentowana, ale zrozumiała.

Ross stał bez ruchu. A więc obcy widzieli go oczami Loketha! A może tylko zaalarmował ich jego okrzyk? Uwierzili chyba, że Ross jest jednym z Foanna. Postanowił dalej grać tę rolę.

- Foanna! - Tym razem głos brzmiał ostrzej, tonem rozkazą - Mamy cię w garści. Wystarczy, że zaciśniemy palce, a będzie po tobie!

Ross przypomniał sobie słowa Karary wyśpiewane po angielsku w świątyni Foanna! Starając się najlepiej jak umiał naśladować jej melodyjną, monotonną deklamację, wyrecytował:

O bogowie w liczbie czterdziestu tysięcy,  
O bogowie morza, nieba i gwiazd,  
O starsi bracia dzisiejszych bogów,  
O bogowie z dawnych dni.  
O wy, co szepczecie, a nocą czuwacie,  
O wy z błyszczącymi oczyma!

- Foanna! - zaskrzeczał głos z nutą niecierpliwości. - Twoje sztuczki nie wzruszą naszych gór!

- O bogowie gór i dolin - ciągnął Ross - bogowie Mrocznych, chociaż nie Cienia - improwizował, wplatając elementy tubylczych wierzeń. - Zstąpcie na ten świat pomiędzy gwiazdami! - Rosła jego pewność siebie. Dłuższe pozostawanie w kryjówce nie miało sensu.

Musiał zdać się na swoje przypuszczenie, że Łysawcy nie zamierzają zgładzić na poczekaniu jednej z Foanna.

Podszedł do szybu i zaczął wolno schodzić po drabince, nadal otulony szczelnie płaszczem. Na niższym poziomie odbiegał w bok szerszy korytarz, a w nim widniało troje drzwi. Za jednymi z nich kryli się ci, których szukał. Za przewodnika miał osobliwą wiarę we własne zdolności, jakby sam fakt włożenia płaszcza Foanna dał mu ich część.

Położył rękę na drzwiach po prawej stronie i przesunął je wzdłuż prowadnic, po czym wkroczył do środka, zupełnie jakby miał do tego prawo. Zobaczył trzech Łysawców. W oczach Ziemianina wydali się prawie identyczni. Jeden z nich, siedzący na stołku przy pulpicie, mierzył go groźnym spojrzeniem i wykrzywił usta w ironicznym półśmiechu. Ziemianin żałował, że nie ma różdżki Foanna i umiejętności jej używania. Na nic by się nie przydała broń Łysawców, gdyby wyzwolił w tej kabine strumień energii. Tymczasem mierzyły w niego dwie tuby paralizatorów.

- Skoro do nas przyszłaś, Foanna, mów, co masz do zaoferowania - zażądał ten na stołku, prawdopodobnie dowódca.

- Do zaoferowania? - Ross przemówił po raz pierwszy. - Z jakiej przyczyny Foanna miałyby ci cokolwiek ofiarowywać, zabójco kobiet i dzieci? Przybyłeś z gwiazd, żeby zabrać, ale to jeszcze nie powód, żebyśmy miały ci coś dać.

Poczuł nagle wewnętrzny nakaz, presję w swoim umyśle. To obca wola, wyrafinowana broń kosmitów. Raz go prawie złamali tym sposobem, ale dlatego, że włożył ich kombinezon zabrany z rozbitego frachtowca. Teraz nie miał na sobie tego zdradzieckiego stroju. Uporczywa dążność do niezależności i zachowania własnej tożsamości opierała się zawzięcie obcej woli.

- Przynosimy wam życie, Foanna, wolność gwiazd. Czymże są wobec was te nędzne kreatury, dlaczego występujecie zbrojnie w ich sprawie? Nie pochodzicie z tej samej rasy.

- Ani wy! - Dłonie Rossa przesunęły się pod fałdami płaszcza; odpiął dwie ukryte klamerki, spinające ubranie. Gdyby udało mu się wyłączyć ten rząd przycisków przed dowódcą, pomyślał, kosmici byłiby w kłopotcie. Polegał też na Ynlan. Tułacze na pewno już się zgromadzili u wylotów kotliny w oczekiwaniu na zanik pola siłowego.

Ross, teraz opanowany, przygotował się do działania.

- Mamy coś dla was, ludzie z gwiazd - spróbował słowami uśpić ich czujność. - Chyba słyszeliście o potędze Foanna, o tym że potrafią rozkazywać wiatrom i falom? Że umieją w okamgnieniu znaleźć się tam, gdzie ich przed chwilą nie było? Proszę, popatrzcie tam!

Była to najstarsza sztuczka na świecie, tak stara, że kosmici mogli już o niej zapomnieć. Gdy Ross wskazał w kąt kabiny, głowy odwróciły się na moment.

Ziemianin wyskoczył w powietrze, poły płaszcza rozłożyły się szeroko niczym skrzydła nietoperza. Zwarł się z Łysawcami i skłębioną masą runęli na pulpit sterowniczy. Ross usiłował owinąć kosmitów płaszczem i przygnieść ich wagą swojego ciała do guzików i dźwigni. Nie miał pojęcia, czy przyniesie to spodziewany efekt, ale miał tylko kilka sekund do dyspozycji i musiał je jak najlepiej wykorzystać.

Jeden z Łysawców osunął się na ziemię, drugi okładał Rossa pięściami z mizernym rezultatem. Trzeci zdołał się jednak wyswobodzić i podniósł paralizator. Ross odwrócił się i zasłonił ciałem kosmity, gdy padł strzał. Szamocząca się postać obwisła nagle w objęciach Rossa, ale prawe ramię Ziemianina też opadło bezwładnie. Poczuł się otepiały, jakby dostał w głowę obuchem Tułacza. Zatoczył się do tyłu i padł na ziemię, ale w czasie upadku lewa ręka szarpnęła przełączniki na pulpicie. Leżąc na plecach, ujrzał nad sobą wykrzywioną konwulsyjnie twarz dowódcy, tuba paralizatora celowała mu w brzuch.

Wysiłek związany z oddychaniem był torturą dla Rossa. Świat zasnuła czerwona mgiełka. Usiłował uciec od bólu, ale mu się nie udawało. Ucisk na pierś przedłużał jego mękę.

- Niech... już... - spróbował krzyknąć, jednak ucisk trwał nadal. Nareszcie zdołał rozewrzeć powieki. Ashe... Ashe i jedna z Foanna pochyłali się nad nim. Ręce Ashe'a ugniatały rytmicznie pierś.

- Wyjdzie z tego. - Poznał głos Ynvaldy. Jej dłoń spoczęła delikatnie na czole Rossa. Poczul to samo ożywienie ciała i ducha, którego doznał w czasie tańca.

- Jak...? - zaczął, ale zmienił pytanie. - Gdzie...? - Nie znajdował się już w maszynowni statku. Leżał pod gołym niebem, a pachnący morzem wiatr wypełniał mu płuca, teraz już bez pomocy Ashe'a.

- Skończone - rzekł Ashe. - Skończone... na razie. Jednak dopiero gdy słońce wzniosło się ponad krawędź kotliny, Ross podczas narady dowiedział się całej historii. Podobnie jak on opracował plan wdarcia się na pokład gwiazdolotu, tak Ashe z Kararą i delfinami wpadli na pewien pomysł. Głębokie koryto rzeki przepływającej przez górskie wąwozy okazało się dogodną drogą dla delfinów, a płynąc pod powierzchnią wody można było ominąć pole siłowe.

- Przekonani o swojej supremacji na tej prymitywnej planecie, Łysawcy nie wystawili żadnych wart, zdali się jedynie na pole - wyjaśnił Ashe. - Gdy pięciu pływaków minęło barierę, dzięki tobie pole znikło.

- A więc pomogłem... choć tyle. - Ross uśmiechnął się posępnie. Bo co właściwie udowodnił swoim wypadem? Niewiele. Ale nie żałował, ponieważ sam fakt, iż dokonał tego na własną rękę, łagodził nieco bolesne uczucie, którego doznawał, gdy patrzył na Ashe'a i wspominał dawne czasy. Ashe na pewno będzie zawsze jego przyjacielem, jednak serdeczne braterstwo, jakie ich połączyło w trakcie realizacji zadań projektu, należało już do przeszłości, przepadło jak brama czasu.

- Co z nimi zrobicie? - zapytał, kiwając głową w stronę jeńców: trzech z macierzystego statku, a dwóch z małego patrolowca, którzy wpadli w potrzask po wyładowaniu.

- Poczekamy, aż dołączą do nich jeńcy trzymani na okręcie Tułaczy - wyjaśniła Ynvalda. - Zasłużyli na śmierć zgodnie z naszym prawem.

Tułacze obecni na naradzie pokiwali z ożywieniem głowami, wszyscy oprócz Torgula i Jazi. Kobieta pierwsza zabrała głos:

- Dźwigają na sobie ciężkie brzemie Klątwy Phutki. Życie z taką klątwą jest gorsze od łatwego, szybkiego umierania. Posłuchajcie, co przyszło mi do głowy: może będzie lepiej, jeśli klątwa dotknie nie tylko ich, jeśli zostanie poniesiona dalej, żeby rozszerzyć się wśród tych, którzy ich posłali...

Foanna pokiwały zgodnie głowami.

- Dostyc zabijania - powiedziała Ynlan. - Zapewniam was, wojownicy, słów naszych nie zrodziła bojaźń przed sprawiedliwym wymierzeniem kary śmierci. Jazia jednak ma rację. Niechaj odlatują. Może zanosą swoim przywódcom świadectwo, że nie da się zgnieść tego świata, jak się zgniata dojrzwały owoc kiwi, aby zjeść jej nasiona. Skoro wierzycie w siłę waszego przekleństwa, Tułacze, niech wyda ono owoce między gwiazdami!

Ross zastanawiał się, czy to pora na wyjawienie prawdy o podmienionych taśmach. Raczej wątpił, by klątwa Tułaczy albo humanitarny sposób traktowania jeńców wpłynęły na gwiazdnych przywódców. Ale jeśli najeźdźcy nie powrócą do bazy, ich zniknięcie być może przyczyni się do odwołania kolejnej ekspedycji na Hawaikę. Niech rozsądzi przypadek, klątwa, czas...

A więc zostało postanowione.

- No i co, wygraliśmy? - zapytał później Ashe'a.

- Chodzi ci o to, czy zmieniliśmy przyszłość? Kto zna odpowiedź? A jeżeli wrócą tu zbrojnie? Może wykonaliśmy ruch, który i tak został wykonany w przeszłości? Te pylony mogą jednak kiedyś stanąć nad pustym morzem i jałowymi wyspami. Prawdopodobnie nigdy się tego nie dowiemy.

Mówił prawdę. Ich także Opatrzność zaprowadziła na obecną Hawaikę. Ross Murdock, Gordon Ashe, Karara Trehem, Tristen i Taua - pięcioro Ziemian, na zawsze zaginionych w czasie, w przeszłości o niepewnej przyszłości. Czy będzie to opuszczony świat lotusów, czy też jakiś inny? Każda odpowiedź była możliwa. Poza bramą czasu odnaleźli klucz do tajemnicy, lecz nie zdołali go przekroczyć. A co z kluczem do samej bramy, która przestała istnieć? Ross omiół wzrokiem okolicę. Trzeba uchwycić się mocno teraźniejszości. Chwila obecna może być przecież całkiem sympatyczna...